

# KONGRES KRAJOZNAWSTWA



Rok IV

Nr 3-4/21-22

1990

Nareszcie po tylu latach oczekiwania i żmudnej pracy IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego rozpoczął się. Z całej Polski przybyli nader liczni i zaszczytni goście. Opole, jedno z najważniejszych miast śląskich, powitało najzwyklejsze grono polskich krajoznawców. Jest to wielki splendor dla tego miasta, ale i całego regionu. Inicjatywa opolskich działaczy, by właśnie u siebie gościć tę arcyważną imprezę, nie była przypadkowa. Nie była też przypadkowa decyzja władz PTTK, by z niej skorzystać. Oto bowiem Towarzystwo w ten sposób wnosi swój wkład w Milenium Śląska - tysiąclecie przyłączenia nadodrzańskiej

dzięki nieefektywnej na ogół, upartej i żmudnej pracy krajoznawców, zespolił się z Macierzą. Wiedza o tym polscy krajoznawcy, trzeba, by wiedzieli o tym całe społeczeństwo. Nowe pokolenia, tu urodzone, choć z rodziców przybyłych ze wszystkich stron Polski, a nawet świata, uważają się za Ślązaków - z wyboru i przywiązania do tych ziem. Tu jest ich mała Ojczyzna, mała a zarazem wielka - bo własna.

Śląsk przez wieki promieniował swoją kulturą, jakże bogatą i jakże swoistą, bo powstająca w tyglu różnych narodowości, które przecież nie cały czas walczyły ze sobą. Także współpracowały. Chcemy i dziś

## WITAMY NA ' ŚLĄSKU

krainy (wraz zresztą z ziemią Wiślon) przez Mieszka I do państwa Polan, które w ten sposób stało się Polską. To wydarzenie, które stworzyło fundament dla tylowickowej egzystencji jednego z najważniejszych państw kontynentu, państwa, którego dzieje są obecne we wszystkich rozdziałach europejskiej historii, ma nieprzejmujący wymiar. Region nasz na stałe wszedł do dziejów polskiego narodu. I choć długie wieki pozostawał poza granicami pierwszych Piastów, i choć czasami Rzeczpospolita zapomniała o nim, to w każdym okresie polski naród nad Odrą dawał o sobie znać - czy zbrojną walką, czy ciężką, znojną pracą. Jego dorobek, skarby ziemi śląskiej, tak wydatnie wspomogły odbudowę Ojczyzny po wojennych ranach. Śląsk znów, i to także

być tacy, otwarci na wszystko co mądre, dobre, szlachetne, otwarci, ponieważ tworzymy społeczeństwo powstałe z grup różnych kręgów kulturowych. Chcemy też i dlatego, iż nasz region sasiaduje z innymi narodami, którym wiele zawdzięcza i którym wiele przekazać. Ziemi między Sudetami a Odra wniosty i wnoszą nadal niezwykle dużo do gospodarczego krwioobrotu kraju, będąc jedną z jego zasadniczych podstaw bytu. Pragniemy, by i o tym pamiętano gdzie indziej, by tematyka śląska we współczesnej świadomości Polaków zajmowała szczególne miejsce. Wszak Mieszko I wiedział, co robi!

Choć nie wszyscy możemy być na Kongresie, jesteśmy na nim swymi myślami i nadziejami

dokończenie na str 2

O czym będzie mowa na kongresie?

### "KRAJOZNAWSTWO U PROGNI XXI WIEKU"

Uczestnicy będą, poza spotkaniami plenarnymi, pracować w zespołach roboczych. Tematyka ich jest następująca:

- I. Krajoznawstwo wobec zagrożeń społecznych
  - a) wartości przyrodnicze w kulturze,
  - b) stan zagrożenia krajobrazu kulturowego i świadomość społeczna tego faktu,
  - c) zagrożenie środowiska przyrodniczego jako skutek kryzysu wartości,
  - d) rola krajoznawstwa w integracji społeczeństwa.
- II. Krajoznawstwo i tożsamość kulturalna
  - a) tożsamość narodowa w Europie w końcu XX wieku,
  - b) krajoznawstwo i wartości kultury otwartej,
  - c) krajoznawstwo w służbie regionu i Rzeczypospolitej,
  - d) krajoznawstwo we wspólnocie polskiej w kraju i za granicą.
- III. Kryteria krajoznawcze w przestrzennym zagospodarowaniu kraju
  - a) materialne uwarunkowania kształtowania krajobrazu kulturowego,
  - b) walory krajoznawcze w planowaniu przestrzennym,
  - c) rewitalizacja zabytków architektury i urbanistyki,
  - d) rola krajoznawców w kształtowaniu oblicza kraju.



- IV. Współczesne formy i metody krajoznawstwa
  - a) program krajoznawczy ruchu turystycznego,
  - b) wydawnictwa turystyczno-krajoznawcze,
  - c) inne formy popularyzacji krajoznawczej,
  - d) inwentaryzacja krajoznawcza.
- V. Krajoznawcze przygotowanie do życia
  - a) postawy młodzieży wobec kraju i świata,
  - b) krajoznawstwo w szkole,
  - c) krajoznawstwo w zagospodarowaniu wolnego czasu,
  - d) resocjalizacyjne walory krajoznawstwa.

Synteza przemysłu określi rolę i cele krajoznawstwa polskiego na najbliższe dziesięciolecie, tak dla PTTK, jak i różnorodnych towarzystw regionalnych, przede wszystkim jako propozycja programowa dla ich członków i działaczy.

We wrześniu odbędzie się w Opolu IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego. Przygotowania do jego przeprowadzenia rozpoczęło Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze już w 1985 r., ale podstawowe pytania, które organizatorzy stawiali sobie wówczas, są aktualne również obecnie.

Jawi się kwestia podstawowa, czy w obecnych czasach potrzebna jest taka duża i dość kosztowna impreza o charakterze refleksyjnym i jakby mieszcząca się w odmiennej konwencji od obserwowanych, szybkich przemian w życiu społeczeństwa. Z tak postawioną kwestią wiąże się nieodłączna konieczność uświadomienia sobie, czym były poprzednie Kongresy i jaką rolę spełniały w ponad 80-letniej tradycji polskiego krajoznawstwa. Wszystkie one formułowały dalekosiężne cele, stojące przed turystyką i współbrzmiały z podstawowymi problemami życia państwowego i narodowego.

włączenia się ruchu krajoznawczego w niezbędny trud budowania żywej tkanki społecznej. Grono działaczy Towarzystwa, wsparte nieocenioną pomocą licznych naukowców z całej Polski, już w 1986 r. sformułowało podstawowe dziedziny, w których takie współdziałanie wypływa niejako organicznie z samej istoty krajoznawstwa i turystyki.

Krajoznawstwo może być bardzo pomocne w zrozumieniu roli, jaką pełni w życiu społeczeństwa niedoceniany dzisiaj krajobraz kulturalny, czy faktu, że obecna skala zagrożenia środowiska przyrodniczego jest groźbą godzącą w samo istnienie cywilizacji.

Bliższa perspektywa powstania "Europy ojczyzn" zmusza do zastanowienia się nad rolą tożsamości narodowej w końcu obecnego wieku, współbrzmieniem spraw regionu i Rzeczypospolitej, przywróceniem harmonii we wspólnocie Polaków w kraju i

ciwe dla obecnych czasów formy i metody pracy krajoznawczej, które byłyby atrakcyjne i społecznie użyteczne.

Takie oto główne przesłanki celowości obrad Kongresu zdecydowały o jego organizacji. Mamy nadzieję, że naczelną hasło Kongresu "Krajoznawstwo u progu XXI wieku", nie będzie tylko pustym sformułowaniem. Nadzieje opieramy na tym, że metoda krajoznawcza jest wciąż żywa, aktualna i twórcza. Czyż można nie wiązać planów i perspektyw z ruchem społecznym, który potrafi swoje zadanie podstawowe tak sformułować w zaproszeniu na pierwszy Ogólnopolski Kongres Krajoznawczy w Poznaniu w 1929 r.:

"Krajoznawstwo stać się winno poważnym ruchem umysłowym szerokich zastępów społecznych, współdziałających w ramach możliwości indywidualnych z nauką polską. Stać się ono winno drogą do

# KROK W XXI WIEK

Kongres w Poznaniu dostrzegł i precyzyjnie sformułował możliwości tkwiące w krajoznawstwie, a służące integracji społeczeństwa polskiego. Społeczeństwa, które dopiero przed kilkunastu laty przestało być podzielone między trzech zaborców, należących przecież do różnych kręgów kulturowych. Powojenne kongresy w Gdańsku (1970) i Płocku (1980) częściowo formułowały analogiczne programy w stosunku do ziem odzyskanych w 1945 r. Głównymi ich osiągnięciami były jednak opracowane programy pracy krajoznawczej jako specyficznej formy ruchu społecznego, służącego szerokim celom kulturowym. W wyniku realizacji tych programów ogniw Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego były często jedynymi organizacjami, pamiętającymi o głębszych nurtach niemieckiej tradycji kulturalnej i patriotycznej.

Organizatorzy Kongresu w Opolu uznali, że chwila obecna daje również możliwości twórczego

za granicami. Metoda krajoznawcza daje szansę takiego dyskusyjnego powiększenia zagadnień, które będzie dostępne i atrakcyjne dla licznych i zróżnicowanych grup społecznych. Jak jest to ważna sprawa, nie trzeba chyba nikogo przekonywać - a już szczególnie w Opolu.

Szeroko dzisiaj wskazywane błędy w sztuce przestrzennego zagospodarowania kraju, czy wręcz w przypadku Nowej Huty, świadomie szkodliwa działalność władz, nie powinny się powtórzyć w przyszłości. Rola krajoznawców w kształtowaniu oblicza kraju powinna się wyrażać zarówno w tworzeniu "bazy danych" dla samego planowania, jak i w uświadamianiu społeczeństwa o rzeczywistej wadze zagadnienia i tym samym przeciwdziałaniu bolesnym nadużyciom.

Wiele omawianych zagadnień będzie się wiązało z właściwym przygotowaniem młodzieży do życia w społeczeństwie. Kongres ma szansę określić wła-

dogłębienia uczuć i stosunku do ziemi rodzinnej. Krajoznawstwo być winno podstawą wychowawczą w szkole, która zaszczepione raz upodobania przeleże na życie całe. Dla każdego, kto działa i rządzi, kto kieruje tą lub inną dziedziną życia polskiego, kto wspólnie z innymi chce tworzyć czyny, budujące wielkość Polski, krajoznawstwo stać się musi prawdą żywą i sprawdzianem słuszności obranej drogi postępowania. Ma ono być również źródłem krytycznego optymizmu i wiary, pobudzającej energię działania. Ma krajoznawstwo wreszcie spełnić swoją rolę w gospodarstwie dźwiganym kraju".

Adam Chyżewski  
Wiceprezes ZG PTTK  
Przewodniczący  
Zespołu Przygotowawczego Kongresu



Koło Rysowników Architektury

## Witamy na Śląsku

ciąg dalszy ze str 1

co do jego rezultatów. Wyraz przywiązania do naszej ziemi, do Śląska, damy już wkrótce. 22-23 września, podczas wielkiego zlotu miłośników tego regionu na Ślązy. Tam w uroczysty sposób powrócimy myślami do minionych wieków, tam upamiętnimy wydarzenia sprzed tysiąca lat. Tam wreszcie delegacje, w sercu Śląska, złożą ziemię ze wszystkich stron Ojczyzny w dowód nierozłączności jej regionów.

Krajoznawcy ślascy mają nadzieję, że goście z kraju będą mieli okazję zapoznać się także z problematyką regionalną. Bo przecież krajoznawstwo realizuje się poprzez regionalizm. Także i nasza redakcja chce dołożyć się do popularyzacji tematyki nadodrzańskiej, zamieszczając specjalnie na tę okazję przygotowane opracowania. Życzymy owocnych obrad i miłych wrażeń ze Śląska!

Redakcja

## Uwaga miłośnicy Śląska

Komisja Krajoznawcza Oddziału Wrocławskiego PTTK we Wrocławiu, Rynek-Ratusz 11/12 organizuje 29-30 IX br. ogólnopolską sesję poświęconą historycznemu Milenium Śląska - pod naukowym kierownictwem prof. dra hab. Juliana Janczaka. Specjaliści przedstawiają następujące tematy: Śląsk a Europa Środkowa, Śląsk przed tysiącem lat (poglądy w piśmiennictwie) i Bitwy na Śląsku o znaczeniu europejskim. Równoległe wystawione będą oryginalne mapy Śląska z różnych okresów. Materiały z sesji zostaną wydrukowane w specjalnym wydawnictwie i będą dostarczone już wcześniej uczestnikom. W pierwszym dniu zostaną wygłoszone referaty, zaś drugi dzień przewidziany jest na wycieczkę i czas wolny. Dla chętnych przewiduje się możliwość zwiedzenia "Panoramy Racławickiej".

# UCZELNIE WROCŁAWIA

Mamy pomysł: zbliża się 45. rocznica rozpoczęcia pierwszych wykładów na pierwszej dolnośląskiej uczelni, wówczas jeszcze będącej jedną szkołą wyższą - na Uniwersytecie Wrocławskim. Działalność Politechniki i Uniwersytetu pracują oddzielnie, ale łączy je wspólnota tradycji i wspólny trudny początek w zrujnowanym mieście.

Tradycyjnie w 44. rocznicę pierwszego wykładu Kolegium Rektorów Wyższych Uczelni Wrocławia przyznało nagrody za wybitne osiągnięcia naukowe, dydaktyczne i działalność społeczną. W 1989 r. otrzymali je prof. Antoni Aronki (AM), Józef Halas (PWSSP), Wojciech Wrzesiński (UWR) i Tadeusz Zipser (PWR). Odbyły się także uroczyste promocje doktorów tych uczelni i wręczono zasłużonym odznaczenia państwowe. Pamiętając o protoplastach Uniwersytetu i Politechniki złożono wieniec i wiązanek kwiatów pod pomnikiem pomordowanych przez hitlerowców lwowskich profesorów na pl. Grunwaldzkim.



Turyści i krajoznawcy naszego miasta mają wiele wspólnego z tymi tradycjami. Wielokrotnie podczas naszych imprez i w codziennej pracy zwracamy uwagę na nie. Przypominamy wybitnych lwowian - turystów i krajoznawców, którzy po wojnie wnieśli wybitny wkład w rozwój nauki i wrocławskiego środowiska naukowego. Równie duży był wkład wielu z nich w odrodzenie ruchu turystycznego i krajoznawczego na Ziemiach Odzyskanych, w prace Komisji Nazewnictwa Sudetów, w badania naukowe, w tworzenie ogniw PTT i PTK na tych terenach.

Naszym zdaniem warto przypomnieć te poczynania i tych ludzi. Dlatego proponujemy zorganizowanie w poszczególnych uczelniach sesji poświęconych zagadnieniom krajoznawczym i równoległe zlotów turystyczno-krajoznawczych do tych uczelni, połączonych z wystawami pamiątek, zwiedzaniem laboratoriów, pracowni itp. Znaczną rolę może odegrać w tym działaniu kilka ogniw akademickich zainstalowanych w wyższych uczelniach Wrocławia. Warto przypomnieć także powstanie ponownie we Wrocławiu w 1956 r. Akademickiego Klubu Turystycznego. W 1991 r. przypadnie 35 rocznica jego ponownych narodzin.

Warto także przemysleć zawsza pomysł zorganizowania sesji krajoznawczo-naukowej poświęconej rozwojowi badań naukowych w ośrodku wrocławskim, służących współczesnemu krajoznawstwu,

oraz sporządzeniu raportu o stanie turystyki we Wrocławiu i regionie Dolnośląskim. Tematyce tej mogą być także poświęcone prace magisterskie na wielu wydziałach, np. Uniwersytetu.

Rajd "Uczelnie naszego miasta" może przyczynić się do zbliżenia społeczeństwa do nauki. Proponujemy także wspólnie PTTK i uczelnie zorganizować cykl powszechnych wykładów popularnonaukowych poświęconych zagadnieniom krajoznawczym, m.in. pracom inwentaryzacyjnym, działalności naszych ogniw w terenie, pracy popularyzatorskiej i pisarskiej wielu naszych działaczy i pracowników naukowych wrocławskich uczelni.

Zanim zorganizujemy te i inne jeszcze formy uczczenia 45-lecia powstania Uniwersytetu Wrocławskiego mamy nadzieję otrzymać wiele innych, może ciekawszych, propozycji od Czytelników. A więc czekamy na nie.

Tomasz Kowalik

## Już wkrótce na Ślęży

Rok 1990 to wyjątkowa okazja, rocznica tysiącletnia przyłączenia Śląska do państwa Mieszka I, co dało podstawy - wraz z ziemią Wiślan, do powstania państwa polskiego. Z tej to okazji IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego odbędzie się we wrześniu właśnie w Opolu, z tej też okazji podejmowane są z inicjatywy Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego różnorakie inicjatywy dla upamiętnienia tego Milenium całemu naszemu społeczeństwu. Największe rozmiary osiągnie Złot Miłośników Śląska na Ślęży, zaplanowany na 22-23 września br. Przygotowaniami kieruje Anatol Omelaniuk. W organizacji oczywiście nie mogło zabraknąć i PTTK, stąd poważny ciężar prac, już na miejscu, związany z recepcją i obsługą spodziewanych licznych gości, podjął Oddział Wrocławski, de facto turystyczny gospodarz Masywu Ślęży.

W sobotnie popołudnie przewidziane jest na początek "Pod Ślężą śpiewanie", czyli koncert polskich pieśni patriotycznych i historycznych. Wieczorem zaplonie ognisko lub kilka mniejszych, przy których wrocławscy historycy snuć będą gawędy o dziejach Śląska.

Istotnym momentem, spajającym nasz region z pozostałą częścią Polski i samo Nadodrzie, było ustanowienie we Wrocławiu w roku 1000 biskupstwa. W dzisiejszych więc czasach nie może się obejść bez zaakcentowania tego, stąd niedziela skupi uczestników zlotu przy kościele na Ślęży. Po uroczystej mszy nastąpi wmurowanie w jego ścianę tablicy upamiętniającej tę wielką rocznicę, a następnie złożenie w świątyni pucharów z ziemią pobraną we wszystkich regionach Polski, skąd przybyli na Śląsk Polacy po II wojnie światowej. Nie zabraknie wśród nich przywiezionych przez delegacje rodaków, zamieszkujących obecnie ZSRR, a więc z Łitwy czy Ukrainy. Całą manifestację zakończy występ Chóru "Gaudium z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jak widać, główne obchody zaplanowano skromnie - jak na ciężkie czasy, ale godnie. Mamy nadzieję, że nie zabraknie na nich tych wszystkich, którzy Śląsk uważają już za swoją własną ojczyznę. A więc do zobaczenia!

Krzysztof R. Mazurski

## Rowerem po Legnickiem

Na terenie woj. legnickiego funkcjonują (najprawdopodobniej) trzy odznaki wprowadzone i weryfikowane przez Komisję Turystyki Kolarskiej. Pierwsza z nich, DOOKOŁA WOJEWODZTWA LEGNICKIEGO, zobowiązuje turystę do pokonania minimum 302 km, przy czym zdobywający odznakę musi (analogicznie jak przy dużym rajdzie kolarskim "Dookoła Polski") zdobyć potwierdzenia pobytu w miejscowościach - punktach kontrolnych, szczególnie trasę przejazdu należy ustalić samemu. Oto wykaz miejscowości, które kolejno należy odwiedzić: Głogów - Pełcaw - Chobienia - Scinawa - Prochowice - Rogoźnik - Postolice - Udanin - Konary - Luboradz - Mysłibórz - Stanisławów - Rokietnica - Nowa Wieś Legnicka - Warta Bolesławiecka - Gromadka - Wierzbowo - Chocianów - Przemków - Radwanice - Gaworzyce - Brzeg Głogowski - Głogów.

Druga odznaka, SZLAKIEM PALACÓW WOJEWODZTWA LEGNICKIEGO, wymaga zwiedzenia 15 obiektów w miejscowościach wg wykazu: Brzeg Głogowski, Czerwony Kościół, Budziszów Wielki, Chrostnik, Chocianów, Działów, Gołędzin, Glinice, Janowice Dolne, Iwiny, Droglowice, Gaworzyce, Grębocice, Grodziec, Jakubów, Jerzmanowa, Kotla, Kromolin, Krotoszyce, Lubień, Luboradz, Patków, Szklary Górne, Raszowa, Siedlice, Twardocice, Warmatowice, Zabórów, Zukowice.

Zdobycie trzeciej odznaki, SZLAKIEM ZAMKÓW WOJEWODZTWA LEGNICKIEGO, zobowiązuje do odwiedzin (i zdobycia potwierdzeń) w 10 zamkach wg poniższego zestawienia: Chobienia, Radziechów, Chojnów, Legnica, Głogów, Rokietnica, Grodziec, Warta Bolesławiecka, Jawor, Scinawa, Jędrzychów, Chocianowice, Lubień, Czerna i Prochowice.

Dwie ostatnie odznaki (potwierdzenia) należy kompletować w oddzielnych ksiąteczkach lub notesie. Zdobywanie tych odznak można połączyć i dokonywać zbierania potwierdzeń podczas wspólnej wycieczki, co oczywiście wymaga odpowiedniego ułożenia trasy wędrowki rowerowej.

Zapraszając wszystkich do zdobywania wyżej wymienionych odznak mamy nadzieję, że nasi Koledzy z woj. legnickiego prześlą Redakcji "Na Szlaku" rysunki owych odznak, tak byśmy mogli zaprezentować je naszym Czytelnikom. Szczegóły regulaminowe można zapewne uzyskać we wszystkich oddziałach PTTK woj. legnickiego.

P.A.J.

## DRODZY CZYTELNICY!

Nigdy nie myśleliśmy, że sytuacja zmusi nas do takiego kroku - połączenia numerów. Nie wynika to ze względów oszczędnościowych, dajemy w zasadzie tę samą objętość do czytania. Wynikło to wyłącznie z poważnych perturbacji technicznych wewnątrz redakcji, za co bardzo, ale to bardzo serdecznie przepraszamy. Pracujemy społecznie, szukamy coraz lepszych form wydawniczych, a to, niestety, skutkuje czasami w sposób nieprzewidywalny. Mamy nadzieję, że ta wpadka nie zniechęci do naszego magazynu.

Redakcja

# STATUT UCHWALONY

Dobiegła wreszcie końca wyjątkowo długotrwała procedura przyjęcia przez PTTK nowego statutu, która zaczęła się tzw. I turą XII Zjazdu Krajowego w październiku ub.r. Po spotkaniu w styczniu, delegaci przybyli (w liczbie ok. 70 % wybranych) na zakończenie prac 16 czerwca br. Jeszcze do północy poprzedniego dnia i tuż przed otwarciem obrad pracowały nad poprawkami prezydium Zjazdu i Prezydium ZG Towarzystwa. Zaczęło się niezbyt sympatycznie, bo od przemawiania się w sprawie wyjątkowo słabego przygotowania projektu dla delegatów, ale obiad załagodził jakby sytuację. We wrocławskiej delegacji brakowało już tylko Jana Szeftczyka, zaś jej ozdoba była Kryśka Karbownik, wspaniale prezentująca się w poczcie szlenderów. Pokazała też swój lwi pazur, gdy w odróżnieniu od pozostałych wrocławian głosowała przeciwko automatycznemu wprowadzaniu przewodniczących komisji statutowych do składów zarządów. Właśnie, co to są komisje stałe?

Walka niektórych grup działaczy, skupionych przy poszczególnych dyscyplinach turystycznych, skończyła się kompromisem, choć powstałym nie w wyniku porozumienia się, ale głosowania. Otóż w statucie wyróżniono tzw. komisje stałe, wśród nich np. turystyki górskiej i pieszej, kolarskiej, krajoznawczej itp., łącznie dziesięć. Mają one prawo (przywilej?) wybierać się na naradach aktywnych, łącznie z prezydiami. To krok naprzód w stosunku do postulatów. Jednakże większość delegatów odrzuciła możliwość uznawania przewodniczących takich komisji za członków zarządów, jeśli nie byłby wybrani nimi w normalnej drodze. I to jest jedyna różnica w stosunku do wszystkich innych komisji, rad czy zespołów, które będą powoływane przez zarządy. Nie zgodzono się także na indywidualny wybór prezesów. Większość innych zmian miała charakter drugo- czy trzeciorzędny, choć oczywiście były one ważne z punktu widzenia całości statutu. Padły dramatyczne niekiedy słowa, ale większość z nich to czysta demagogia. W wielu wypadkach delegaci dawali się temu ponieść. To obraz zresztą znany z całego naszego życia publicznego. Ale oczywiście najważniejsza zmiana dotyczyła pozycji oddziałów.

Właśnie to spowodowało także znaczne przedłużenie Zjazdu Krajowego, gdyż czynnikiem decydu-

jącym była nowelizacja ustawy o stowarzyszeniach doprowadzona w Sejmie do szczęśliwego finału dzięki staraniom PTTK i determinacji NZS. Otóż dopuściła ona możliwość uzyskania osobowości prawnej przez poszczególne jednostki organizacyjne stowarzyszeń posiadających osobowość prawną jako całość. Tego chciała większość oddziałów. Przeszło to na naszym zjeździe, rzecz jasna, bez najmniejszych zakłóceń, choć wydaje się, iż nie wszyscy delegaci i nie wszystkie oddziały są świadome tego, co to oznacza. A znaczy to, że zabraknie im teraz parasola ochronnego, jaki dotąd stanowił ZG PTTK wobec tych, którym powinna się noga - zwłaszcza w zakresie gospodarki. Kto chciał i umiał, radził sobie dobrze i bez tego, zawsze mając jednak asekurację organizacyjną. Teraz - jak wpaść to na całego. "Dobry wujek", czyli ZG, nie pomoże - trzeba będzie likwidować oddział i ponosić konsekwencje gospodarcze. A czasy są nader trudne!

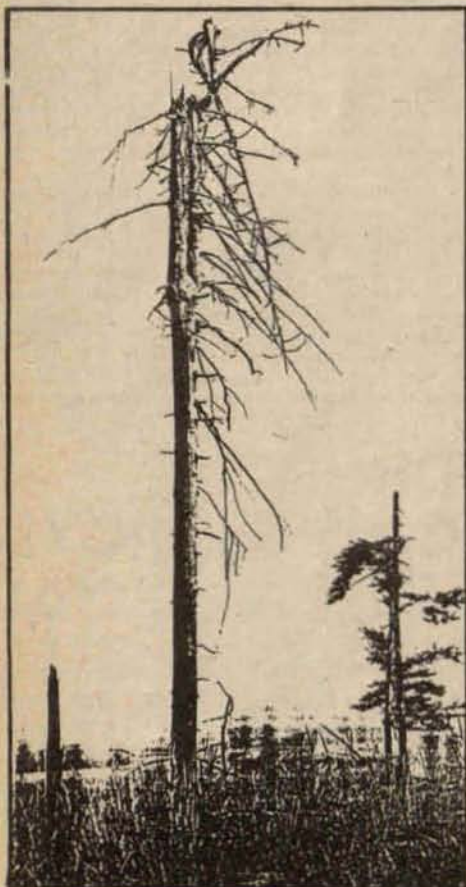
Na koniec zostawiono sprawę bodaj najtrudniejszą: struktur pośrednich, czyli czegoś ponad oddział, a niżej ZG. Komisja statutowa, niestety, tu się nie popisała. Zaproponowała jedynie zapis, by takie struktury mogły powstawać wedle życzenia oddziałów. Dyskusja rozwinęła się wszakże "wobec kształtu takiego ciała. Jedynie wrocławskie delegacja zaproponowała konkretny model, roboczo nazwany "związkiem regionalnym", który w granicach regionów historyczno-geograficznych (np. Dolny Śląsk, Mazowsze, Beskidy) ustalonych przez ZG obejmowałby właściwe terytoria oddziały dla współpracy, pomocy, koordynacji, reprezentowania interesów regionów wobec władz i ZG. Służyłby tylko i wyłącznie oddziałom. Jak potrzebne to jest, wiedzą najlepiej przewodnicy, krajoznawcy, górali. Mimo argumentacji i wyjaśniania z trybuny, o co nam chodzi, przemogła paniczna obawa przed "górami", przed "czapką", usiłowanie do ograniczenia wpływów "górnym" (ZG) przeciwieństwo tej propozycji związek byłby całkowicie odejście niezależny) do minimum. Rodziło się gorzkie pytanie: to po co w ogóle te oddziały chcą być w PTTK? Zosie-Samosie, ZG od parady? Demagogia delegatów z oddziałów mniejszych, nastawionych przede wszystkim na gospodarkę, przesłoniła istotę naszej propozycji. W rezultacie delegaci odrzucili wszy-

sko. Oddziały mogą i może dogadają się same. Tak wierzają optymiści lub ograniczeni w swojej działalności do małego podwórka, ogrodzonego drewnianym płotkiem. Takie nadzieje są bezpodstawne i należy się liczyć z faktem, iż Towarzystwo ulegnie ogromnej atomizacji na skrobące własną rzepkę oddziały. Ale pojawił się pierwszy sygnał racjonalnego myślenia. Oto jeszcze przed zjazdem oddziały woj. katowickiego, nie czekając na decyzje statutowe, postanowiły same powołać i utrzymywać taką strukturę dla siebie. Czy na Dolnym Śląsku, bo tylko w takich granicach jest sens działać, powstanie następna? Oby!

Było już tak późno, iż delegaci niemal zgodnie przeczuli na ZG obowiązek ustalenia końcowej wersji statutu wzorcowego dla oddziału i jego przyjęcie. Trochę to potrwa, ale i statut PTTK musiał jeszcze pokonać drogę sądowej rejestracji.

Świetnie prowadzący Zjazd Adam Chyżewski na zakończenie przedstawił kilka spraw, z których dwie wydają się być interesujące dla czytelników. Otóż przewodnictwo Komitetu Honorowego IV Kongresu Krajoznawstwa Polskiego przyjął marszałek Senatu RP, prof. Andrzej Stelmachowski, co stanowi duże uznanie dla tej dziedziny naszej działalności. Ponadto Zjazd przyjął rezolucję do premera RP Tadeusza Mazowieckiego wskazującą na problem wyzwania PTTK z dotychczas użytkowanych lokalni, ze względów nader finansowych, stanowiących przecież bazę dla naszej działalności programowej. Może to ostudzi niektórych zapatrzonych wyłącznie na mamone działaczy samorządów terytorialnych. I tak, po doprawdy ciężkim i dość niesatysfakcjonującym dniu, bez odpowiedzi do końca (np. na pytanie, co z zarządami wojewódzkimi zlikwidowaliśmy je, ale co dalej? Co z naszym magazynem, co z regionalnymi pracownikami krajoznawczymi, co z wielką kadrą komisji wojewódzkich? Ale to większość delegatów nie obchodziło, rozjechaliśmy się do domów. No, ja musiałem jeszcze zaliczyć z marszu posiedzenie Prezydium ZG PTTK, bo ktoś o interesie musiał myśleć. A jest o czym.

Krzysztof R. Mazurski



Kiedy to było? - powie ktoś po uzyskaniu informacji, że w Wałbrzychu kiedyś było czyste powietrze, że opodal miasta było znane uzdrowisko. Niestety, będzie miał rację, to było bardzo dawno temu.

Dziś na 1 km<sup>2</sup> centralnej części miasta spada 373 ton pyłów, stężenie tlenku azotu przekracza normę aż 13 razy, a dwutlenku siarki (o wybitnie trujących właściwościach) - 46 razy! Atmosferę wałbrzyjską "zagażują" 4 koksownie, 3 kopalnie, 3 zakłady porcelany stołowej, huta szkła i zakład

produkujący kwas siarkowy.

Nieczystości w atmosferze były już bardzo liczne w 1979 r. Nastąpiła wówczas po raz pierwszy widziana "gołym okiem" kłęska skologiczna - zwarzone zostały rośliny zatrute oparami siarki oraz tlenkiem azotu. Znaczna liczba drzew owocowych nie dała plonu. Czy kolejne tego rodzaju zjawiska wystąpią w najbliższym czasie? Trzeba się tego spodziewać, albowiem niewiele wakuje na skuteczne przeciwdziałanie skażeniom, niewiele czyni się w zakresie inwestycji ochronnych, normy zanieczyszczenia powietrza nie zostały zaostrzone, wręcz przeciwnie - wielu decydujących o rozmaitej przepustowości instalacjach czy kurkach lekceważy sytuację. Wałbrzychowi stale grozi nawałnica ekologiczna. Miasto położone w niecce ma nad sobą czasami bardzo gęste i ciężkie złogi powietrza z dużą zawartością trucizn. Emisja trucizn do tak gęstej atmosfery może w każdej chwili

przekroczyć próg odporności i wówczas wystąpi zjawisko znane jako przyducha (śnięcie ryb pod lodem z braku powietrza), co w przypadku człowieka ma już w historii najnowszej znane przypadki, np. w Londynie.

Oby kłęska nie zdarzyła się następnego dnia!

Swój wkład w poprawę sytuacji chcą mieć jak najszybciej wałbrzyjskie zakłady pracy. Niestety, tylko niektóre. Przedsiębiorstwo Eksploatacji Węgla "Dolny Śląsk" wystąpiło z inicjatywą skierowania nadmiaru pary technicznej z

## WAŁBRZYCH SMUCI NAS BARDZO

elektrociepłowni "Victoria" do centralnych oraz południowo-zachodnich części miasta. Dzięki temu kilkanaście zakładów przemysłowych, szpital i inne zakłady mogłyby zlikwidować swoje kotłownie, które - jak wiadomo od dawna - nie poprawiają stanu wałbrzyjskiej atmosfery. Obliczono, że modernizacja największego winowajcy oraz likwidacja małych kotłowni może doprowadzić do zmniejszenia emisji pyłów o 27 tys. ton rocznie. A to byłoby już dużo.

Co stoi na przeszkodzie realizacji tego zamiaru? Przede wszystkim brak koordynacji planów inwestycyjnych, brak jednomyślności w działaniu, brak środków i specjalistów, którzy wezmą na siebie ten obowiązek użycia miastu i jego mieszkańcom. Ach, te moce przerobowe!

Tomasz Kowalik

# APEL

## O WSPARCIU FUNDUSZU NA REALIZACJĘ ZADAŃ OŚWIATOWYCH I WYCHOWAWCZYCH ZWIĄZANYCH Z 1000-LECIEM ŚLĄSKA

Okolo 990 r. Śląsk stał się częścią składową państwa Mieszka I. Fakt ten miał zasadnicze znaczenie w dziejach naszego regionu i całego państwa polskiego. Związki Śląska z Polską trwają 1000 lat. Utrzymywane były również w długim okresie, gdy region ten pozostawał pod obcym panowaniem. Świadectwem obecności Polski nad Odrą i Nysą Łużycką były i są liczne pomniki kultury materialnej i duchowej, nade wszystko zaś piastowska tradycja Śląska potwierdzona w zabytkach literatury historycznej. 1000-letnia historia Śląska jest pełna powikłań, które były wynikiem nasilających się w różnych okresach wpływów poszczególnych państw i narodów. W pierwszych wiekach tysiąclecia Śląsk był częścią składową Polski. W XIV w. powrócił pod panowanie czeskie. W XVI w. wraz z Czechami wszedł w skład państwa austriackiego. W XVIII w. w wyniku wojen Austrii z Prusami został zagarnięty przez Prusy. Zmiany te powodowały odpowiednie skutki etniczne. W średniowieczu na teren Śląska napływała częściowo ludność niemiecka, która później korzystając z poparcia władców austriackich i pruskich uzyskała pozycję dominującą. Poza Polakami i Niemcami, na Śląsku zaznaczyła się obecność ludność czeska i żydowska. Zróżnicowane stosunki etniczne znalazły odbicie w życiu kulturalnym i religijnym.

W 1945 r. Śląsk niemal w całości powrócił do Polski. Nastąpiła jego szybka repolonizacja. Obecnie jest on regionem wywierającym zasadniczy wpływ na rozwój gospodarczy i kulturalny całego kraju. Powojenni mieszkańcy naszego regionu są również zróżnicowani etnicznie. Śląsk jest ojczyzną Polaków i mniejszości narodowych. Wy-

soka świadomość, kultura humanistyczna, wiedza o regionie jako wspólnej ojczyźnie nowego już pokolenia jego mieszkańców powinna tworzyć podstawę zgodnego współżycia, sprzyjać tworzeniu i upowszechnianiu również nowych wartości kulturowych.

Mając na uwadze fakt, iż procesy integracji społecznej i narodowej dokonują się na gruncie wiedzy o przeszłości i teraźniejszości regionu, Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne zgodnie ze swym programem pragnie rozwinąć na większą skalę działalność społeczno-wychowawczą nie tylko wśród mieszkańców Górnego i Dolnego Śląska. Do wznowienia działań mających na celu upowszechnianie wiedzy i kształtowanie świadomości Śląskiej wśród mieszkańców naszego i innych regionów w szczególności skłania nas Jubileusz Tysiąclecia związków Śląska z Polską. Związane z nim obchody zaprogramowane zostały na lata 1990-2000. Podjęto starania o objęcie nad nimi protektoratu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Prymasa Polski.

Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, które było inicjatorem działań jubileuszowych, przygotowało bogaty program oświatowo-kulturalny i wychowawczy o tematyce śląskiej. Jego realizacja wymagać będzie jednak odpowiednich nakładów finansowych. Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne dysponuje bardzo ograniczonymi środkami własnymi. Zwraca się więc z gorącym apelem do dolnośląskich instytucji, zakładów pracy, organizacji, przedsiębiorstw prywatnych i spółdzielczych, do osób fizycznych i prawnych o finansowe wsparcie naszych społecznych działań. Uprzejmie informujemy, że został utworzony specjalny FUNDUSZ MILENIOU ŚLĄSKA.

Konto:

DTSK Wrocław  
PKO IV O/M Wrocław  
nr 93549-11019-132  
(dopisek: Milenium Śląska)

Środki z tego funduszu Społeczny Komitet przydzielać będzie na realizację zadań oświatowych i kulturalno-wychowawczych, a w szczególności na upamiętnienie miejsc, faktów o dużym znaczeniu historycznym, ważnych dla cywilizacji i kultury polskiej i europejskiej; na realizację inicjatyw wydawniczych, m. in. wydanie książki "Orzeł polski narodził się na Śląsku", wydanie monografii zabytków i miejscowości; na prowadzenie badań nad dziejami Śląska pt. "Miejsce i rola Śląska w Polsce i Europie Środkowej"; na utworzenie placówki naukowo-popularyzatorskiej Ośrodka Prac Regionalnych; na organizację konferencji naukowych i prowadzenie Wszehnic Wiedzy o Śląsku; na powołanie do życia nowego pisma "Śląsk"; na zorganizowanie Złota Młodości Śląska na górze Ślęży.

Apelujemy o wpłaty.

Dolnośląskie Towarzystwo  
Społeczno-Kulturalne  
pl. Staszica 10  
50-221 Wrocław



## W OBOZIE

W pobliżu Strzegomia, na pagórkowatym terenie, bogatym w skały granitowe, zbrodniarze hitlerowscy urządzili 2.08.1940 r. oboz masowej zagłady - Gross-Rosen, traktowany początkowo jako filia istniejącego już obozu Oranienburg-Sachsenhausen niedaleko Berlina. Wkrótce oboz ten stał się samodzielnym, jednym z najcięższych obozów koncentracyjnych III Rzeszy. W pierwszym transporcie do Rogoźnicy przybyło 98 Polaków z obozu Koło Berlina. Od tej pory na teren Dolnego Śląska zaczęły przybywać transporty więźniów politycznych z 19 krajów Europy. Jednocześnie rozpoczęła się mordercza praca w miejscowych kamieniołomach granitu i przy urządzaniu wielkiego obozu, obliczonego z czasem na 250 tys. więźniów. Terroryzowani i głodzeni więźniowie zmuszani byli do ciężkiej pracy (latem - 14, zimą - 12 godzin z małą przerwą obiadową). Dzień pracy zaczynał się już o godz. 5<sup>00</sup>, a kończył - o zmierzchu. Każdym blokiem zarządzał Niemiec blokowy mając do pomocy 2 sztabowych. W kamieniołomach panem życia i śmierci wycieńczonych ludzi był kapo - niemiecki kryminalista, któremu obozowe władze obiecywały skrócenie kary "za usmiercenie przynajmniej 40 więźniów miesięcznie. Mordowano więc więźniów bez powodu i przy każdej sposobności. Za każdego zabitego kapo otrzymywał pochwałę i rację żywnościową swej ofiary. Gross-Rosen był wszelkie rekordy w szybkości usmiercania ludzi, nawet sami niemieccy oprawcy nazywali oboz "młynem kości ludzkich". W obozie panował straszny głód. Wartość dziennego

wyżywienia wynosiła zaledwie 500-600 kalorii. Zupa z nieoczyszczonej brukwi i przegniłych kartofli okraszona na 500 i bryi Kostką margaryny stanowiła obiad ciężko pracujących ludzi. Na śniadanie więzień otrzymywał pół litra czarnej kawy, na kolację 20-25 dkg czarnego, cienko smarowanego margaryną, często spleśniałego, czerstwego chleba. Ta porcja musiała starczyć również na śniadanie w dniu następnym.

Latem 1941 r. zaczęły przychodzić większe transporty z jeńcami radzieckimi. Z pierwszego takiego transportu liczącego ok. 2500 jeńców po trzech miesiącach zostało tylko 60 osób. Dostawali oni jedynie połowę i tak już skąpych racji żywnościowych, byli bici i mordowani w bestialski sposób. Podobny los czekał Polaków i Żydów, których niemieccy oprawcy szczególnie nienawidzili. Transport 3600 Żydów węgierskich wymordowano w ciągu kilku miesięcy, a z przywiezionych w maju 1941 r. 500 Polaków w grudniu tego roku przy życiu zostało zaledwie 12. Aby uniknąć śmierci od Kija niemieckiego kryminalisty bądź buta nieludzkiego esesmana, więźniowie wybierali dobrowolną śmierć na drutach elektrycznych lub rzucali się w głąb sztolni kamieniołomów. Próby ucieczki z Gross-Rosen kończyły się zawsze tragicznie - śmiercią na szubienicy. Specjalnie tresowane psy potrafiły wytropić każdego zbiega. Złapanego więźnia ubranego w kolorową czapkę i z przypiętą do łachmanów kartką: "Hurra, Kłedzy, znów jestem z wami" oprowadzano wzdłuż szeregów w czasie apelu. Wątpną karą było 25 kijów na ławie tortur, potem wieszano niebezpiecznika za ręce w tył na szubienicy, gdzie agonía trwała czasem kilkanaście godzin. Za każdym razem oprawcy wbijali w szubienicę

gwóźdź - w sumie naliczono ich 80.

Kiedy w 1944 r. zaczynają do Gross-Rosen napływać olbrzymie transporty więźniów z Pawiaka, Oświęcimia, jeńców z Powstania Warszawskiego, Niemcy licząc na to, że front utrzyma się na Wiśle, planują dalszą rozbudowę obozu. Front jednak ruszył w dniach 12-13.01.1945 r. i wojska radzieckie 3.02.1945 r. wkraczają na Dolny Śląsk. Niemcy rozpoczynają pospieszną ewakuację obozu. Liczne transporty więźniów poszły do Niemiec i Czechosłowacji. Z transportu 12 tys. więźniów do Dachau doszło zaledwie 4 tys., a z 8 tys. do Lutomerzyc - 840 więźniów. Ostatni transport odszedł 7.02.1945 r. do Bory. Oddziały i Frontu Ukraińskiego zastają 14-15 lutego już zupełnie pusty oboz. Zostali tu niemi świadkowie zbrodni: szubienice, krematoria, puste baraki i prochy 180 tys. pomordowanych więźniów 19 narodowości. O wielkości obozu Gross-Rosen niech świadczy fakt istnienia wielu jego filii: w Brzegu Dolnym, w Bielawie, Głuszycu, Kamiennej Górze, Sierpciu, Wallimiu, gdzie w skałach Gór Sowich ok. 40 tys. więźniów drążyło podziemne sztolnie na wyrzutnie hitlerowskiej broni specjalnej, a pod zamkiem Książ ok. 30 tys. więźniów przygotowywało, następną po Gierłożu K. Kętrzyna na Mazurach, kwatery dla Hitlera.

O tych strasznych przeżyciach obozowych opowiedział jeden z jego więźniów - p. Jarosiński ze Skarżyska, któremu udało się doczekać końca wojny.

Piotr Marzec

Wydaje się, że PTTK od momentu powstania wlecząc za sobą kulę u nogi, a kulą tą są schroniska. Przynajmniej tak można wnioskować obserwując heroiczne boje władz, a przede wszystkim administracji Towarzystwa, toczone z mizernym skutkiem o utrzymanie bazy, właściwie od 1950 r. Jest to tym dziwniejsze, że PTT do końca samodzielnego istnienia radziło sobie ze schroniskami ku zadowoleniu turystów i wcale do nich specjalnie nie dokładało. Dotyczy to przede wszystkim okresu przedwojennego, bowiem po wojnie PTT skorzystało z przyznanych środków, aby odbudować swoje zniszczone i zdewastowane obiekty, a także aby móc zagospodarować obiekty przejęte w Sudetach. Natomiast nigdy PTT nie dokładało do eksploatacji obiektów.

wy sposób eksploatacji obiektów, wypaczenie ich funkcji, programowe odwrócenie się od prawdziwej turystyki na rzecz "ruchu turystycznego", wreszcie pazerność finansowa przekraczająca granice zdrowego rozsądku skutecznie wypłoszyły turystów ze schronisk, które szermują argumentem, że musi tak być jak jest, bowiem turyści i tak nie korzystają z nich. Wielokrotnie te problemy były podnoszone na - i co? Ano nic! Jedyną odpowiedzią były próby pozbycia się schronisk z Towarzystwa, przynajmniej tej części, która wymaga pilnych remontów lub nie nadaje się na kolonie. Symptomatyczna jest też niechęć OZGT-ów do podejmowania działalności inwestycyjnej w myśl zasady: nowy obiekt to nowy kłopot.

Jedynym realnym rozwiązaniem w tej sytuacji

podki to nie koliduje z naszymi wymaganiami i regulaminami, a turyści są obsługiwani ku zadowoleniu obu stron, nie powinno nas interesować. Problem może pojawić się wtedy, gdy wpłynie skarga. W normalnych warunkach mamy tyle różnych państwowych instytucji kontrolnych, które będą obały o przepisy sanitarne, pożarowe, ceny itp., że my nie musimy już utrzymywać własnych służb tym bardziej, że za to wszystko jest materialnie odpowiedzialny dzierżawca. Natomiast w przypadku skargi turysty może ją łatwo sprawdzić bez potrzeby utrzymywania rozbudowanej służby rewizyjnej.

Proponowana koncepcja pozwala przede wszystkim na natychmiastową likwidację OZGT-ów, co było już wielokrotnie postulowane. Likwidację ne-

## Co dalej ze schroniskami,

Jak to było możliwe, skoro PTTK właściwie od początku borykało się z problemem rentowności schronisk górskich. Udół zasadnicza zmiana polegała na tym, że PTT prowadziło schroniska, a PTTK od początku ukochało "zarządzanie" wszystkim i "organizowanie" wszystkiego. Najmniej chodziło przy tym o to, jak schroniska działają i jak są eksploatowane - chodziło tylko o to, czy jest właściwie zarządzane, czy wykonuje plany, sprawozdania, posiada obłożenie itp. W PTT sprawami schronisk zajmowała się jedna tylko, centralna komórka, najczęściej jednoosobowo, a przecież wnosło ono w momencie połączenia 67 schronisk i stacji turystycznych do majątku Towarzystwa. Poza nimi były jeszcze obiekty w Sudetach, których PTT nie zdołało już uruchomić.

Po utworzeniu PTTK powołano jednostki, które miały przejąć wszystkie obiekty pod wspólny, scentralizowany zarząd. W PTT ogrom prac związanych z budową, eksploatacją i prowadzeniem schronisk spoczywał na oddziałach, dla których posiadanie własnego schroniska było punktem honoru i ambicji. Tymczasem PTTK wywarło skuteczny nacisk na oddziały, aby oddały swoje obiekty. Nie jestem nawet w stanie wymienić z pamięci wszystkich jednostek i struktur, które w PTTK tworzone dla "zarządzenia" bazą. Te różne ZUT-y, CZUT, BUI-y, BEF-y aż do Zrzeszenia Gospodarki Turystycznej i obecnych struktur z OZGT-ami, poprzez różne drobniejsze zespoły obiektów, obiekty wiodące itp. doprowadziły do obecnego stanu. Wszystkie te struktury najczęściej różniły się tylko szyldem, a łączyła je indolencja i niechęć do działań. Rozwijała się zawsze tylko administracja i jednostki nadzorująco-kontrolujące, żyjące na koszt i kosztem obiektów, a w gruncie rzeczy na koszt turystów.

Przekształcenie PTT w KTG ze wszystkimi konsekwencjami tej degradacji i wieloletnie, skuteczne tłumaczenie oddziałom, że nie powinny zajmować się bazą, doprowadziły do odwrócenia się działaczy od problematyki schronisk. Z pozycji posiadacza przeszli oni na pozycję konsumenta i to z reguły zdegradowanego.

Najdłuższą chyba schroniskami zarządzają OZGT-y pod wodzą odpowiednich komórek Biura ZG. Do czego to doprowadziło - każdy widzi. Rabunko-

wydaje się być kompletna zmiana założeń organizacyjnych naszej bazy. Optymalnym rozwiązaniem byłaby sytuacja, w której oddziały prowadziłyby schroniska na swoim terenie. Jest to na pewno pożądane, ale w obecnych warunkach trudne do realizacji. Wymagałoby gruntownej zmiany zasad, a szczególnie kierunków redystrybucji wypracowywanych w PTTK środków finansowych. Powinna obowiązywać zasada, że do obiektu nie dopłaca się. Schronisko powinno utrzymać się samo. Jest to

MAREK STAFFA

## czyli jak pozbyć się problemu bez pozbywania się schronisk

możliwe, ale nie w obecnej strukturze zarządzania. Metody uzyskiwania efektu mogą być różne, ale jedną z najskuteczniejszych, już dawno sprawdzoną, jest przejście na system dzierżawy. Nie kierownicy na etatach, ani przygodni ajenci, którzy chcą natychmiast zarobić duże pieniądze poprzez wyeksploatowanie obiektu bez nakładów i za którymi muszą chodzić codziennie różne kontrole i komisje, a których zmusza do tego sam system polegający na wyduszeniu maksymalnych zysków z ajenta, w postaci stale podnoszonych opłatności na rzecz OZGT-u. Rozwiązaniem mógłby być system dzierżawy oparty o wieloletnie umowy w którym dzierżawca-gospodarz będzie zainteresowany schroniskiem, jeśli nie całe życie swoje, dzieci i wnuków (choćby znany dynastie takich gospodarzy w schroniskach, do dzisiaj żyjących we wspomnieniach turystów), to na pewno na wiele lat. Dla PTTK zyskiem powinno być to, że dzierżawca ponosi wszelkie wydatki na wyposażenie, organizację, remonty bieżące, eksploatację i podatki. Nie musi być dotowany, a może jeszcze przynieść zysk. Nie ma tu żadnego ryzyka, a dzierżawca jest materialnie zainteresowany stałym zwiększaniem swoich dochodów ze schroniska. PTTK powinno tylko zażądać, aby w schronisku był przestrzegany regulamin, aby turyści uzyskiwali noclegi i zniżki organizacyjne, aby mogli się posilić - w ogóle, aby był zachowany podstawowy, wymagany standard wyposażenia i usług. A to czy dzierżawca z własnej inicjatywy ten standard poprawi, czy wprowadzi wytworną kuchnię, będzie sprzedawał bilety autobusowe, albo polisy ubezpieczeniowe, a może uruchomi produkcję pamiątek lub coś innego to nie powinno nam przeszkadzać. Jeżeli będzie serwował piwo lub alkohol, to do-

w stronę dawnego Zarządu Schronisk Górskich, odpowiadającego raczej za strategię, a nie zaopatrzenie bufetu w widokówki. W takim układzie schroniska mogłyby działać samodzielnie, co najwyżej pod społecznym nadzorem miejscowych działaczy.

Schroniska byłyby ekonomicznie samodzielne, ale na pewno nie byłyby zdolne do wypracowania środków na odtworzenie. Celowe byłoby maksymalne zainteresowanie dzierżawcy stanem obiektu. Oczywiście przy zawieraniu umowy należy pobierać kaucję od wartości obiektu, która stanowi zabezpieczenie ewentualnych szkód w majątku Towarzystwa, ale istniałaby możliwość stopniowego umarzenia tej kaucji z upływem lat dzierżawy. Można też rozważyć koncepcję, w której dzierżawca z upływem nienaganej dzierżawy nabierałby praw współwłaściciela, lub od razu przystępował do spółki w obiekcie, oczywiście z zachowaniem decydującego udziału Towarzystwa w takiej spółce. Mogłoby to mieć szczególne zastosowanie w przypadku nabywania nowych obiektów, których poprzedni właściciel może pozostawać współwłaścicielem w obrębie PTTK.

Wiadomo, że schronisko nie wypracuje środków na odtworzenie, odpisy amortyzacyjne są na ogół niewiele warte. Działające obecnie odpisy amortyzacyjne i na fundusz remontowy stanowią poważne obciążenie kosztów utrzymania schroniska i znaczący składnik ceny noclegu, a ich efekt inwestycyjny jest i tak znikomy. Odprowadzanie amortyzacji wynika z przepisu, a nie zdrowego rozsądku. W końcu prawie wszystkie schroniska sudeckie zostały wzniesione grubo przed 1945 r. i PTTK przejęło je już zamortyzowane (i zdewastowane), a w większości nie przeprowadzono remon-

tów kapitałnych. W tej sytuacji z upływem lat powinien tylko wzrastać fundusz remontowy, ale do rozsądnych granic. Należy znaleźć sposób myślenia ekonomicznego w Towarzystwie. Obecnie większość wypracowanych środków jest konsumowana przez aparat PTTK (wiele jednostek wypracowane środki konsumuje prawie całkowicie na własne płace). Duża część wypracowanych środków jest konsumowana bezpośrednio przez członków w postaci różnych dopłat do łapcz, wyjazdów, nagród na imprezach itp. Wydaje się, że należałoby wprowadzić zasadę, że wszelkie możliwe, wolne środki są kierowane przede wszystkim na trwałe formy działania (schroniska, szlaki), które wyróżniają PTTK i nadają mu rangę organizacji użytecznej publicznie. Rysuje się też konieczność współpracy z władzami lokalnymi w sprawie np. dróg dojazdowych, zaopatrzenia w wodę, odprowadzania ścieków, podatków gruntowych i innych. Działalność inwestycyjna w wydaniu OZGT-ów wygląda na ogół załóżnie. Wieloletnie remonty, często prowadzone pod dyktando wykonawcy, któremu opłaca się np. budowa wielokomorowej oczyszczalni przy schronisku zamiast ustawienie kontenera, robienie kamiennych wykładzin czy boazerii w każdym miejscu, przekonuje, że także w sprawach remontów dotychczasowe struktury są albo niekompetentne, albo skorumpowane przez system i wykonawców. Tworzy to w obecnym układzie chyba sytuację bez wyjścia.

Trwają jednak w Towarzystwie różne próby znalezienia wyjścia z sytuacji. Zdał próbę Fundusz Schronisk Górskich, ale jego możliwości są ograniczone i stale maleją. Budzą natomiast wątpliwości "nowoczesne", a może tylko modne rozwiązania w postaci spółek czy fundacji. W ślad za nimi idzie niebezpieczeństwo wyzbycia się w majestacie prawa bazy przez Towarzystwo. Szczególny niepokój w środowisku górskim budzą te poczynania, które firmują osoby od lat nie potrafiące rozwiązać problemów schroniskowych w ramach wykonanych obowiązków zawodowych na etatach w PTTK. Nie można więc dziwić się, że przez kraj przetacza się fala zastrzeżeń i krytyki, podbudowywana zastrzeżeniami, że "nomenklatura PTTK-owska usiłuje wmaszczyć schroniska", jak to już kilkakrotnie wyczytałem w listach skierowanych do mnie i do KTG od różnych zaniepokojonych działaczy. Turystom schroniska są niezbędne, są do nich przywiązani emocjonalnie, a wielokrotnie doświadczenia mają jak najgorsze.

Niestety, informacje na temat faktycznej sytuacji w gospodarce schroniskowej są dla turystów na ogół niedostępne, nawet w sprawozdaniach ZG. Wykazują one ilość obiektów w górach, miejsc w nich, nawet miejsc gastronomicznych. Podaje się też wyniki zbiorcze OZGT-ów i stan zatrudnienia, ale nie podaje się, ilu pracowników etatowych OZGT-ów wypada na jeden administrowany obiekt, jaka jest ich wydajność, a są to na ogół pracownicy na wyższych, wysokopłatnych stanowiskach. Według pobieżnego rozważenia można przyjąć, że na jeden obiekt w górach przypada przeciętnie dwóch pracowników w dyrekcji OZGT-u, pracowników nie mających wiele wspólnego z obiektem, ani niezbędnych do jego funkcjonowania. O przydatności OZGT-ów wiele mogą powiedzieć kierownicy i agenci schronisk, najczęściej pozostawieni sami sobie i swojej zaręczności w sytuacji nagłej awarii, remontu, potrzeby zakupu wyposażenia itp. Stan i charakter schronisk wazy bezpośrednio

i bardzo znacząco na opinii o PTTK. Są to w końcu obiekty otwarte i korzystając z nich wszyscy. Takie ich role musi być utrzymane, ale z zachowaniem preferencji dla członków. Preferencje rzeczywistych, niekoniecznych, a może nie tylko cenowych. Przywrócenie specyfiki, atmosfery oczekiwanej przez turystów, może schronisko wyjść na dobre bez konieczności szukania klienteli zupełnie nie odpowiadającej tradycji. Być może, po zmianach ze schronisk wyjdą kolonie letnie, a wrócą turyści.

MAREK STAFFA



## Zagrożenia i ochrona gór

Polska turystyka i krajoznawstwo narodziły się w Tatrach. Potęga i niepowtarzalność przyrody górskiej, jej dzikość i swoboda budziły tęsknotę za utraconą niezawisłością narodu, ze zdobywania górskich szczytów dawała namiastkę poczucia wolności i siły. Irracjonalne treści związane z górami, rozwijane i wzbogacane od przeszło stu lat przez kolejne pokolenia twórców polskiej kultury narodowej, stały się inspiracją dla dzieł artystycznych najwyższej miary.

Polskie góry odegrały wyjątkową rolę w rozwoju polskiej kultury i polskiej myśli niepodległościowej. Statut Towarzystwa Tatrzańskiego z 1873 r. wytyczał cele poznawania i ochrony gór i przyrody górskiej oraz wspieranie regionalnych tradycji kulturalnych. Ten sam cel miała uchwała "PTTK a góry" z 1961 r. O ochronie gór polskich napisano wiele, jednakże stan ich jest alarmujący, a na niektórych obszarach katastrofalny, z tendencjami do dalszego pogarszania.

Prognozy na najbliższe lata nie są optymistyczne.

- Polskie góry stanowią zaledwie kilka procent powierzchni kraju, jednakże ich całoroczna atrakcyjność rekreacyjna może być porównywana tylko z wybrzeżem Bałtyku w sezonie letnim.

- Funkcja przyrodniczo-gospodarcza gór ma znaczenie podstawowe. Z gór pochodzi 1/3 zasobów wodnych kraju. Prawidłowe zagospodarowanie ziem górskich zapewnia wyższe niż na nizinach zbiory produktów leśnych (z drewnem włącznie). Ale przede wszystkim lasy górskie stabilizują klimat i gospodarkę wodną. Funkcje te nie kolidują z właściwie pojmowaną rekreacją.

- Góry to unikatowa przyroda. Znajduje się tu prawie połowa naszych parków narodowych (7) i znaczna część cennych obszarów i obiektów przyrody objętych różnymi formami ochrony, bądź przewidywanych do ochrony.

- Obecnie lawinowo wzrasta degradacja stanu gór i ich funkcji. Zastraszająco maleją zasoby turystyczne i rekreacyjne gór wraz z rozszerzaniem się stref katastrofy ekologicznej.

Dramatyczna sytuacja obszarów górskich jest następstwem szeregu zaszłości historycznych, współczesnych nieprawidłowości lokalnych oraz oddziaływania czynników zewnętrznych spoza regionu. Zjawiska te nakładając się na siebie potęgują negatywne skutki. Ważniejszymi czynnikami degradującymi są:

- dawne błędy lokalizacyjne uzdrowisk, ich nieprawidłowy rozwój przestrzenny i funkcjonalny;
- nieprawidłowy rozwój gospodarki rolno-leśnej w historii osadnictwa - niekorzystnie wysoko położona granica rolno-leśna, niekorzystne typy i metody upraw;
- niekontrolowany rozwój techniczno-komunalnej infrastruktury osiedli, naśladowanie wzorów wielkomiejskich,

powielanych chaotycznie i w coraz większym rozproszeniu (dotyczy to również wsi i letniak!);

- brak generalnie oczyszczalni ścieków i utylizacji śmieci;

- ogrzewanie oparte na spalaniu najgorzszych gatunków węgla zamiast na gazie (odsiarczanym) lub energii elektrycznej;

- brak racjonalnego programu rozwoju ziem górskich, godzącego potrzeby ochrony przyrody, interes mieszkańców i turystów;

- brak koordynacji wszystkich działań instytucji, przedsiębiorstw i gospodarstw przez terenową administrację;

- niekompetencja administracji terenowej niższych szczebli;

- niski poziom wiedzy ekologicznej mieszkańców obszarów górskich, dążenie do jak największych i szybkich zysków;

- masowy, żywiołowy i niekontrolowany ruch rekreacyjny, lokalnie znacznie przekraczający dopuszczalne poziomy;

- nieprzemyślane lokalizacje inwestycji dewastujących przyrodę i nie odpowiadających funkcjami i skalą specyfice regionu (zakłady przemysłowe, zbiorniki wodne, linie komunikacyjne i energetyczne itp.);

- dalekie oddziaływania emisji przemysłowych gazowych i pyłowych.

Winne takiemu stanowi są obowiązujące regulacje prawne. Od ich zmian i uporządkowania zależać będzie dalszy los obszarów górskich w Polsce. PTTK od lat domaga się ustawowej ochrony polskich gór. Odpowiednie zmiany należy wprowadzić w ustawach o ochronie przyrody, ochronie środowiska, planowaniu przestrzennym, ochronie gruntów rolnych i leśnych, prawie wodnym i budowlanym oraz uprawianach samorządów terytorialnych. Przyroda gór musi wrócić do równowagi. Regiony górskie powinny spełniać potrzeby rekreacyjne człowieka XXI wieku, który przede wszystkim będzie szukał zdrowej przyrody i naturalnego krajobrazu. Regiony górskie powinny zachować ciągłość historii i kultury. Ostatni już czas, aby uświadomić społeczeństwo o wyjątkowości walorów gór, o dramatycznym stanie zagrożenia, o konieczności azeroko zakrojonych, kompleksowych działań ratunkowych. PTTK - organizacja zrzeszająca wędrowców, krajoznawców i ochroniarzy jest predysponowana i moralnie zobowiązana do podjęcia takiej kampanii informacyjnej i do kontroli realizacji przez władze wszystkich szczebli koniecznych przedsięwzięć. Trzeba połączyć siły wszystkich organizacji ochroniarskich i regionalnych. Trzeba stworzyć silny front nacisku na władze państwowe, instytucje, przemysł i na całe społeczeństwo. W interesie obszarów górskich i całego naszego narodu.

KOMISJA OCHRONY PRZYRODY ZG PTTK

# Klasa przyszłych przewodników

Zdarza się często, że żyjemy dla pewnej idei godząc się jednocześnie z rzeczywistością, w której nie może się ona w pełni zrealizować. Dla wielu przewodników, krajoznawców i działaczy turystycznych tą ideą jest zaszczepienie młodzieży pasji krajoznawczej, rozbudzenie zamiłowania do wędrowek, wychowanie w przyjaźni, nauczenie zdobywania wiedzy o swoim regionie, kraju, poznawania ludzi, którzy ten kraj budowali i budują, którzy pozostawili po sobie jakiś trwały ślad. Realizacja takiej idei to bardzo długi proces. Nie wystarczy kilka wycieczek, kurs organizatora turystyki ani nawet kurs przewodnicki. Musi to być długotrwałe, wszechstronne i dobrze przemyślane działanie. Nie zdoła tego zrobić jeden człowiek. Młodzież musi być otoczona ludźmi opartymi na tej idei. Wszystkich, którzy kiedykolwiek myśleli o tym, zapraszam do współpracy przy prowadzeniu klasy o profilu krajoznawczo-turystycznym. Klasa o takim właśnie profilu będzie prowadzona od września br. w V LO we Wrocławiu. Zapotrzebowanie na taką klasę było wśród młodzieży i krajoznawców zawsze bardzo duże, ale nie zawsze istniały warunki obiektywne sprzyjające takemu przedsięwzięciu. Dziś stało się to realne. Na pierwszym Informacyjnym

spotkaniu chęć uczenia się w tej klasie zgłosiło ponad 80 uczniów. Nie wykluczone, że przy szerszym rozpropagowaniu klasy chętnych będzie więcej. Klasa będzie liczyć 24 uczniów. Wstępny egzamin odbył się na początku kwietnia.

Wiodącymi przedmiotami w tym profilu będą:

- język polski (elementy krasomówstwa)
- język niemiecki (korzystanie ze źródeł, przewodnictwo w tym języku)
- historia (poszerzona o historię Śląska)
- geografia (poszerzona o zagadnienia regionalne)
- historia sztuki
- turystyka (pełny zakres zagadnień związanych z turystyką i krajoznawstwem).

Planowane są wycieczki do wszystkich ważnych regionów krajoznawczych Polski, a w klasie trzeciej, na wzór warsztatów w technikum, w każdym tygodniu wycieczka szkoleniowa pod opieką przewodnika miejskiego, terenowego czy sudeckiego. Po pierwszym semestrze klasy IV młodzież będzie mogła przystąpić do egzaminu przewodnickiego na każdy rodzaj uprawnień.

Absolwenci tej klasy będą dobrze przygotowani do kontynuowania nauki na humanistycznych kie-

runkach uniwersyteckich lub związanych z turystyką na AWF lub na AE. W klasie trzeciej i czwartej stworzone zostaną możliwości fakultatywnego nauczania fizyki, chemii czy biologii.

Zwracam się z prośbą do wszystkich Koleżanek i Kolegów z ruchu turystycznego, do organizacji, towarzystw i instytucji zainteresowanych powodzeniem przedsięwzięcia o pomoc i współpracę. Chodzi o to, by młodzieży dać wszystko, co najlepiej służyłoby realizacji tej pięknej idei.

inicjatorów i organizatorów tego nowego kierunku są przekonani, że absolwenci będą usatysfakcjonowani, a społeczeństwo zaspokoi potrzeby turystyki w szerszym znaczeniu.

Autor i wychowawca  
klasy krajoznawczo-turystycznej  
przewodnik sudecki II klasy  
Stefan Mizia

## UZUPEŁNIENIE

Czytelnicy zapewne zorientowali się, iż "Wspomnienie o Jurku" w nr. 2/90 dotyczyło oczywiście Jerzego Bohdanowicza. Ale chyba nie wszyscy, co stało się z winy Redakcji. Przepraszamy Was i Autora z tego tytułu. Chochlik nie łą!



*Nasze zrzędy,  
problemy,  
delegaci*

Kończąc ten nieco długi serial o zjazdach okręgowych i wojewódzkich PTTK we Wrocławiu (szkoda, że nie otrzymaliśmy podobnych materiałów z innych województw dolnośląskich), który chyba wazakże ocenił garść informacji o naszej pracy i naszych działaczach, podnieść trzeba jeszcze dwie sprawy. Otóż wypadłoby opisać w tej samej konwencji ostatni i pierwszy też zjazd, ten z 1951 r. A więc co do tego pierwszego z wymienionych.

W piękny, słoneczny dzień (skłaniający niektórych do narzekania na coraz częstsza turystyka konferencyjna w PTTK, w której niektórzy mogliby już zdobyć dużą odznakę z brylantami) spotkali się w Klubie Lekarza 10.06.1989 r. na XII Wojewódzkim Zjeździe PTTK. W liczny i bardzo znajomyjony między sobą gronie byli m.in. Henryka Bednarczyk, Zofia Czech, Andrzej Geło, Władysław Januszkiewicz, Teodorja Pluta, Zbigniew Szkolnicki, Roman Pawłowski, Stanisław Kolbusz, Edward Łuczak, Krzysztof Białobłocki, Czesław Cetwiński, Piotr Jeszke, Wojciech Radliński, Marek Sztot, Janusz Zakrzewski, Roman Borsuk, Mieczysław Korzycki, Anna Oliwa, Jerzy Olejniczak, Honoriusz Tutak, Antoni Barcikowski, Zygmunt Wojciechowski, Witold Kazimierczak, Grzegorz Homaczk, Jan Chudzik, Zofia Szołdra, Irena Dudek, Andrzej Dubiński i wielu innych znakomych. Chyba każdy zauważył, że tym razem wyjątkowo duże grono stanowiły nasze koleżanki. Czyżby to coś oznaczało? Wśród gości wymieniał przede wszystkim Jana Komornickiego - wiceprezesa PTTK, Marię Bożenę Szczepańską - wicewojewodę wrocławską, Andrzeja Włodarczyka - kuratora oświaty i wychowania, Janusza Krasonia - zastępcę dyrektora Wydziału Młodzieży, Kultury Fizycznej i Turystyki UMWMW, Stanisława Kotełkę z ZW Wałbrzych, Wacława Szymczaka z ZW Leszno i Romana Rubina z "Wieczoru Wrocławia" (jedynego zresztą z zaproszonych redaktorów).

Początek był typowy: wybór przewodniczących (Marek Staffa i Krystyna Karbownik), uczczenia 13 zmarłych działaczy w poprzedniej kadencji, wręczenie licznych odznaczeń (w tym państwowych) i sprawozdanie prezesa zastępczego Zarządu, Janusza Szewczyka. Podziękowania za duży wkład pracy w tak

trudnych warunkach społeczno-gospodarczych złożyli przedstawiciele WK ZSL i UMWMW, a potem rozpoczęto dyskusję. Na rozgrzewkę Krystyna Karbownik sypnęła garść pytań, m.in. w sprawie istnienia Komisji Fotografii Krajoznawczej, Regionalnej Pracowni Krajoznawczej, wpiąt ze strony oddziału BTZ. Czesław Sadrakuta, chwalać ostatnią Młodzieżową Olimpiadę Krajoznawczą, zganił ZHP za brak współpracy (dobrze przecież wiemy, że ma on inne problemy!). Władysław Mianowski skrytykował sposób naliczania odpisów na Pundusz Pomocy Oddziałom, zaś Andrzej Jaworski (dyrektor oddziału BTZ) wyjaśnił sprawę niższych wpiąt na EPO faktem przekazywania w 1988 r. wszystkich własnych imprez masowych do sprzedaży w BORT-ach. Drugo i pryncypialnie przemawiał Marek Staffa twierdząc, iż PTTK odeszło bardzo daleko od ideałów PTT i PTK, włączając się coraz ciężej z aparatem państwowym i wnikając się w sprawy gospodarcze, uzależniając się też od własnej administracji. Turystyka kwalifikowana stała się marginesem działalności. Konieczne jest zreformowanie pracy Towarzystwa, zmiana systemu gospodarowania bazą PTTK i przesunięcie działalności gospodarczej poza jednostki statutowe.

Jerzy Załęski omówił kolejne statuty, jakie obowiązywały w PTTK, optując za tym z 1958 r. Bronisław Zathey podkreślił dorobek SKRT, wysoko ocenił wypracowany w naszym województwie system szkoleniowy. Jak najszybciej trzeba doprowadzić do uregulowania spraw przewodnickich w sposób ustawowy. Status stowarzyszenia wyższej użyteczności, nadany PTTK, tylko mu zaszkodził, stwierdził Józef Wojciechowski. Konieczne trzeba rozwinąć działalność gospodarczą, gdyż wiele oddziałów nie utrzyma się w nowych warunkach. Potrzebne są intensywniejsze działania na rzecz ochrony środowiska.

Jan Komornicki ustosunkował się do niektórych wypowiedzi, nie zgadzając się w szczególności z tezą o braku kontynuacji PTT i PTK. Rzeczywiście, w chwili obecnej PTTK przeżywa dylematy działalności, które narzuca nam bieżąca chwila. Musimy jednak przetrwać i mieć środki na to. Krystyna Karbownik szeroko przedstawiła swoją działalność w ZG. Nawoływała też do działalności gospodarczej, ale widząc ją jako osiągnięcie środków tą drogą przez ZW na rzecz oddziałów nie prowadzącej jej. Stanisław Kolbusz zaspokoił o ratowanie zespołu poklasztorowego w Lubiążu. Być może PTTK weszłoby w spółkę, jaka w tej sprawie ma się zawiązać?

Były i wybory, które w przypadku składu ZW należało przeprowadzić ponownie ze względu na nie obsadzenie jednego miejsca. Skończyło się to wszystko po 22.00 i już znacznie mniejsza liczba od 87 obecnych delegatów rozeszła się do domów.

Nie przedstawiam osiągnięć i pracy ZW i jego komórek, gdyż sprawozdanie zostało zawarte na 71 stronach. Było ono generalnie rzetelne i szczegółowe, dużo liczb, choć niekiedy brakowało nazwisk w składach poszczególnych komisji i rad. Zawarto w nim też realizację uchwały XI Zjazdu i omówienie działalności gospodarczej. Zrucała się w oczy niewatpliwie duża ilość posiedzeń wyjazdowych Prezydium ZW i częste zajmowanie się przezeń kolejnymi komisjami, z których część przeżywała wyraźny regres, w tym wspomniana Komisja Fotografii Krajoznawczej. (Na marginesie trzeba zauważyć, że tylko we Wrocławiu - poza Markiem Pieczonką z Wałbrzycha, są instruktorzy fotografii krajoznawczej uprawnieni do weryfikacji Odznaki Fotografii Krajoznawczej. Wymieniam ich: Irena Kozioł, Jerzy Maciejewski, Henryk Matuzewski, Jerzy Załęski i autor. Zapraszamy!).

A teraz druga sprawa. Mimo któregoś z rzędu poszukiwania w rozmaitych zbiorach archiwalnych nie udało się odnaleźć żadnych materiałów dotyczących PTT i PTKraj. Na Dolnym Śląsku, ani też o ich zjeździe zjednoczeniowym we Wrocławiu. Niestety, również mimo apelu do czytelników naszego magazynu nie otrzymaliśmy żadnej informacji. Jedynie, co zdołaliśmy ustalić, to materiały ze "Słowa Polskiego", zamieszczone w numerze 78 z 19.03.1951 r. Na stronie 2 pomieszczone w nim notatkę pt. "I maja wielka sztáfeta turystyczna Świeradów - Ładek Zdrój organizację PTTK". Czytamy w niej, iż wczoraj (a więc 18 marca) w sali ORZZ odbył się I Organizacyjny Zjazd Delegatów Okręgu Wrocławskiego PTTK, na którym referat ideowo-programowy wygłosił delegat Zarządu Głównego PTTK, poseł (Marek) Arczyński. Jedyną konkretną do tego, iż nastąpi rozwój Towarzystwa do 405 kół na wsi i że i maja wraz z ZHP zostanie przeprowadzona sztáfeta na trasie podanej w tytule. Na zakończenie nastąpiły wybory władz Zarządu Okręgu. Jednym słowem - szczyt doktryności dziennikarskiej! Równie na okrago sformułowano artykuł na stronie 4 tegoż numeru pt. "Przyjemne poiaczy z politycznym - masowy ruch turystyczny zorganizowany na nowych podstawach". Nie podpisany autor wymienia zadania i cele PTTK, coś pośredniego między cytowaniami Statusu a referatem "idowym" - też bez żadnych konkretnych. Czyli - dalej nic nie wiemy, choć to i tak wiele w porównaniu z brakiem jakiegokolwiek wzmianki o tym zjeździe w "Gazecie Robotniczej". Pozostaje więc tylko znów odwołać się do Czytelników - może tym razem poskutkuje?

A więc - kto wie coś konkretnego lub posiada jakieg materiały o zjeździe 18.03.1951 r. we Wrocławiu? Wydrukujemy!

Krzysztof R. Mazurski

# ROZMYŚLANIA NA SZLAKU /5/

Jak wyglądają Góry Izerackie - nie trzeba nikomu przedstawiać. Ten kto je widział i wędrował przez nie w ostatnich latach, wstrząśnięty jest stopniem ich zniszczenia spowodowanego działalnością ludzką, pozbawioną przewidywania jej skutków. Ale jak to zwykle bywa - człowiek nie powiedział ostatniego słowa. A oto przykład. Jest na Hali Izerackiej budynek użytkowany przez zielonogórski "Almatu". Nazwano ten budynek "Chatą Górzystów". Ta dziwna nazwa kojarzy mi się z radością twórczością w nazewnictwie w rodzaju: "zwis męki elegancki" czy "upiór dzienny". Swego czasu Jan Styka chciał w krakowskim Barbakanie wymalować panoramę bitwy grunwaldzkiej. Pomyślał ten wymalował Boy w wierszyku pt. "Mistrzowie Styce". Pozwolę sobie zacytować początkowy fragment tego wiersza:

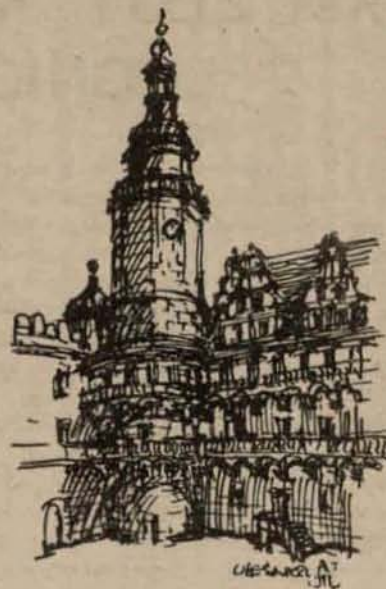
"Zobaczył pan Styka,  
Jak raz mały kandel  
Podniósł zdniają zapkę  
I spaskudził Hondel,  
Oj dana!  
I przyszła Mistrzowi  
Do głowy myśl słodka:  
A gdyby to samo  
Zrobił ode środka!  
Oj dana!

Ludziom z "Almatu" również przyszła go gło-

wy myśl słodka, aby spaskudzić do reszty Góry Izerackie. Objawiało się to także ciagotami malarskimi i wymalowali nowy szlak od tejże "Chaty Górzystów" do schroniska PTTK "Na Stogu Izerackim" i w drugą stronę do szlaku czerwonego. Trudno przewidzieć, czy ta radośna twórczość na tym się skończy. Artyści malarze z "Almatu" chcą chyba zdobyć sławę genialnych prymitywistów w rodzaju Nikifora czy Ociepki, gdyż każdy znak ma inny kształt i wymiar, a środkowy pasek złoty też rządzi się swoimi prawami. Każdy ma różną szerokość i nigdy nie jest w środku. Oczywiście są "znawcy", którzy zachwycają się prymitywistami, ale ich dzieła można oglądać w pomieszczeniach zamkniętych i nikt nie jest zmuszony do oglądania tych dzieł. Tu natomiast każdy wędrujący przez Góry Izerackie narażony jest na spotkanie z almaturowską produkcją. I tu nasuwa się refleksja: a jeśli inne usługi zielonogórskiego "Almatu" są na takim samym poziomie, jak ten szlak, to klientom należałoby się wyrazić głębokiego współczucia. A swoją drogą "Almatu" jest bogatą firmą, skoro stał go na wyrzucenie pieniędzy.

I na zakończenie należy zapytać, za czyje pieniądze trzeba będzie to "arcydzieło" zlikwidować lub doprowadzić go do właściwego staru.

Zbigniew Garbaczewski



Obchodzimy 70-lecie zorganizowanej służby meteorologicznej w Polsce. Aliści okazuje się, że ma ona wielkie i wieloletnie tradycje, sięgające czasów insurekcji Kościuszkowskiej, a nawet kilkadziesiąt lat wcześniej.

W 1919 r. spośród wielu placówek powstających jakby "na suchym korzeniu" na przypomnienie zasięgają placówki naukowe, których protoplastą było sięgające jeszcze czasów staszczowskich Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. To z jego pracowni Maria Skłodowska wyniosła swe pierwsze doświadczenia i sukcesy badawcze, to z jego sponsorów wywodzili się potem badacze i organizatorzy wielu placówek naukowych. Jedną z pierwszych był Państwowy Instytut Meteorologiczny. Była to - jak ją wówczas nazwano - służba pogody. Ważnym i zarazem głównym zadaniem Instytutu było prowadzenie badań klimatycznych, pogodowych, hydrologicznych.

## DRUGA Z KOLEI STACJA METEO

Ale sięgając do tradycji i dalej w przeszłość okazuje się, że już np. w Kronikach klasztornych figuruje wiele notatek o pogodzie, w których można znaleźć informacje o przebiegu zjawisk atmosferycznych, klęskach żywiołowych, suszach, powodziach, wichurach, nawalnych deszczach, gradobicach, upadkach meteorów itp. Nieliczne zachowane do dziś kroniki "pogodowe" pozwalają na udokumentowanie zmian zachodzących w klimacie naszych ziem. Oto już w XV i XVI w. systematycznie prowadzono również zapisy pogody na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wymiana informacji na temat pogody była na porządku dziennym, także między klasztorami i uczelniami poza naszym krajem, co dawało orientację o warunkach panujących "za granicą". Wiadomo, że np. Kraków współpracował w tym zakresie z Wilnem i Florencją.

Data narodzin nowoczesnej meteorologii jest wiek XVII, kiedy to zaczęto posługiwać się nie tylko zapisem zjawisk i notatkami o wydarzeniach niezwykłych dla danej pory roku, ale przyrządami pomiarowymi, zwłaszcza umożliwiającymi pomiar temperatury i ciśnienia. W XVIII w. powstały pierwsze wyspecjalizowane stacje meteorologiczne. Pierwszą taką stacją istniała na wsi Zanku Królewskiego w Warszawie już w 1779 r., a prowadził ją astronom Bystrzycki.

Warto podkreślić, że kolejna, druga znana stacja tego rodzaju powstała w 1791 r. we Wrocławiu, a następnie w 1794 r. w Krakowie i Wilnie i w 1807 r. w Gdańsku.

Rozwój meteorologii i stacji obserwacyjnych następował wraz z rozwojem badań klimatologicznych i pokrewnych dziedzin, a także wraz z rozwojem potrzeb gospodarczych. Od wiosny 1919 r. zaczęto nadawać komunikaty o stanie pogody na obszarze kraju. Pochodzili ze stacji terenowych, a sumowane były w PIN-ie w Warszawie. Informacje te zbierano najpierw dość tradycyjnie, jednak już w 1924 r. powstało 7 stacji meteorologicznych, a niebawem Biuro Pogody. W tym samym czasie zaczęto badać pogodę w rejonie wybrzeża Bałtyku, co doprowadziło do specjalizacji i powołania Wydziału Morskiego.

Kolejne etapy to badania stanu wód na polskich rzekach - codzienny komunikat nadaje Polskie Radio. Instytucja ta od swego zarania informuje o pogodzie, i to kilka razy dziennie. Wiadomo także, że o pogodzie i warunkach sprzyjających turystom i krajoznawcom mówili w swoich radiowych pogadankach

Aleksander Janowski (już w 1926 r.!!!) oraz Mieczysław Orłowicz, doradzając trasy wycieczek i wędrowek. Warto też dodać, że Wysokogórskie Obserwatorium Meteorologiczne na Kasprowym Wierchu, zbudowane w latach 1936-1937, powstało jako wynik m.in. zapotrzebowania na informacje o pogodzie dla obazaru Tatr i Podhala ze strony coraz liczniejszych w tym regionie turystów i wczasowiczów.

Obecnie działają w Polsce 64 stacje meteorologiczne, 5 stacji aerologicznych i 7 tysięcy posterunków obserwacji zjawisk pogodowych. Zajmują się one wszystkimi zjawiskami pogodowymi, a także zjawiskami z zakresu ochrony środowiska i skażeń radiologicznych, ochrony wód i powietrza. Obecnie Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej opracowuje za pomocą specjalistycznego personelu i sprzętu kilkadziesiąt komunikatów i analiz pogody dla wielu instytucji, z lotnictwem i rolnictwem na czele. Coraz większe jest zastosowanie anten, radarów, rakiet, satelitów meteorologicznych i komputerów do opracowywania danych.

A to wszystko także po to, żeby turysta ruszając na szlak wędrowki wiedział więcej przed wyruszeniem, czyli stosował się do kapitałnej zasady: dowiedz się jak najwięcej o terenie przed wycieczką.

Tomasz Kowalik

## Listy

Młi Młodzieżowi Organizatorzy Turystyki z MJK im. M. Kopernika we Wrocławiu

Z uwagą przeczytałem skierowaną do mnie Waszą wypowiedź zamieszczoną w nr 2/20 "Na Szlaku". Początkowo miałem zamiar niepodejmowania polemiki, jednak uderzył mnie fragment przypominający dawne dobre czasy. Otóż jeżeli w pranie ukazała się niepochlebna notatka o kelnerze, konduktorze czy pracowniku z innej branży, natychmiast odzywało się jakiegoś gremium i dawało upust swemu oburzeniu na szkolenie odpowiedzialnej i trudnej pracy w tych zawodach, domagając się sprostowania informacji, przeproszenia pokrzywdzonych i ukarania piszącego. Nie wiem dlaczego Młodzieżowi Organizatorzy Turystyki poczuli się obrażeni; przecież mój felieton ich nie dotyczył. O ile mi wiadomo, było lub jeszcze jest nadal w Polsce kilkadziesiąt organizacji i towarzystw, które w swoim statucie jedną z działalności podają wychowanie młodzieży. Jak to wygląda w praktyce, każdy widzi. I tu zacytuję mądrość ludową: "Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść". Moim zdaniem do wychowania młodzieży powołane są tylko dwie instytucje: dom i szkoła, no może jeszcze Kościół, który na razie zajęty jest polityką. Muszę tu zaznaczyć, że ja zwracam uwagę na każde niewłaściwe zachowanie się na szlaku, czy to młodzieży, czy też dorosłych. Z jaką reakcją się spotykam, przytoczyłem w poprzednim felietonie.

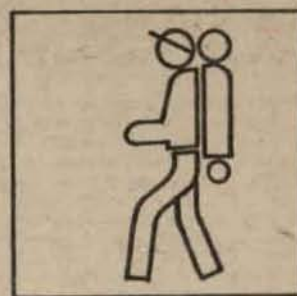
Zbigniew Garbaczewski

# NOWOŚCI TURYSTYCZNE

Informuję, że w Karkonoszach został zmieniony kolor i przebieg szlaku czarnego z Polany do Słonecznika. Obecnie jest to szlak zielony i stanowi przedłużenie szlaku zielonego kończącego się dotychczas na Polanie. Na wniosek Dyrektora KPN częściowo uległ zmianie przebieg tego szlaku. Obecnie prowadzi on cały czas drogą razem ze szlakiem narciarskim (tyonki). Skasowaniu uległ odcinek biegnący ścieżką przez koso-drzewinę.

Zbigniew Garbaczewski

# XIX ZLOT KRAJOZNAWCZY „LEGNICKIE POLE”



XIX Zlot Krajoznawczy odbył się w Legnickim Polu 7 kwietnia 1990 r. W imprezie wzięło udział 215 osób, które reprezentowały miasta i wioski Zagłębia Miedziowego. Przybyli turyści z Bleniowic, Bartoszowa, Chobieni, Polkowic, Jawora, Złotoryi oraz z 6 szkół podstawowych i 2 szkół średnich (Zespół Szkół Zawodowych Odzieżowych i Zespół Szkół Elektro-Mechanicznych) z Legnicy. Wzięła też udział spora grupa przewodników z woj. legnickiego i Klub Turystyki Pieszej „Wszędolazy” z Legnicy. Ponad 50 rowerzystów przyjechało z pobliskich miejscowości, a wśród nich grupa zlotoryjska pod kierownictwem „znanego i cenionego kolarza-turysty Henryka Stachowskiego. Impreza odbyła się w ramach obchodów 750 rocznicy bitwy wojów Henryka Pobożnego z Mongołami w 1241 r. i Miesiąca Pamięci Narodowej. W woj. legnickim jeszcze obędzie się kilka imprez turystycznych, sesja naukowa i ukaże się kilka wydawnictw popularnych poświęconych bitwie pod Legnicą. Podczas omawianej imprezy zostały przeprowadzone konkursy. Głównym był konkurs krajoznawczo-historyczny poświęcony zagadnieniom Ziemi Legnickiej i bitwie na Dobrym Polu w 1241 r. Wygrał go uczeń ze Szkoły Podstawowej Nr 19 w Legnicy (najlepszy indywidualnie był Krzysztof Sapielak) i otrzymał puchar Prezydenta Miasta Legnicy. Puchar Wojewody Legnickiego za zdobycie największej ilości

punktów został wręczony Szkole Podstawowej w Chobieni (woj. Legnica). Najlepszym i najładniejszym latawcem popisał się uczeń z Bartoszowa. Były też inne konkursy, bardzo ciekawe, wywołujące śmiech, choć było zimno i trudno wytrzymać w takich warunkach atmosferycznych. Wszyscy uczestnicy byli jednak zadowoleni, a organizatorzy zdali egzamin na „piątkę”. Należy więc organizować takich imprez.

Miłym akcentem tej uroczystości było złożenie kwiatów przez uczestników „Legnickiego Pola 90” pod tablicą Anieli Krzywoń, która oddała życie w bitwie pod Lenino w 1943 r., oraz przed pomnikiem zamordowanych w II wojnie światowej. Wszyscy uczestnicy tej niezapomnianej imprezy otrzymali od organizatorów znaczek rajdowy, dyplomy i ciepły posiłek. Nagrody i upominki ufundowali Zarząd Wojewódzki PTTK w Legnicy oraz Komenda Hufca Związku Harcerstwa Polskiego i Zarząd Oddziału PTTK w Legnicy.

Następny, XX Jubileuszowy Zlot Krajoznawczy „Legnickie Pole” będzie imprezą ogólnokrajową i obędzie się w 770 rocznicę bitwy na Dobrym Polu. Już dziś organizatorzy zapraszają młodzież i dorosłych z całego kraju na tę wspaniałą imprezę.

R. Jaźwiński

## Członek Honorowy

### KAROL GANZEL

*Można Go często spotkać we wrocławskim Zarządzie Wojewódzkim PTTK, ale tym razem udzielił się celowo - chciałom bowiem poznać turystyczne losy Karola Ganzela i starałem się je spisać i zaprezentować Czytelnikom „No Szlaku”.*

Przygodę z zorganizowaną turystyką rozpoczął już w 1932 r. Wówczas to jako młody mieszkaniec Cieszyzna, pracujący w „Orbisie”, wstąpił w szeregi Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Legitymacja PTT umożliwiała przejście przez granicę, a piwo po czeskiej stronie było znacznie tanższe i lepsze niż na Śląsku Cieszyńskim. Opowiadając o tym okresie, nowo mianowany Członek Honorowy PTTK, Karol Ganzel przyznaje, że był to krótki

Polskiego. Ze szczerą satysfakcją pokazywał mi zdjęcia (niestety nie nadające się do reprodukcji) wykonane w owym czasie w Kolobrzegu i w Berlinie. 12 lipca 1945 r. na pierś Karola Ganzela zawisł Krzyż Grunwaldu III klasy.

Już po zakończeniu działań wojennych pełnił (do 1948 r.) służbę w różnych jednostkach wojskowych rozminowując ziemie śląskie, by wręczyć trafić do Wrocławia. Zdemobilizowany ma trudności ze znalezieniem pracy, dojeżdża wiele kilometrów, a mimo to postanawia studiować na Wydziale Historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Tu, po wygłoszenie prelekcji na temat wyzwolenia Śląska spod okupacji niemieckiej, po wielu latach niewidzenia się, spotyka w 1955 r. członka rodziny, którym był, nieżyjący już dzisiaj, Bronisław Turon. To chyba pod jego wpływem Karol Ganzel został w 1958 r. członkiem koła PTTK

## Na szlaku życia

okres (rocznej przynależności do PTT) i raczej nie zapisał się w pamięci w jakiś szczególny sposób. Później zmiany miejsca zamieszkania w poszukiwaniu pracy zarobkowej, obowiązkowa służba wojskowa, ponownie praca zawodowa. Wojna zastała Karola (już jako małżonka) w Łucku. Pracował tu do 1944 r. w „Pagodzie”. Ukrył się przed hitlerowcami, co zapobiegło wywózowi w głąb Niemiec, ale wkroczenie do miasta partyzantów, a później wojsk radzieckich, spowodowało wciągnięcie Go do Armii Czerwonej. Dość szybko jednak trafił do Wojska Polskiego, ukończył kurs oficerski i już jako saper wędrował szlakiem bojowym I Armii Wojska

przy Archiwum Wojewódzkim.

Do pierwszych prac organizatorskich Karol włączył się na przełomie lat 1960 i 1961, angażując się w prace Wrocławskiego Klubu Piechurów (nazwanego później „Perpedes”). Żył w tym czasie ustabilizowało się na tyle, że część czasu wolnego można było poświęcić pracy społecznej. W „Perpedesie” pełnił Karol funkcję prezesa, później pracuje w Komisji Rewizyjnej. Współpracę z klubem „zaocowała” zdobywaniem odznak turystyki pieszej (popularna już w 1961 r.) i w efekcie otrzymaniem 8.02.62 r. uprawnień przewodnika turystyki pieszej. Umilowanie nizin nie przesłaniało Jemu uroków gór. Wędrował po nich, organizował wyprawy, uczestniczył w imprezach, poznawał je, by 28 kwietnia 1970 r. zostać przewodnikiem GOT, rok później

otrzymał mianowanie na stopień instruktora Krajoznawstwa Regionu. Był też instruktorem Kształcenia Kadr.

W 1968 r. współtworzył Oddział Wojskowy PTTK, pełnił w nim funkcję wiceprezesa, później przez wiele lat szefował Komisji Turystyki Pieszej i Krajoznawczej.

Swoją działalność rozwijał też Karol Ganzel na szczeblu Zarządu Wojewódzkiego PTTK, będąc przez dwie kadencje (od 1977 r.) Prezesem Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej, później (jedną kadencję) jej członkiem. Działalność w tej sferze została pozytywnie oceniona, przez co, w latach 1981-1985 był wiceprezesem Komisji Rewizyjnej ZG PTTK.

Wracając jednak na Dolny Śląsk - należy wspomnieć, że przez wiele lat (od 1962 do 1984 r.) był Karol Ganzel wiceprezesem Okręgowej, później Wojewódzkiej Komisji Turystyki Pieszej, której przejął (1984-1985) szefował. Od 1985 r. jest członkiem tejże, przy czym podkreślić należy fakt, że przez wszystkie te lata zajmował się sprawami przewodnickimi. Jego działalność w turystyce pieszej została zauważona i wysoko oceniona już dawno, jako że już w 1978 r. otrzymał tytuł Honorowego Przewodnika Turystyki Pieszej.

Działalność „biurokratyczna” nie przysłaniała Karolowi Ganzelowi pracy organizacyjnej związanej z planowaniem oraz realizacją imprez o różnorodnym charakterze i wydźwięku. Wspominając je obecnie - zatrzymuje się nasz bohater na I, IV i VII Międzynarodowym Zlocie Przyjaźni (organizowanych na Dolnym Śląsku). Opowiada - jakby jeszcze z podziwem - o dwóch obywatelach NRD, którzy tańczyli na rozburzonych węglach nie obawiając się o stan własnego zdrowia; ale dodaje bardzo szybko, że znaleźli się Czech i Polak, którzy poszli w ślad pierwszych „baletmistrzów”. Za aktywny udział, zaangażowanie i zasługi przy organizacji ogólnopolskiego konkursu krajoznawczo-turystycznego „Szlakami Polski Ludowej” w 1969 r. otrzymał Karol pamiętny dyplom (z przypiętą doń odznaką). Ciekawe wspomnienia przywołują obozy górskie organizowane dla środowiska wojskowego, wręcz się przychodzi na myśl uczestnictwo w ogólnopolskich wysokokwalifikowanych rajdach pieszych i obozach Klubu „Perpedes”, członkiem którego Karol jest nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

Niestety, nie byłam w stanie streścić tu dokładnie całego „turystycznego” życia Karola Ganzela, a było ono bardzo bogate i różnorodne. O owym życiu niech świadczą liczne dyplomy, wyróżnienia, odznaki i medale oraz członkostwo honorowe kilku klubów. Wspomnę tu, że już w 1970 r. otrzymał Karol Złoty Honorowy Odznak PTTK, dwukrotnie (w 1972 i 1976 r.) wyróżniono Go Odznaką Zasłużony dla Śląskiego Okręgu Wojskowego. W 1981 r. otrzymał złoty odznak Zasłużony Działacz Turystyki, by w końcu na XII Krajowym Zjeździe PTTK w 1989 r. zostać Członkiem Honorowym PTTK.

Ostatnimi czasy, ze względu na pogarszający się stan zdrowia i kłopoty z oczyma, Karol Ganzel wycofał się z większości działań społecznych. Pozostał jednak wierny turystyce pieszej i jako Honorowy Członek KTP ZW PTTK we Wrocławiu aktywnie włącza się w nurt zadań służąc pomocą i radami młodszym nieo i mniej doświadczonym kolegom. Życzyć należy dużo, dużo zdrowia oraz by zaangażowanie to było jak najdłuższe kontynuowane.

# ZABYTKI JĘZYKA ŁUŻYCKIEGO W POLSCE

W latach 1982-1987 prowadzone były przez autora penetracje polskich bibliotek w poszukiwaniu wydawnictw sprzed 1800 r. dotyczących Łużyc. Opracowany na tej podstawie katalog, obejmujący ponad 250 pozycji, zostanie prawdopodobnie wydany przez Instytut za serbski ludospyt. Poza nim znajdują się jednak książki, które nie dotyczą tej problematyki bezpośrednio, a są wydane po Łużycu. O części z nich pisano już wcześniej (Létopis Rjad A, 1985 č. 1 i 2). Warto w tym miejscu przedstawić dalšie, znajdujące się głównie w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie (BJ) i Gabinetie Śląsko-Łużyckim (GŚŁ) lub Oddziale Starych Druków Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu (UWr), najbogatszej w starodruki w Polsce.

Zachowane wydawnictwa mają charakter religijny, gdyż w owych czasach tylko takie mogły liczyć na masowego odbiorcę. Tylko też takiego należało poddawać w miarę łatwemu i szerokiemu oddziaływaniu. Przede wszystkim są to tłumaczenia Biblii, znajdujące się we Wrocławiu. Obie wydrukowano w 1797 r. I tak, *Biblia to je: zylé sawjate Pisamo Stareho a Noweho Sakonja...* wot Jana Gottfrieda Kuehna, to pozycja wydana w "Budisachin!" przez Jana Dietricha Heimerasa (GŚŁ 13772 II). Liczy ona 12 stron nłb. i 1336 str. tekstu. Natomiast *Nowy Testament...* wot Knessa M chala Frenzela (GŚŁ 14357 II) ukazał się w Dražďanach u Gottkelta Augusta Gerlacha w 390 str. Natomiast bliżej nie datowane, ale z pewnością z końca XVIII w. (na co wskazuje nazwisko budziszyńskiego wydawcy - G. G. Monse) pochodzące dzieło *Die Deutschen und Wendischen Episteln und Evangelia* z tekstami łużyckimi posiada 568 s. (BJ 592268 I).

Liczniejsze są modlitewniki, na przykładzie których również można śledzić kształtowanie się języka literackiego i ortografii łużyckiej. Stanowi to o dużej wartości naukowej i zabytkowej wymienianych wydawnictw. Najstarszym z nich jest *Swâte szčěna*,

*lekciyone ha Epistle na te nédzele, ha swâte dné toho čžěwo jěta Jurij Hawätyna Swětlika*, opublikowane w 1690 r. w Budiszyńcu w 408 stronach z ilustracjami (UWr 305001). Natomiast *Serbske khatolske kherlusche* ukazały się w 1696 r. (brak miejsca wydania) w 192 stronach. Dziwne, że tak poważna biblioteka, jak Uniwersytetu Wrocławskiego do dziś jej nie skatalogowała (GŚŁ).

Adam Gottlob Schirach był autorem *Duchomnych kirilischowych Knih Bohu k čžězi a Sserbam k wužitku (a predy-reczu Jana Böhmerja)*. Ukazały się one u J. K. Drachstedta w Budiszyńcu w 1774 r. (BJ 585900 I), obejmując 40 i 599 stron. W "Buděschne", w 1780 r. August Heinrich Winkler wydrukował liczące tylko 22 strony *Serbske khatolske ABC knischni* (GŚŁ 81 I). Interesujące jest dziełko o 100 stronach, "do saerskeje rycnje pscheložene wot Michala Haupta", pod tytułem *To čžistyčiljetne čžiche žiwjenje nascheho Knessa a Sbožnika Jesom Krysta* (BJ Sławiastyka 28). Ukazało się ono u G. A. Rosenkranza w 1788 r. w Budiszyńcu.

W wersji niemieckiej i łużyckiej wydał Richter w 1794 r., też w Budiszyńcu, D. Mjertena Luthera *Naly Cathchismus...* wot Smolkow *snowo redženy*, o 16 i 79 stronach (BJ 586068 II). August Gottlieb Spangenberg był interpretatorem listu św. Pawła i jego myśli ukazały się w 1798 r., być może w Budiszyńcu (BJ Sławiastyka 93), pod tytułem: *Wuloženje tych sšlow St. Pawoio: To sšłowo wot kschiza je lužosz tym, kiž subeni budža, nam pak, kiž my sbožni budžemy, je wono Boža mór*. Wykład ten posiada 68 stron.

Oczywiście nie są to wszystkie tego typu zabytki w Polsce, ale i one poważnie rozszerzają warsztat badawczy sorabistów czy sławistów w ogóle. Warto o tym pamiętać.

Krzysztof R. Mazurski

Bez rozgłosu trwają starania o jak najskuteczniejsze działanie, aby uratować od zagłady jeden z pomników naszej historii, które znajdują się na terenie Związku Radzieckiego. Do takich obiektów zalicza się Cmentarz Łyczakowski we Lwowie.

Pod koniec 1989 r. w Łańcucie odbyło się posiedzenie dwustronnej, polsko-ukraińskiej Komisji ds. rewolucyjacji tego cmentarza. Jej członkowie opowiedzieli się za uznaniem całego obiektu wraz z mogiłami wojennymi z 1918 r. za zespół zabytkowy, zgodnie z obowiązującymi w obydwu krajach przepisami prawa. Strona ukraińska przystąpiła do inwentaryzacji obiektu, a specjaliści z Polski zaczęli prace renowacyjne i

potrzeb będzie szkolenia ukraińskich konserwatorów, sposobiąc ich do prac nie tylko we Lwowie, np. w zakresie konserwacji kamienia i metalu, ale udzieli też pomocy w wydaniu biuletynu informacyjnego, mówiącego o podjętych, wykonywanych i zakończonych pracach. Będzie on miał charakter publikacji naukowo-dokumentacyjnej i fachowej oraz stanie się kroniką prac obu stron zmierzających do ratowania zabytków Kultury polskiej i ukraińskiej.

Przy okazji warto wspomnieć że uczniowie warszawskich szkół podczas Kwesty ulicznej 1.11.1989 r. zebraли około 800 tys. złotych na fundusz Konserwacji zabytków, m.in. Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie. Fundacja

## NA POMOC CMEN TARZOWI ŁY CZAKOWSKIEMU

Konserwatorskie 9 nagrobków, w tym mogił powstanczy z 1830 i 1863 r. Konserwatory ukraiński zaczęli prace konserwatorskie przy dwóch Kaplicach i 12 nagrobkach.

Jest faktem pocieszającym, że prace te zostały wreszcie rozpoczęte, co wobec zaniedban dotychczasowych jest wyraźnym postępem. Wspólne działania polskie i ukraińskie to nie jednorazowy gest dobrej woli, a - mamy nadzieję - stała współpraca, bowiem wiele jeszcze obiektów zabytkowych Kultury polskiej i ukraińskiej, w Związku Radzieckim i w Polsce, oczekuje troski i zadbania. Strona polska zapewniła, że zależnie od

Kultury Polskiej planuje kolejne akcje tego rodzaju i apeluje o przekazywanie wpłat na Konto:

PBK XIII O/Warszawa  
nr 370044-2916-132-3 (zł)

PBK IX O/Warszawa  
nr 370031-151-6787 (dewizy).

Zapewne nie zabraknie wśród ofiarodawców także Czytelników naszego magazynu. Informacje o przekazanych kwotach chętnie prześlemy na tych łamach.

Tomasz Kowalik



## Listy

Wobec ciągle niesatysfakcjonującego mnie stanu nasycenia rynku literaturą krajoznawczą dotyczącą Sudetów, każdą nowość witam z dużym zadowoleniem. Niestety, często mamy do czynienia z bezwstydnym i bezkrytycznym przedyswanem z wyjątkowo bogatej literatury przedmiotu, jaka popelniona została w języku niemieckim. Niektórzy polscy autorzy imputują sobie cały szereg ustaleń, danych itp., dawno już światu objawionych, tyle że w innym języku. Często w ten sposób uzyskane wiadomości nie są nawet weryfikowane w terenie.

Do niniejszych uwag skłoniło mnie wydanie przez Regionalną Pracownię Krajoznawczą PTK w Wałbrzychu (1989 r.) mapy panoramicznej Sudetów Środkowych, Szanowni koledzy z Wałbrzyska chcą nam wmówić, że jedynymi autorami rzeczonoego dzieła są pp. Jeż i Sakwerda. Mam w swoim domowym archiwum wydaną w 1937 roku niemiecką mapę panoramyczną pt. *Eulengebirge - Vogel-schaukarte und Wegekarte* (Verlag Otto Hellmann, Reichenbach).

Jeden rzut oka na obie panoramy nie pozostawia wątpliwości, że mamy do czynienia z jednym i tym samym dziełem. Tyle tylko, że oryginał jest znacznie wyraźniejszy i czytelniejszy, nie mówiąc już o aktualności.

Pomijając już zwykłą uczciwość i normy obyczajowe przyjęte w naszym kręgu kulturowym, autorzy zapomnieli, że upłynęło pół wieku, a tymczasem nie zarejestrowali w swoim dziele bodaj żadnej zmiany. Panta rhei, ale nie w Sudetach Środkowych. Nie czuję się na siłach wymienić wszystkich błędów, które wynikają z braku poczucia czasu. Może Szanowna Redakcja "Na Szlaku" ogłosiłaby na swoich łamach konkurs na ten temat.

Pracowni Krajoznawczej PTK w Wałbrzychu życzył większej dołdoci i rzetelności w podejmowaniu npych inicjatyw wydawniczych, a Panu Sakwerdzie popelniania bardziej oryginalnych prac.

Marek Małuda

W gronie naszych Czytelników, ale także i wszystkich członków PTTK i jego sympatyków, jest wielu zainteresowanych problematyką łużycką, więcej - przyjaciel tego wspaniałego narodu i ciekawej krainy. Korzystając więc z okazji pobytu we Wrocławiu w końcu maja br. Ludmiła Biesold, znane wielu z nich, córki zasłużonego działacza narodowościowego z Budziszyna - Jurija Rjenca, redakcja przeprowadziła rozmowę na temat aktualnej sytuacji w NRD w kontekście przemian politycznych i społecznych. Reprezentował ją Krzysztof R. Mazurki, przewodniczący Koła Przyjaciół Łużyc PTL.

**Red.:** Zmiany, jakie zachodzą w życiu społeczno-politycznym NRD od jesieni ub. roku, muszą w jakimś stopniu na nowo stawiać problem mniejszości łużyckiej u naszych zachodnich sąsiadów. Przecież dopiero teraz możemy stwierdzić, że Wasz naród traktowany był raczej folklorystycznie i politycznie w sensie popierania "jedynie słusznej drogi". Jak widzą to Łużycanie?

**L.B.:** Jak dotąd, rozmowy prowadzono na ten temat w Pradze, z którą łączą Łużyczan długotrwałe i silne związki. Być może dojdzie do reaktywowania seminarium łużyckiego na Malej Stranie. Ale pomysł przekażę.

**Red.:** Jak rysuje się perspektywa narodu wobec bliższego już chyba zjednoczenia Niemiec?

**L.B.:** Wydaje się, że będzie lepiej, tam przecież ukształtowała się silna demokracja. Nasza delegacja już studiuje struktury lokalne i samorządowe w Szleswiku-Holsztynie, gdzie żyje przecież duża grupa Duńczyków. Jest jednak poważny problem z Dolnołużyczanami, których świadomość narodowa wygasa znacznie szybciej. Zgłaszane są propozycje, by tę część - Błota, okolice Chociebuża, przyłączyć do Saksonii (znów przecież wracamy do struktur landów) i w ten sposób zbliżyć do siebie admi-

bardziej rolę przedstawicielstwa narodowościowego niż organizacji kulturalno-folklorystycznej.

**Red.:** Jak wygląda teraz życie publiczne Łużyczan?

**L.B.:** Są spore trudności, choćby z teatrem. Utrzymywało go państwo, teraz pomoc jest ograniczona, a tu widzów coraz mniej. Brakuje młodych aktorów, stąd i możliwości repertuarowe ograniczone. Szuka się nowych sposobów utrzymania, m. in. występy objazdowe. A przede wszystkim, to polityka i sprawy gospodarcze, coraz dotkliwsze dla wszystkich mieszkańców NRD, odciągają uwagę od konieczności walki o utrzymanie tożsamości narodowej.

**Red.:** Z pewnością i u Was były białe plamy. Prasa łużycka pisała o konieczności rehabilitacji Jurija Rjenca.

**L.B.:** Tak, ale to odbywa się w ramach całego

# "NOWE" NA ŁUŻYCACH

**L.B.:** Niewątpliwie sytuacja nam sprzyja, gdyż wreszcie znów możemy mówić o demokracji, a więc formułować nasze wypowiedzi zgodnie z naszymi myślami, przestaje się nami dyrygować. Jest jednak i trudniej, gdyż brak państwowej, mimo wszystko, opieki sprawia, że sami teraz musimy troszczyć się o swoje sprawy, co w morzu niemieckości nabiera poważnych trudności. Pierwszą próbą stały się niedawne wybory komunalne. "Domowina" po raz pierwszy po wojnie zgłosiła swoje listy kandydatów, ale że nie jest ona dobrze widziana przez większość Łużyczan z powodu swej ugodowości do poprzednich władz komunistycznych, więcej zgłoszeń było poprzez CDU.

**Red.:** Czy Wasi kandydaci operowali jakimiś hasłami narodowymi?

**L.B.:** Nie, gdyż wszyscy w zasadzie koncentrowali się na odbudowie demokracji. Jej pełne działanie znikąd nie potrzebuje odrębnej walki o prawa mniejszości. Demokracja - to szansa i możliwości również dla grup mniejszościowych. Trzeba dodać, że CDU deklaruje nam pomoc i opiekę. Nie może jednak być inaczej, skoro w jej lokalnych władzach dużo jest przedstawicieli naszego narodu. Choćby cały zarząd powiatowy w Budziszynie to sami Łużycanie. W Radzie Powiatowej "Domowina" ma teraz jednego własnego przedstawiciela, a w tej sytuacji jasne, że będzie on współpracował z grupą CDU. Od czego zacząć? Tyle nagromadziło się spraw, że na początek pójdzie analiza problemów i kolejności ich załatwiania.

**Red.:** Jakże one są na dziś?

**L.B.:** Przede wszystkim szkolnictwo. Jeśli od dziecka w sposób systematyczny i publiczny nie ma kontaktu z językiem, to do wynarodowienia jest bardzo blisko. A tymczasem, w perspektywie możliwości nauki języków zachodnich, co dawniej było bardzo trudne i skłaniało do wyboru właśnie na Łużycach nauki łużyckiego także przez dzieci niemieckie, wiele z nich rezygnuje zeń jako znacznie mniej im przydatnego. Trzeba więc cały system, skromnego zresztą szkolnictwa łużyckiego, przeorganizować. A mamy kłopoty z nauczycielami, nasza młodzież nie garnie się do tej pracy.

**Red.:** Czy pomogłyby w tym studia w Polsce? Nie brak u nas przecież ludzi, którzy w ten sposób ułatwiłyby życie Łużycanom.

nistracyjnie obie grupy łużyckie. Zróżnicowanie jednak między nimi jest poważne. Na Łużycach Dolnych praktycznie już nie rozmawia się z dziećmi w domu po łużycku. Tam już chyba wkrótce będzie koniec narodu łużyckiego.

**Red.:** Czy można coś zrobić, by rodziny mówiły po łużycku?

**L.B.:** Przede wszystkim trzeba dużo zajmować się dziećmi. Muszą być łużyckie przedszkola, szkoły, kluby. Sama jestem nauczycielką, więc dobrze wiem, co to znaczy. Uzyskaliśmy już drobny sukces - krótkie audycje radiowe dla dzieci w jęz. łużyckim. Teraz musimy działać bez dyktanda, a więc nasi organizatorzy uczą się stawiać samodzielne kroki. Nie przychodził to łatwo.

procesu odnowy w NRD. Wiele wyroków wydały radzieckie sądy wojskowe bez procesów, często zresztą na podstawie fałszywych oskarżeń Niemców, którzy chcieli wyeliminować naszych przywódców. Najbardziej wymiślnym przypadkiem była sprawa mego ojca, skazanego na 25 lat więzienia, wykorzystując pretekst organizowania przezeń "Domowiny" na Łużycach Dolnych. Pó 1946 r. przeszedł ponad trzy lata i tylko swoista interwencja prezydenta Broz-Tity przyniosła mu wolność. Ale i tak zawsze był podejrzany. O tej sprawie nigdy się nie mówiło, jak i o wielu innych, np. ojciec był jednym z organizatorów brygad pracy Łużyczan w Jugosławii. Na niedawny zlot ich uczestników w ogóle go nie poroszono. Musimy więc "Stawizny Serbow" napisać całkiem na nowo.

**Red.:** I ja to pisałem ładnych parę lat temu. Jest więc czas na to. Kończąc, powtórzmy stałe aktualne hasło: Trać dyrbi Serbstwo, zawaśtań Życze odnowy i nowych szars narodowi łużyckiemu. Dziękuję za rozmowę.

**Za naše děti!**

**Krabat — Wumolowanka**



Zaso jónu je wón tu, nał serbski kusar Krabat. Z mnohich knihow jeho hižo znajemy. Něko smódn wy, lube haly a lubi hály, ná kotre z rjonych wobrazow Měrćina Nowaka-Njechoriškeho sami wumolowac. Přijamy wam při tym wjale wjesele. 8 stron, zełiek, płoci 2,- hr. Wumolowanka je w znatych kniharnjach na předat.

**Ludowe nakładnistwo Domowina**  
Wotrjad rozšěrjenje, Budyšin, 0600

**Red.:** Czy mogą być w tym przydatne chóry? Są one przecież tak popularne w RFN, sprzyjając tworzeniu kontaktów towarzyskich.

**L.B.:** Oczywiście tak, mamy spore tradycje w tym zakresie i nie chcemy z nich rezygnować. Także dzieci biorą w nich udział. W mojej szkole istnieje kilka zespołów, uwzględniających wiek uczniów. Jest też chór czy raczej grupa, dość spora, solistów, a więc zdolnych do indywidualnych występów.

**Red.:** Co będzie z "Domowiną"?

**L.B.:** Była to organizacja fasadowa, realizująca bardziej polecenia komitetów SED niż pragnienia Łużyczan. Są różne propozycje - od jej likwidacji po gruntowną odnowę. Może dojdzie do tego pierwszego, jeżeli jej dotychczasowi funkcjonariusze nie zrozumieją, iż koniec ze starym, nadeszły nowe czasy. A tymczasem nowy przewodniczący Bjarnat Cyz, choć wiekiem młodym, myśli i działa jak typowy aparatczyk. Ale zarząd został już poważnie odnowiony, aparat pozostał stary. Nie wie, co robić, jak się zachować, jest zbyt duży, biurokratyczny. Mówi się też o Związku Łużyczan, który pełniłby

## SIEGNAĆ DO KORZENI

Jest rzeczą niezwykle zajmującą szukanie samych początków jakiegos tam zjawiska, a co dopiero powstania narodu. Problematyką tą od wielu już lat zajmuje się nasz wrocławski badacz, dzięki któremu i my możemy zapoznać się z najnowszymi w tej mierze koncepcjami. Odstępuje nas wprawdzie cena (18000 zł), ale przecież bądźmy obiektywni - to raptem kilka bochenków chleba czy kilka kilogramów cukru. Czyż wiedza nie jest tego godna? A książka wydana została bardzo starannie i trwale, więc powiedzialbym, że w stosunku do tego jest nawet tania.

Już raz autor podejmował ten temat w pracy "Słowiańszczyzna zachodnia", teraz jednak czyni to w sposób pełniejszy i z rozwinięciem niektórych, sygnalizowanych tylko uprzednio wątków. Książka klarownie określa, skąd przyszedliśmy -

Polacy, Cześć, Łużycanie, gdyż zajmuje się okolicznościami i drogami formowania się społeczeństw tej części Europy we wczesnym średniowieczu. Nad wyraz liczne ilustracje i mapy znakomicie ułatwiają odbiór tekstu, który jest strawny i dla laika, co ważne dla wielu naszych Czytelników. Nie trzeba się więc bać naukowości tego dzieła.

Bodaj najważniejszą część pracy poświęconą została zagadnieniu korzeni Słowiańszczyzny zachodniej - skąd się ona wzięła? Autor referuje tu liczne źródła kronikarskie starożytności i znaleziska archeologiczne, skłaniając się wyraźnie do koncepcji baltosłowiańskiej wspólnoty wyłonionej z pierwszych podziałów ludów indoeuropejskich. Szkoda wszakże, że stanowisko autora, zgodne z normą naukową, nie jest klarowniejsze. Brak tu indywidualnej rekonstrukcji zdarzeń, która stanowiłaby wyjściową koncepcję do opisu późniejszych sytuacji. Jednocześnie jest jednak jego stanowisko akceptujące koncepcję autochtonizmu Słowian w dorzeczu Odry, Wisły i Dniepru (w odniesieniu do dwóch pierwszych widzianych jednak bez górnych - najwyższych części), zaś początek wyodrębniania się Praslówian kładzie on na przełom epoki brązu i żelaza, tj. w 2 połowie I tysiąclecia p.n.e. Mimo bowiem domieszk znalezisk związanych z innymi kulturami, na wspomnianym obszarze obserwuje się nieprzerwaną ciągłość osadnictwa. Brak jej natomiast w Małopolsce w połowie I tysiąclecia n.e., co tłumaczy się powszechnie trasą przemarszów Hunów i podobnych im plemion ze wschodu. Stąd więc ruszone grupy Praslówian (?) Sklawinów powędrowały przez obniżenia karpackie na południe, zasiedlając wnętrza Maszywu Czeskiego i drugą stronę Karpat. Z kolei stamtąd drogi ich powiodły jeszcze bardziej na południe, bo aż na Balkany i Półwysep Peloponeński. Przecież Saloniki stały się w późniejszym okresie terenem osadnictwa słowiańskiego. Inni z kolei Sklawinowie (można przypuszczać, że z dorzecza już górnej i środkowej Odry, a także z terenu dzisiejszych Czech) wkroczyli w 2 poł. VI w. na Połabie, docierając pod obecny Hamburg, górny Men i środkowy Dunaj. Sytuacja ta ustabilizowała się w VII-VIII w., co oznaczało m.in. wchłonięcie przez Słowian resztek grup tam żyjących poprzez asymilację (niejednokrotnie dłuższy czas żyły one wspólnie, stapiając się w jedno plemię), bądź wypierając je bardziej na zachód. Tak tedy Bajuwarowie wymigrowali z Kotliny Czeskiej (pozostawiając w spadku łacińską nazwę Czech *Bohemia*) i osiedlili się nad górnym Dunajem (stąd łacińska nazwa Krainy *Bavaria*).

Autor opisuje też świat plemienny, jego podział i rozmieszczenie, w czym

wielce użyteczna jest dość szczegółowa mapka. Przedstawia następnie przełom wczesnofeudalny z jego przesłankami gospodarczymi, nowymi podziałami etnicznymi i powstawaniem pierwszych państw. Ich listę otwiera oczywiście bardziej wiążące plemienne anitelli państwo, które w VII w. utworzył niejaki Samo. Można tu wspomnieć, że znany nam Zbigniew Martynowski uważa, iż imię to brzmiało *Sambor*, w wyniku zniekształcenia *Sam/o/bor* w kancelariach niesłowiańskich. A więc miałyby to być Słowianin, wódz plemienny. Kto wie? Dalej była Wielka Morawa w IX w., o której wspaniałą wystawę oglądaliśmy ładnie parę lat temu. A potem już bliżej nas - państwo czeskie, którego wódz Bolesław I Przemysłida około 950 r. opanował okolice Krakowa i chyba Śląsk, ale, jak wiemy, na krótko, bo utracił je na rzecz Mieszka I już około 990 r. (stąd obchody tego Milenium w bieżącym roku). Ciekawie wyglądało utrwalanie nowego porządku w tej części Europy, a także kształtowanie się stosunku Słowiańszczyzny zachodniej do reszty narodów i państw naszego kontynentu. Warto o tym poczytać! Rzeczą niezwykle przydatną jest tablica synchronizacyjna zdarzeń i procesów w społeczeństwach naszych pra-przodków z podobnymi w Europie. Takie były początki...

Lech Leciejewicz: Słowianie zachodni. Z dziejów tworzenia się średniowiecznej Europy. Wrocław: Osolineum 1989, 424 s. Cena 18000 zł.

Krzysztof R. Mazurski



## NIEZNANY POLONIK W BUDZISZYNIE

Zwiedzając kilka lat temu Budziszyn, prastarą stolicę Łuży Górnych (NRD), trafiłem któregoś dnia na Tuchorske Pohrjebnische (Taucherfriedhof) przy Bierut Strasse, niedaleko pomnika-mogily polskich żołnierzy przy Am Ziegel Wall. Tu, w bok od zabytkowej części cmentarza, ujrzałem swoistą kompozycję przestrzenną. Półkolistą do kamiennego ołtarza z krzyżem ustawiono kilka rzędów piaskowcowych krzyży wysokości około 50 cm. Z boku owego ołtarza-podstawy, o wymiarach 4 x 7 m, wykuto napis: *Entworfen und ausgeführt von dem Kriegsgeliebten Polen Romuald Zerych, co oznacza: Zaprojektowane i wykonane przez jeńca wojennego Romualda Zerycha. Natomiast z przodu widnieją napisy: *Ossa vestra fundamentum liberationis renovationis pacisque aeternae populorum oras Victimis belli 1914-1918 i Captivi socii*. Po obu stronach wznoszą się krzyże: z prawej z herbem Francji, z lewej - św. Jury, symbolu Rosji. Nie spoczywa tam pochowanych jeńców, nie wiadomo. Mimo starań nie uzyskano informacji od administratora cmentarza miejscowego kościoła ewangelickiego.*

Ważelako kim był Romuald Zerych? Wiadomość o nim podaje jedynie tom 16. Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, wydanej przez Gutenberga w Krakowie po I wojnie światowej. Otóż wykonawcą tej kompozycji urodził się w 1888 r., a studia rzeźbiarskie ukończył w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Jego głównymi dziełami były: właśnie ten pomnik dla zmarłych jeńców koalicyjnych (datowany przez wspomnianą Encyklopedię na 1916 r., lecz musiał to być rok tylko rozpoczęcia prac), terrakotowa "Matka Boska z Dzieciątkiem", pomnik gen. Sowińskiego na Woli w Warszawie i pomnik Elizy Orzeszkowej w Grodnie. Długo brak później o tym niezłym twórcy informacji? Zyjący do dziś jego brat z Opola, zasłużony działacz PTTK, powiedział, że wszystko stało się w związku ze śmiercią Gabriela Narutowicza. Romuald Zerych zdjął odlew gipsowy z ręki zabójcy prezydenta. Spowodowało to olbrzymie oburzenie społeczeństwa, które rzuciło nań anatemę, zaś rodzina wykluczyła go ze swego grona. Stąd oficjalne ślady urywają się. Jednakże budziszynskie dzieło zachowało się dobrze i warto o nim pamiętać, a w szczególności odwiedzić ten interesujący z innych względów cmentarz.

Krzysztof R. Mazurski

40 lat PTTK

## Szczeliniec Wielki

Jeden z licznych, przebiegających przez Kotlinę Kłodzką szlaków turystycznych prowadzi do Szczelinca Wielkiego w Górach Stołowych. Na szczycie tym znajduje się prowadzone przez PTTK schronisko ... zachęcać do zwiedzania rezerwatu *Adam Osiewicz* na łamach styczniowego "Gościńca" w 1971 r. Niestety, chętnych do zwiedzania tego pięknego rezerwatu skalnego odstrasza bałagan i nieporządek.

Wstęp do rezerwatu przyrody kosztuje 4 złote polskie dla osób dorosłych i 2 zł dla młodzieży. Ale informacji na tematy przyrodnicze i krajoznawcze brak, nie zawsze też otrzymuje się bilet. Po Kotlinie Kłodzkiej

oprowadzają przewodnicy ale na Szczelincu Wielkim ich nie ma.

Przewodników posiadających uprawnienia państwowe brak. Za to bardzo często spotyka się tzw. dzikich przewodników, oprowadzających uczestników wycieczek za jedyne ... sto złotych.

Wcześniej autor cytowanego zaproszenia informował czytelników, że schronisko PTTK dysponuje miejscami noclegowymi i jadalnią.

Po prawie dwudziestu latach tytuł artykułu: "Szczeliniec Wielki zaprasza i ... odstrasza" wydaje się w wielu kwestiach aktualny.

Piotr Jeszke

Od kilku lat w większości państw na naszym globie panuje swolista "moda" na ochronę środowiska. Wskazuje się na olbrzymie zanieczyszczenie wód, gleb i powietrza. Lecz okazało się, że prawdziwe zagrożenie dla całej planety daje o sobie znać wysoko ponad jej powierzchnią. Nagle i ze zdumieniem zauważono, że w stratosferze ubywa ozonu, który chroni człowieka i inne organizmy żywe przed zabójczymi promieniami ultrafioletowymi Słońca. Od 1979 do 1985 roku ochronna warstwa ozonu nad Antarktydą zmniejszyła się o 40%. W 1986 r. zauważono po raz pierwszy ubytek ozonu nad biegunem północnym.

Pomiary zawartości i rozkładu ozonu zapoczątkowano już w latach trzydziestych. Rozwój różnych metod i użycie nowoczesnych nośników (rakiet, samoloty, satelity) pozwalały przypuszczać, że przez 40 lat zebrano dostatecznie duży materiał i że żadnych niespodzianek nie należy oczekiwać. Wielkim zaskoczeniem było więc stwierdzenie występowania zupełnie nowego zjawiska, tj. cyklicznego spadku zawartości ozonu nad Antarktydą na początku tamtejszej wiosny. Pierwsi zaalarmowali świat trzej brytyjscy naukowcy z British Antarctic Survey, pracujący na stacji Halley Bay nad Morzem Weddela. W 1983 r. zaskoczeni wynikami pomiarów atmosfery sięgnęli do archiwum i okazało się, że porównawszy od 1979 r. warstwa ozonowa systematycznie się kurczy, a czasami nawet zanika. Badania

ciężniarni. Co wynika z łącznego występowania tych dwóch procesów? Trudno dziś jeszcze na to odpowiedzieć, nawet przy zastosowaniu superkomputerów. Zbyt wiele jest nie poznanych czynników, które wpływają na atmosferę. Klimatolodzy uważają, że może dojść nawet do przesunięcia się stref klimatycznych. Na pewno nie będą to dla nas zmiany na lepsze.

Ozon tworzy się głównie w strefie równikowej, w wyższych partiach stratosfery, na wysokości około 40 km, a następnie migruje ku biegunom, gdzie gromadzi się w największą ilość na wysokości ok. 25 km. Mechanizm jego powstawania jest następujący: pod wpływem promieniowania niefioletowego cząsteczki tlenu rozszczepiają się na poszczególne atomy, które następnie łączą się w cząsteczki trójatomowe. Wolny atom tlenu może następnie wiązać się ze zwykłym tlenem dwuatomowym, tworząc kolejną cząsteczkę ozonu. Może jednak połączyć się również z cząsteczką ozonu rozkładając ją na dwie cząsteczki dwuatomowego tlenu. Pod wpływem różnych czynników rośnie częstotliwość tej reakcji, a więc maleje ilość ozonu w atmosferze.

Wciąż ostatnich 12 lat warstwa ozonu zmalała nad całą Ziemią, z wyjątkiem jedynie stref okołorównikowych. Największe ubytki stwierdza się na półkuli południowej. Nad Antarktydą występują cyklicznie. Pojawiają się z momentem rozpoczęcia

ozonu związków bromkowych, używanych w pewnych nawozach.

Gdy poznano przyczyny tego zjawiska, można było szukać sposobów jego zapobiegania. Najprostszym rozwiązaniem wydaje się być zakaz stosowania freonów, konsekwentnie przestrzegany przez wszystkich. Jednak w praktyce jest to niemożliwe, aby poszczególne kraje zmusić do tego. Przede wszystkim nie jest łatwo zrezygnować z freonów, ze względu na ich wspomniane zalety. Światową produkcję tych związków szacuje się obecnie na 1 100 000 ton rocznie. Bezpośrednią odpowiedzialnością za dziurę należałoby obciążyć 800 000 ton, które trafiają do atmosfery. Freony uwalniają się bowiem z aerozoli, spienionych tworzyw sztucznych, uszkodzonych instalacji chłodniczych.

O ich szkodliwości zdawano już sobie wcześniej sprawę, dlatego w 1978 roku Amerykanie zaprzestali produkcji freonów używanych w aerozoliach (CFC 11 i 12), zastępując je węglowodorami (co zresztą przysporzyło im nowych kłopotów związanych z bezpieczeństwem). W Europie jednak używa się dalej masowo freonów, dopiero od ostatniego roku stosując zamienniki (głównie w RFN), co jest oznaczone na opakowaniach aerozoliowych charakterystyczną nalepką.

Naukowcy bijący na alarm przestrzegają, że to jednak wcale nie wystarczy. Sądzi się, że aby nastąpiły konkretne efekty poprawy, zużycie freo-

# OZONOWE DZIURY i ich skutki dla nas

kontynuowane przez kolejne dwa lata potwierdziły groźne zjawisko - dziura ozonowa coraz szybciej się powiększała. W maju 1985 r. J. Farman, B. Gardiner i J. Shanklin poinformowali w cenionym piśmie naukowym "Nature" o wynikach pomiarów atmosferycznych, prowadzonych w tamtym miejscu od 1959 r.

Zaskoczenie było zupełne - nikt nie spodziewał się takich rezultatów. Tym bardziej, że naukowcy amerykańscy, którzy realizowali od 1979 r. program TOMS (Total Ozone Mapping Spectrometer), polegający na ciągłej rejestracji zawartości ozonu w atmosferze za pomocą satelity Nimbus-7, niczego podobnego nie sygnalizowali. Wkrótce wiadomo było dlaczego. Po prostu nie przewidziano możliwości tak wielkiego ubytku ozonu i komputery NASA nie przyjmowały otrzymywanych danych, uważając je za błędne. Po ponownym przeanalizowaniu wyników pomiarów z kosmosu, potwierdzono spostrzeżenia ze stacji polarnych. Dodatkowo ujawniły się załogi drugiej dziury nad biegunem północnym, sięgającej aż nad Leningrad. Donald F. Heath z NASA, który pierwszy ją zauważył, stwierdził, że nad Arktyką zaczął się analogiczny proces, jak po naturalnej stronie kuli ziemskiej.

Początkowo naukowcy bagatelizowali to zjawisko. Wstępne kalkulacje dotyczące bilansu ozonu w atmosferze wypadły zadowalająco. Półki zaobserwowane zjawiska ograniczają się tylko do biegunów i ich okolic, tragedii nie ma - tak twierdzili fizycy atmosfery. Jednak w miarę rozwoju sytuacji i powiększania się obszaru dziury, poglądy badaczy szybko się zmieniły.

Dlaczego to właśnie zjawisko uczeni uznali w końcu za niezwykle groźne dla ludzkości? Co spowodowało, że społeczność naukowa różnych krajów tak szybko się zmobilizowała do wspólnego przedsięwzięcia? Dlaczego Salvador Alamo, dyrektor argentyńskiej służby meteorologicznej, przewidział, że południowy kraniec jego kraju odczuje poważne skutki oddziaływania dziury?

Otóż bez przesady można stwierdzić, że to właśnie ozon pozwala nam żyć na Ziemi. Jako składnik atmosfery występuje dosłownie wręcz w śladowych ilościach, lecz pełni rolę filtra nie przepuszczającego 95% zabójczego dla życia promieniowania nadfioletowego Słońca. Zmniejszenie tej naturalnej osłony tylko o 1% może spowodować na świecie 5-procentowy wzrost zachorowań na raka skóry, zwłaszcza wśród ludności białej. Może także wywołać wiele schorzeń oczu i osłabić reakcję układu odpornościowego. Bardzo niebezpieczne jest to, że nadmiar promieni UV uszkadza strukturę kwasów nukleinowych DNA i RNA - może więc dojść do mutacji i degeneracji wielu roślin, także wymarcia wielu drobnoustrojów i zakłócenia równowagi w świecie. Pierwszymi ofiarami byłaby ryba ika i plankton morski. Obecnie nie można przewidzieć, czy nie groźniejsze byłoby zmiany klimatyczne. Warstwa ozonu pełni bowiem ważną rolę w utrzymywaniu równowagi termicznej atmosfery, gdyż pochłanianiu promieni nadfioletowych towarzyszy wydzielanie znacznych ilości ciepła. Utrzymywanie się dotychczasowych tendencji grozi znacznymi perturbacjami klimatycznymi o konsekwencjach trudnych jeszcze do przewidzenia. Z tymi zaburzeniami wiąże się jeszcze inny problem, również skomplikowany i poważny - mianowicie efekt

pory wiosennej (październik), gdy notuje się najniższe temperatury, na wysokościach 12-24 km. Uszczuplenie warstwy dochodzi lokalnie do 95% nad biegunem! Stan ten trwa przez jeden do trzech miesięcy i wraz ze wzrostem temperatury oraz zmianą pół roku sytuacja wraca do normy. Nicco inaczej to wygląda na niższych szerokościach geograficznych, gdzie ubytek ozonu jest znacznie niższy, lecz taka sytuacja trwa praktycznie przez cały rok. Obecnie roczny spadek zawartości O<sub>3</sub> w tych obszarach szacuje się na ok. 5%.

Na naszej półkuli także występują niepokojące ubytki warstwy ozonu na średnich szerokościach geograficznych. Jednak dziura nad biegunem północnym tworzy się bardziej nieregularnie. Powstaje podobnie, w wirze niskiego ciśnienia, w okresie najniższych temperatur. Występowała od kilku lat, jednak niespodziewanie dla wszystkich, zimą 1986-87 grubość warstwy ozonu nad Arktyką utrzymała się w normie. Nie bardzo potrafiono wytłumaczyć, dlaczego akurat tamtej zimy dziury "zabrakło".

Mimo nawalu informacji naukowcy wciąż nie potrafią dokładnie wyjaśnić zjawiska, zaskoczeni jego złożonością, lecz nie stawiają już nowych przypuszczeń, szukając prawdy w kombinacji większej ilości przyczyn, albo w którejś z dotychczasowych hipotez. Pierwsza łączyła powstawanie dziury ze specyficzną dynamiką atmosfery antarktycznej. Jednak odrzucono ją zupełnie w wyniku odkryć nad biegunem północnym.

Druga hipoteza powoływała się na aktywność słoneczną i powstawanie w związku z nią nadmiernej ilości tlenków azotu, które z kolei niszczą ozon. Szczegółowe badania pozwoliły stwierdzić, iż działalność Słońca wcale nie wpływa na ilość tlenków azotu w atmosferze. Pozostał więc człowiek i wpływ powodowanych przez niego zanieczyszczeń.

Obecnie nie ma już wątpliwości, że sami jesteśmy sobie winni tej sytuacji. Głównymi oskarżonymi o niszczenie ozonu są freony, czyli związki chloru, fluoru i węgla (CFC). Są to gazy, związki organiczne używane dziś powszechnie w aerozoliach, a także jako wypełniacz w instalacjach chłodniczych, klimatyzacyjnych oraz przy produkcji tworzyw sztucznych. W latach sześćdziesiątych zrobiły one oszałamiającą karierę, ze względu na swe zalety: niepalne, nietoksyczne, obojętne, niewybuchowe oraz praktycznie niezniszczalne. Ich żywotność wynosi od 65 do 120 lat. Za trwałość okazała się ich największą wadą i jest najprawdopodobniej główną przyczyną powstania obecnych problemów. Freony raz wypuszczone w powietrze nie wchodzą w reakcje z innymi cząsteczkami i nie rozpadają się, lecz unoszą się aż do stratosfery, skąd przedostają się nad bieguny. Tam są akumulowane i, niestety, pod wpływem promieniowania ultrafioletowego tracą już swą stabilność i zostają zniszczone. Uwalniają się przy tym chlor atakuje ozon tworząc tlenek chloru. Powstający związek chloru z tlenem reaguje z wolnymi atomami tlenu, których nad biegunami jest bardzo dużo, a więc znowu powstaje chlor atomowy, który mrozokłada ozon. Szacuje się, że każdy uwolniony atom chloru może spowodować rozpad ok. 100 tysięcy cząsteczek ozonu! Na podobnej zasadzie uznano też odpowiedzialność za proces destrukcji

nów powinno się zmniejszyć o 95%, co jednak jest zależne głównie od firm produkujących CFC. Ostatnio wydaje się, że szefowie wielkich koncernów zrozumieli powagę sytuacji i w 1988 roku w Montrealu podpisano porozumienie o ograniczeniu produkcji i stosowaniu freonów o 50% w ciągu 10 lat. Największy światowy producent CFC, ponadnarodowy koncern Du Pont (25% produkcji w skali globu), poszedł jeszcze dalej zapowiadając, że do roku 2003 zmniejszy swoją produkcję o 95%. Poza tym, ta firma od 1977 roku wydała 12 mln \$ na badania nad zamiennikami freonów. Także wiele innych małych firm prowadzi takie badania, często wspólnie. Są już sygnały, że otrzymano substancje o właściwościach podobnych do freonów (np. HCFC 133 i 134), lecz rozpadających się przed dotarciem do stratosfery oraz nie zawierających chloru. Zanim jednak zostaną dopuszczone na rynek, muszą przejść wszechstronne badania, czy nie szkodzą w inny sposób atmosferze.

Oprócz tych działań pojawiają się ciągle nowe pomysły (mniej lub bardziej fantastyczne), na dotychczas "zatłumione" dziury ozonowej. Na początku 1989 r. grupa przemysłowców z Wielkiej Brytanii powołała organizację Ozon Help, która zamierza wypuszczać co roku nad Antarktydą setki balonów z doczepionymi do nich generatorami ozonu. Mają być one zasilane bateriami słonecznymi wytwarzającymi napięcie 15 tys. V, co pozwoli rozszczepiać cząsteczki tlenu na atomy, które następnie utworzą ozon. Naukowcy jednak kwestionują ten pomysł, twierdząc że jest zbyt kosztowny, jeśli miał być realizowany. Organizacja jednak się tym nie zraża i miała minionej jesieni wypuścić trzy balony, koszt przedsięwzięcia - 100 tys. funtów. Niestety, nie posiadam informacji, czy ten zamiar się powiodł. Także trudno ocenić, czy wiadomość podana przez światowe agencje w ostatnich dniach 1989 r. o tym, iż dziura ozonowa nad Arktyką zasklepiła się, jest efektem procesów naturalnych, wypuszczonych balonów, czy też zwykłą sensacją dziennikarską.

Wydaje się, że sytuacja nad biegunami oraz w całej atmosferze jeszcze wcale nie uległa poprawie i potrzeba będzie wielu lat badań i działalności sanacyjnej, abyśmy mogli powiedzieć, że promieniowanie ultrafioletowe już nam nie zagraża. O powadze problemu świadczą m.in. to, że skrupulatni i z reguły nie manującymi niepotrzebnie pieniędzmi Japończycy zapowiedzieli, że z początkiem 1991 r. rozpoczną własny program szeroko zakrojonych badań warstwy ozonowej w atmosferze, którego koszt ocenia się na 4 mld jendów.

Czy więc nastąpi taki okres, że ciemne okulary i kapelusz z szerokim rondem staną się niezbędnym osobistym wyposażeniem każdego człowieka? Miejmy nadzieję, że naukowcy i odpowiedzialni przemysłowcy nie dopuszczą do tego, bo cóż by wtedy chroniło rośliny i zwierzęta przed, zdawało się niewinnymi, promieniami UV Słońca, planety, którą przecież utożsamiamy z dawcą nie śmierci, lecz życia.

Adam Popko

# GÓRY i ALPINIZM

PISMO KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO WE WROCŁAWU

Można się teraz zastanawiać jakiego rodzaju ludzie przychodzą do alpinizmu? Na pierwszy rzut oka nie znajdzie się wspólnego mianownika i chyba go w ogóle nie ma. Można jedynie pewne cechy wyciągnąć przed nawias. Trudno mi powiedzieć coś rozsądnego o alpinizmie światowym, miałem z nim zbyt małą styczność. W Polskim alpinizmie grupuje się przede wszystkim inteligencja. Jeżeli założymy na początku, że alpinizm rozpoczął się wraz z epoką szerokiego upodmiotowienia jednostki w społeczeństwie należy teraz wyciągnąć z tego wnioski. Trochę wygląda na to, że ludzie chcący stanowią

jach potrzebne są wprawdzie bicepsy i odpowiednie płuca, ale przede wszystkim głowa i charakter.

(...) Na tle poprzednich rozważań należy chyba zadać sobie pytanie: Czy dzisiejszy polski alpinizm jest zjawiskiem zamkniętym w przestrzeni i w czasie? To znaczy - czy nad Wisłą wygasnie źródło emocji pchających ludzi w najwyższe góry świata?

Wcześniej jeszcze należy chyba postawić inne pytanie - o schyłek wielkiego alpinizmu na świecie.

Pewne są trzy rzeczy:

## Alpinizm a duch czasów

o swoim losie, nie mogąc rozwinąć swoich ambicji gdzie indziej kierują się w stronę naszego sportu. W alpinizmie istnieje naprawdę duża wolność wyboru. Jeżeli wyżej wyrażona teza jest słuszna należy się spodziewać odejścia wielu osób z alpinizmu w chwili, kiedy w Polsce zaistnieją inne atrakcyjne formy samorealizacji. To zobaczymy. Na razie widać, że w tych społeczeństwach, gdzie każdy ma ogromny wybór form działania alpinizm nie się wcale niszczy. Kilka tysięcy wspinających się Polaków to kropla w morzu światowego wspinania. Niemniej z tej skromnej bazy kilku tysięcy wywodzi się grupa ludzi, którzy już od kilku, czy nawet kilkunastu lat znajdują się w czołówce koronnej konkurencji światowego alpinizmu - w Himalajach. Myślę nieśmiało, że może właśnie inteligentno-frajerowski rodowód polskiego alpinizmu do tego doprowadził. Bądź co bądź tam w Himalajach

- O rozwoju alpinizmu można mówić jedynie w odniesieniu do najwyższych gór świata. Tam bowiem można spotkać wszystkie elementy trudności i komplikacji "wspinaczkowej gry", których pokonanie stanowi o alpinistycznym sukcesie, wprowadzając dodatkowo takie czynniki, jak ekstremalne warunki pogodowe i rozrzedzone powietrze.

- Na naszym globie w dającej się przewidzieć przyszłości nie wyrosną nowe Himalaje ani nie zostaną odkryte góry wyższe od nich.

- Psychiczne i fizyczne możliwości ludzkie pokonywania trudności na dużych wysokościach będą miały swój kres.

Problem postawiony najprościej wygląda tak: co się najpierw skończy Himalaje czy człowiek? Przypuszczam, że jednak człowiek. Sądzę mianowicie, że "pole gry" jakie nam dała natura przeraste siły, a raczej psycho-fizyczne możliwości  
c.d. na str. VIII



## ŁASKA

naszą historią i przybliżenie Polakom problemu Odry, a także walorów, jakie z tej rzeki można czerpać. Organizatorzy Przemysłowego Muzeum Odry pragną wytyczyć wzdłuż jej biegu historyczno-turystyczny mający spełniać dotychczasową rolę w edukacji pokoleń Polaków. Bez inwekcji, bez całego balastu struktur organizacyjnych powstanie Przemysłowe Muzeum Odry budzące w wielu osobach przyzwyczajonych do działalności w hierarchii struktur. Jest to społeczne ciało realizatorów Muzeum, złożone z przedstawicieli drzańskich muzeów, archiwów, placówek naukowych, instytucji zainteresowanych w mądrym zadbaniu Odry, oraz pojedynczych miłośników Odry. Od 1986 r. powstało w wielu miastach i ekspozycji, dalsze są przygotowywane. Idea Muzeum Odry przez wiele lat propagował tygodnik "Spektyw". Także inne czasopisma wielokrotnie podejmowały ten temat. Poparcie idei udzieliła Komisja Kultury IX kadencji oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przychylnie traktują ją przedstawiciele województw i miast nadodrzańskich. Organizatorzy liczą na poparcie nowych przedsięwzięć, wszak sprawa żeglowności i czystości Odry jest wspólnym ich interesem.

Uzupełnieniem tej idei stał się rejs barką szkoleniową "Westerplatte", należąca do Technikum Żeglowności Śródlądowej, na trasie Głiwice-Szczecin. Rejs zorganizowano w ramach studium podyplomowego "Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki" przez Politechnikę Wrocławską. Kilku dziesięciu uczestników studium inwentaryzowało zabytki techniki odrzańskie szlaki. Towarzyszący im studenci Wydziału Architektury dokumentowali plórkami walory zakładowe w budynkach przemysłowych, hydrotechnicznych, jak i w nadodrzańskim pejzażu. W wyniku rejsu powstał wspaniały materiał dokumentacyjny. Rejsy takie z udziałem zagranicznych uczestników zamierza się kontynuować w przyszłości.

życiu Unii Miast Morskich. W końcu lat pięćdziesiątych, a później na początku lat siedemdziesiątych, Ziemia Zachodnie i Północne, po deklaracjach europejskich i światowych polityków zaczyna odnajdować swoje miejsce w polskim pejzażu gospodarczym i politycznym. Nie na długo jednak. Daleko ze stolicy do brzegów Odry i Bałtyku. Nadodrzańskie miasta musiały liczyć na siebie. Zapomnieliśmy o polskim interesie nad Odrą. Wyznając tezę o rzecze przyjaźni szybko muraliśmy się zreflektować po wydarzeniach "jesieni narodów". I jakkolwiek pragniemy wejść do wspólnej rodziny europejskich państw, odkładając niekiedy historyczne balasty i uwarunkowania, to jednak musimy mieć śmiałość, że zanim to nastąpi, musimy się do tego przygotować. Popatrzmy więc na Odrę realnie. Przepływa ona przez wiele miast i miasteczek. Pokażcie choć jedno z nich, wykorzy-



nich dołączyli zafascynowani Odrą inni przedstawiciele różnych środowisk, przeświadczeni, że dla tej rzeki warto i trzeba coś uczynić. Stale i czasowe ekspozycje powstawały nie tylko w muzeach, a także w domach kultury i w świetlicach. Wzbogacały się ekspozycje muzeów o coraz to nowe materiały i dokumenty dawnej świetności rzeki. Docelowo od Raciborza aż do Szczecina ma powstać cały ciąg tematycznych ekspozycji stałych uzupełnianych czasowymi o tematyce odrzańskie. Celem tych ekspozycji jest ukazanie związków Od-



Od kilku lat w większości państw na globie panuje swoista "moda" na ochronę środowiska. Wskazuje się na obrzydliwe zanieczyszczenie wód, gleb i powietrza. Lecz okazało się, iż dzieje zagrożenie dla całej planety daje znać wysoko ponad jej powierzchnią. Nagłymi zdmienieniami zauważono, że w stratosferze ozonu, który chroni człowieka i inne organizmy przed zabójczymi promieniami ultrafioletu. Od 1979 do 1985 roku ochrona ozonu nad Antarktydą zmniejszyła się. W 1986 r. zauważono po raz pierwszy ubytek nad biegunem północnym.

Pomiary zawartości i rozkładu ozonu z pomocą już w latach trzydziestych. Różnych metod (użycie nowoczesnych nośników, samoloty, satelity) pozwalały przypisać że przez 40 lat zebrano dostatecznie dużo danych, że żadnych niespodzianek nie należy oczekiwać. Wielkim zaskoczeniem było więc stwierdzenie powstania zupełnie nowego zjawiska, tj. cyklicznego spadku zawartości ozonu nad Antarktydą na południowej półkuli. Pierwszą zaalarmowała praca brytyjskich naukowców z British Antarctic Survey na stacji Halley Bay nad Morzem Weddella. W 1983 r. zaskoczenia wynikami pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym mieście nie się kurczy, a czasami nawet zanika.

## OZO

kontynuowane przez kolejne dwa lata potęgowało się zjawisko - dziura ozonowa coraz się powiększała. W maju 1985 r. J. Farman, D. J. Shanklin poinformowali w cenionym miesięczniku "Nature" o wynikach pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym mieście w 1959 r.

Zaskoczenie było zupełne - nikt nie spodziewał się takich rezultatów. Tym bardziej, że w Ameryce, którzy realizowali od 1979 r. program TOMS (Total Ozone Mapping Spectrometry) na ciągłej rejestracji zawartości i atmosfery za pomocą satelity Nimbus-7, podobnego nie sygnalizowali. Wkrótce wiadomo stało się, że to nie przewidywano, ale tak wielkiego ubytku ozonu i komputer nie przyjmował otrzymanych danych, które za błędne. Po ponownym przeanalizowaniu pomiarów z kosmosu, potwierdzono zjawisko ze stacji polarnych. Dodatkowo ujawniono dziurę dziury nad biegunem północnym, a nie nad Leninem. Donald F. J. NASA, który pierwszy ją zauważył, stwierdził nad Arktyką zaczął się analogiczny proces, chociaż w znacznie mniejszym stopniu.

Początkowo naukowcy bagatelizowali ten problem. Wstępne kalkulacje dotyczące bilansu w atmosferze wypadały zadowalająco. Później serwowane zjawiska ograniczają się tylko do górnego i ich okolic, tragedii nie ma - ta dziura fizyki atmosfery. Jednak w miarę sytuacji i powiększania się obszaru dziury dy badacze szybko się zmieniali.

Dlaczego to właśnie zjawisko uczeni i naukowcy uważają za niezwykle groźne dla ludzkości? Wskazywano, że społeczność naukowa różniła się tak szybko się zmobilizowała do wspólnej działalności? Dlaczego Salwador Alamo, argentyński służby meteorologicznej, przy pomocy południowy kraniec jego kraju odczuwa skutki oddziaływania dziury?

Otóż bez przesady można stwierdzić, że właśnie ozon pozwala nam żyć na Ziemi. Jako składnik atmosfery występuje dosłownie wręcz w śladowych ilościach, lecz pełni rolę filtra nie przepuszczającego 95% zabójczego dla życia promieniowania nadfioletowego Słońca. Zmniejszenie tej naturalnej osłony tylko o 1% może spowodować na świecie 5-procentowy wzrost zachorowań na raka skóry, zwłaszcza wśród ludności białej. Może także wywołać wiele schorzeń oczu i osłabić reakcję układu odpornościowego. Bardzo niebezpieczne jest to, że nadmiar promieni UV uszkadza strukturę kwasów nukleinowych DNA i RNA - może więc dojść do mutacji i degeneracji wielu roślin, także wymarcia wielu drobnych zwierząt i zakłócenia równowagi w świecie. Pierwszymi ofiarami byłaby rybia ichtioplankton morski. Obecnie nie można przewidzieć, czy nie groźniejsze byłoby zmiany klimatyczne. Warstwa ozonu pełni bowiem ważną rolę w utrzymywaniu równowagi termicznej atmosfery, gdyż pochłanianie promieni nadfioletowych towarzyszy wydzielaniu znacznych ilości ciepła. Utrzymywanie się dotychczasowych tendencji grozi znacznymi perturbacjami klimatycznymi o konsekwencjach trudnych jeszcze do przewidzenia. Z tymi zaburzeniami wiąże się jeszcze inny problem, również skomplikowany i poważny - mianowicie efekt



# WROCLAWIANIE W GÓRACH ŚWIATA (2)

W Chamonix dołączają do obozu centralnego Klubu Wysokogórskiego, który biwakuje na łączce w Taconnaz, korzystając z gościnności GUMS-u (Groupe Universitaire de Montagne et Ski), organizacji, która służyła nam zawsze koniecznymi do wyjazdu zaproszeniami. W obozie tym uczestniczy również Maciej Pogorzelski zwany "Bąblem", który wprawdzie studuje na Politechnice Wrocławskiej, ale pochodzi z Częstochowy i jest członkiem Klubu Wysokogórskiego w Warszawie. Początkowo Wanda z Krzysztofem Cieleckim z Warszawy wchodziła zwykłą drogą na Mont Blanc (4807 m), a następnie z Elzbieta Miszczak przechodziła grań trzech szczytów masywu - Mont Blanc du Tacul (4248 m), Mont Maudit (4465 m) i Mont Blanc (4807 m). Po latach Wanda przyznaje, że wtedy odczuła po raz pierwszy wpływ wysokości.

Mont Blanc dla polskich alpinistów był zawsze pierwszą górą, na którą wchodziło się sapiąc i z bólem głowy - niejednym ze sławnych asów tatrzańskich miał poważne kłopoty z wejściem na ten szczyt, zwłaszcza startując bezpośrednio po przyjeździe do Chamonix. Niestety, w czasie tego wyjazdu ginie Maciek Pogorzelski - spada z grani Rochefort. Szedł wraz ze swoim partnerem Maciejem Popko i dwoma Jugosłowianami, stosunkowo łatwym terenem, nie byli związani liną i nawet nie zauważyli, w którym momencie Maciek poleciał. Przyczyną wypadku były (prawdopodobnie) całkowicie stępione rakli. Maciek był silnie związany z Wrocławiem i naszym klubem; wielokrotnie wyjeżdżał w Góry Sokołe, pokonując najtrudniejsze drogi skałek i będąc "dużą" towarzyszą przy wieczornych ogniskach.

Tę góra wspina się również w masywie Mont Blanc Kazimierz Głazek, który wraz z Piotrem Tabakowskim z Krakowa uczestniczy w obozie zorganizowanym przez Club Alpin Belge. Jest to rewanż za zaproszenie alpinistów belgijskich przez Klub Wysokogórski w Tatrach. W czasie tego krótkiego wyjazdu (dwa tygodnie), Kazik Głazek pokonuje aż sześć dróg, w tym cztery z Piotrem Tabakowskim, a dwie z Belgami. Są to drogi głównie skalne o trudnościach VI, A2, a najtrudniejsze z nich to: droga Contamina na Mont Blanc du Tacul, Dent du Geant południową ścianą i Aiguille de L'M drogą Lehningera.

W Tatrach kolejną grupą z Klubu Wrocławskiego - Jan Franczuk, Edward Wyka i Andrzej Wilusz pokonuje coraz to trudniejsze drogi, zdobywając "punkty" dla oceny Komisji Sportowej Zarządu Głównego KW, kwalifikującej corocznie od 20 do 30 osób na wyjazdy centralne w Alpy i Kaukaz.

Rok 1967 przynosił wrocławianom znaczące już sukcesy w Alpach, w postaci pierwszych przejść i powtórzeń najtrudniejszych dróg. W obozie zorganizowanym przez ZG KW w Alpach Szwajcarskich bierze udział Kazimierz Głazek. Wraz z Krzysztofem Zdzitowieckim z Warszawy dokonuje jednego z nielicznych powtórzeń jednej z najtrudniejszych dróg Alp Bernskich - północno-wschodniego filara Finsterarhornu (4273 m) liczącego 1100 m wysokości, drogą Hasslera. Wspinaczka trwa dwa dni, gdyż droga należy do skrajnie trudnych. W kopule szczytowej, na wysokości około 4200 m, decydują się pokonać skalną, prawie gładką ścianę wyprowadza-

jącą wprost na szczyt i po kilku godzinach skrajnie trudnej wspinaczki osiągają wierzchołek wyprostowując drogę pierwszych zdobywców.

W obozie zorganizowanym przez ZG KW w Włoskich Dolomitach na zaproszenie Club Alpino Italiano, wzięło udział osiem osób, w tym z Wrocławia - Roman Bekak i Janusz Ferański. Po kilku powtórzeniach trudniejszych dróg w rejonie Civetta (między innymi zachodniego filara Cima della Busazza - 2916 m, R. Bekak i J. Ferański) uczestnicy obozu otrzymują propozycję od Włochów dokonania pierwszego przejścia 1300-metrowej południowo-zachodniej ściany Cima del Burel (2281 m). W 1966 r. po raz pierwszy próbowali szturmować tę ścianę słynni "Scalattori" (Wiewiórki) z Cortina de Ampezzo, a następnie w lipcu 1967 r. czterech alpinistów z Niemiec i Włoch - D. Hasse i J. Lehne oraz bracia G. i R. Messnerowie. Po czterech dniach zrezygnowali z powiadając ponownie próby i wówczas wraz z dwoma Włochami G. Gianesseli i G. Garna wkróczył nasz zespół.

Na wysokości 500 m ścianę zamyka okap o wysięgu dwudziestu metrów, a w okolicy 1100 m, aż sześćdziesięciu metrów. Poprzednie próby zaczynały się w połowie ściany, dokąd można było dotrzeć dość trudnym i skomplikowanym trawersem. Nasz zespół podzieliliśmy na dwie grupy, z których pierwsza pokonała tylko górną część ściany, a druga - w której byli obaj wrocławianie i dwójka Włochów - całą drogę. Łącznie, oba zespoły wspiwały się efektywnie 110 godzin. Pokonanie obydwu wielkich okapów okazało się niezbyt trudne - były w nich szerokie szczeliny, natomiast największe trudności napotkano w połowie ściany, skąd wycofali się nasi poprzednicy.

Po pokonaniu tej drogi, w pobliskim Belluno, Włochi urządzili na naszą cześć wielką fetę, łącznie z wjazdem do miasta odkrytymi samochodami, telefonami, bankietem i wręczeniem pamiątkowych złotych medali od burmistrza Belluno - co oczywiście było dla nas zupełnie nieznanym "zjawiskiem". Dużo cenniejszy był jednak dla nas 20-litrowy kanister wina, postawiony w schronisku (w dowód uznania).

W obozie zorganizowanym przez ZG KW w Alpach Szwajcarskich bierze udział Kazimierz Głazek. Wraz z Krzysztofem Zdzitowieckim z Warszawy dokonuje jednego z nielicznych powtórzeń jednej z najtrudniejszych dróg Alp Bernskich - północno-wschodniego filara Finsterarhornu (4273 m) liczącego 1100 m wysokości, drogą Hasslera. Wspinaczka trwa dwa dni, gdyż droga należy do skrajnie trudnych. W kopule szczytowej, na wysokości około 4200 m, decydują się pokonać skalną, prawie gładką ścianę wyprowadza-



2

teśmy sobie winni tej sytuacji. Głównymi oskarżonymi o niszczenie ozonu są freony, czyli związki chloru, fluoru i węgla (CFC). Są to gazy organiczne używane dziś powszechnie w aerozoliach, a także jako wypełniacz w instalacjach chłodniczych, klimatyzacyjnych oraz przy produkcji tworzyw sztucznych. W latach sześćdziesiątych zrobiły one oszałamiającą karierę, ze względu na swe zalety: niepalne, nietoksyczne, obojętne, nie wybuchowe oraz praktycznie niezniszczalne. Ich żywotność wynosi od 65 do 120 lat. Ta trwałość okazała się ich największą wadą i jest najprawdopodobniej główną przyczyną powstania obecnych problemów. Freony raz wypuszczone w powietrze nie wchodzi w reakcje z innymi cząsteczkami i nie rozpadają się, lecz unoszą się aż do stratosfery, skąd przedostają się nad bieguny. Tam są akumulowane i, niestety, pod wpływem promieniowania ultrafioletowego tracą już swą stabilność i zostają zniszczone. Uwolniający się przy tym chlor atakuje ozon tworząc tlenek chloru. Powstający związek chloru z tlenem reaguje z wolnymi atomami tlenu, których nad biegunami jest bardzo dużo, a więc znowu powstaje chlor atomowy, który mrozem rozkłada ozon. Szacuje się, że każdy uwolniony atom chloru może spowodować rozpad ok. 100 tysięcy cząsteczek ozonu! Na podobnej zasadzie uznano też odpowiedzialność za proces destrukcji

tyka zasklepia się, jest efektem procesów naturalnych, wypuszczonych balonów, czy też zwykłą sensacją dziennikarską.

Wydaje się, że sytuacja nad biegunami oraz w całej atmosferze jeszcze wcale nie uległa poprawie i potrzeba będzie wielu lat badań i działalności naukowej, abyśmy mogli powiedzieć, że promieniowanie ultrafioletowe już nam nie zagraża. O powadze problemu świadczy m.in. to, że skrupulatni i z reguły nie marnujący niepotrzebnie pieniądze Japończycy zapowiedzieli, że z początkiem 1991 r. rozpoczną własny program szeroko zakrojonych badań warstwy ozonowej w atmosferze, którego koszt ocenia się na 4 mld jenów.

Czy więc nastąpi taki okres, że ciemne okulary i kapelusz z szerokim rondem staną się niezbędnym osobistym wyposażeniem każdego człowieka? Mniej nadzieje, że naukowcy i odpowiedzialni przemysłowcy nie dopuszczą do tego, bo coś by wtedy chroniło rośliny i zwierzęta przed, zdawało się niewinnymi, promieniami UV Słońca, planety, którą przecież utożsamiamy z dawcą nie śmierci, lecz życia.

Adam Popko

## JAK SIĘ WSPINALIŚMY W PEERELU ?

W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej można się było jeszcze ludzić, że Polska jest znowu suwerennym i demokratycznie rządzonym krajem. Klub Wysokogórski także funkcjonował po staremu, rosły szeregi, zakładano nowe koła. Taternictwo nadal było uprawiane według przedwojennych wzorów i w starym stylu pisało się o nim w klubowym piśmie "Taterniku". Ale była to cisza przed burzą. Nadchodziły zupełnie nowe czasy, a ta epoka skończyła się definitywnie w 1949 roku, kiedy to w Polsce zatriumfował stalinowski system rządów. W takim ustroju nie mogło oczywiście być miejsca dla elitarniej, demokratycznie rządzącej się organizacji, nawet jeśli liczyła raptem... dwustu członków, a jej statutowym celem było wyłącznie atakowanie... górskich ścian i szczytów. Przez pewien czas Klub próbował walczyć o przetrwanie, próbując zachować resztki niezależności od centralnych władz, ale ta szamotanina opóźniła tylko fatalny moment, gdy został on rozwiązany, a wspinacze "wcieleni" w szeregi jednej masowej organizacji turystycznej.

Komunistyczni inżynierowie dusz nawet alpinizm uznali za ważne pole walki o człowieka ery socjalizmu. Jeden z neofitów nowej wiary, znany notabene wspinacz i pisarz górski, oburzał się na przykład, że w tych latach wciąż jeszcze: "trafił się taternik, którzy nadal nie wiedzieli o pobycie Lenina w Tatrach, którzy głosili, że walka klasowa wygasa u stóp gór, którzy gardzili wszelką formą pracy kolektywnej". I rzeczywiście, w ciągu następnego paru lat ówczesni zarządcy polskiego alpinizmu usiłowali za wszelką cenę zastąpić indywidualizm kolektywizmem, w formach skopiowanych ze wzorów sowieckich. Chęć intymnego obcowania z przyrodą, osobistego przeżycia górskiej przygody, pragnienie podjęcia emocjonującego ryzyka na

własny rachunek, potępione jako "relikty alpinizmu burzuszynego" musiały ustąpić miejsca przeżyciom zbiorowym, wyczynom "ku czci" czy też szkoleniu pracowników masowej turystyki, ratowników górskich, wojska i milicjantów. Zaczęto także organizować nigdy przedtem w Polsce nie oglądane "górskie sztafety", "wejścia gwiazdźliste" i "alpinady" z udziałem dużych grup wspinaczy i stosowną oprawą programową (W programie Festiwalu Filmów Górskich w Katowicach znalazł się jeden film z tamtej epoki, doskonale dokumentujący te właśnie sprawy - przyp. red.).



Największą jednak klęską stały się dla wspinaczy ograniczenia w dostępie do Tatr, narzucone przez władze wojskowe i administracyjne. Granica między dwoma głęboko - jak twierdziła oficjalna propaganda - zaprzyjaźnionymi narodami polskim i słowackim zaczęła być pilnie strzeżona. Skończyło się beztrudnie

3

życiu Unii Miast Morskich. W końcu lat pięćdziesiątych, a później na początku lat siedemdziesiątych, Ziemia Zachodnie i Północne, po deklaracjach europejskich i światowych polityków zaczynała odnajdować swoje miejsce w polskim pejzażu gospodarczym i politycznym. Nie na długo jednak. Daleko ze stolicy do brzegów Odry i Bałtyku. Nadodrzańskie miasta musiały liczyć na siebie. Zapomnieliśmy o polskim interesie nad Odrą. Wyznając tęzę o rzecze przyjaźni szybko musieliśmy się zreflektować po wydarzeniach "jesieni narodów". I jakkolwiek pragniemy wejść do wspólnej rodziny europejskich państw, odkładając niekiedy historyczne balasty i uwarunkowania, to jednak musimy mieć śmiałość, że zanim to nastąpi, musimy się do tego przygotować. Popatrzmy więc na Odrę realnie. Przepływa ona przez wiele miast i miasteczek. Pokażcie choć jedno z nich, wykorzy-



nych dołączyli zafascynowani Odrą inni przedstawiciele różnych środowisk, przeświadczeni, że dla tej rzeki warto i trzeba coś uczynić. Stałe i czasowe ekspozycje powstawały nie tylko w muzeach, a także w domach kultury i w świetlicach. Wzbogacały się ekspozycje muzeów o coraz to nowe materiały i dokumenty dawnej świetności rzeki. Docelowo od Raciborza aż do Szczecina ma powstać cały ciąg tematycznych ekspozycji stałych uzupełnianych czasowymi o tematyce odrzańskie. Celem tych ekspozycji jest ukazanie związków Od-



## ŁĄSKA

naszą historię i przybliżenie Polakom problemu Odry, a także walorów, jakie z tej rzeki można czerpać. Organizatorzy Przemysłowego Muzeum Odry pragną wytyczyć wzdłuż jej biegu historyczno-turystyczny mający spełniać dobrą rolę w edukacji pokoleń Polaków. Bez inwekcji, bez całego balastu struktur organizacyjnych cjonuje Przemysłowe Muzeum Odry budząc w terenie wielu osób przywycieczonych do działaw hierarchii struktur. Jest to społeczne ciało nizatatorów Muzeum, złożone z przedstawicieli odrzańskich muzeów, archiwów, placówek naukowych, instytucji zainteresowanych w mądrym zadodarowaniu Odry, oraz pojedynczych miłośników Odry. Od 1985 r. powstało w wielu miastach i ekspozycji, dalsze są przygotowywane. Idee Muzeum Odry przez wiele lat propagował tygodnik "spektyw". Także inne czasopisma wielokrotnie podejmowały ten temat. Poparcia idei udzieliła Komisja Kultury IX kadencji oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przychylnie traktują węg przedstawiciele województw i miast nadodrzańskich. Organizatorzy liczą na poparcie nowych rządów, wszak sprawa żeglowności i czystości Odry jest wspólnym ich interesem.

Uzupełnieniem tej idei stał się rejs barką szkoleniową "Westerplatte", należąca do Technikum Żeglugi Śródlądowej, na trasie Głiwice-Szczecin. Rejs zorganizowano w ramach studium podyplomowego "Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki" przez Politechnikę Wrocławską. Kiludziesięciu uczestników studium inwentaryzowało zabytki techniki odrzańskiego szlaku. Towarzyszący im studenci Wydziału Architektury dokumentowali piórkłem walory zakłete w budynkach przemysłowych, hydrotechnicznych, jak i w nadodrzańskim pejzażu. W wyniku rejsu powstał wspaniały materiał dokumentacyjny. Rejsy także z udziałem zagranicznych uczestników zamierza się kontynuować w przyszłości.



Od kilku lat w większości państw na globie panuje swolista "moda" na ochronę ska. Wskazuje się na olbrzymie zanieczyszczenia wód, gleb i powietrza. Lecz okazało się, iż dzwile zagrożenie dla całej planety daje znać wysoko ponad jej powierzchnią. Nac zdumieniem zauważono, że w stratosferze ozonu, który chroni człowieka i inne organizmy przed zabójczymi promieniami ultrafioletu. Od 1979 do 1985 roku ochrona ozonu nad Antarktydą zmniejszyła się. W 1986 r. zauważono po raz pierwszy ubytek nad biegunem północnym.

Pomiary zawartości i rozkładu ozonu z kowano już w latach trzydziestych. Różnych metod i użycie nowoczesnych nośników (satelity, samoloty, satelity) pozwalały przypuścić, że przez 40 lat zebrano dostatecznie dużo danych, że żadnych niespodzianek nie należy oczekiwać. Wielkim zaskoczeniem było więc stwierdzenie powstania zupełnie nowego zjawiska, tj. cyf spadku zawartości ozonu nad Antarktydą na ku tamtejszej wiosny. Pierwsi zaalarmowali trzej brytyjscy naukowcy z British Antarctic Survey na stacji Halley Bay nad Morze delfi. W 1983 r. zaskoczenie wynikiem pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym mie 1959 r.

## OZO

kontynuowane przez kolejne dwa lata potęgowało się powiększała. W maju 1985 r. J. Farman, J. Shanklin poinformowali w cieniu naukowym "Nature" o wynikach pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym mie 1959 r.

Zaskoczenie było zupełne - nikt nie spodziewał się takich rezultatów. Tym bardziej, że amerykańscy, którzy realizowali od 1979 r. ram TOMS (Total Ozone Mapping Spectrometer) legający na ciągłej rejestracji zawartości atmosfery za pomocą satelity Nimbus-7, podobnego nie sygnalizowali. Wkrótce wiadło dlaczego. Po prostu nie przewidziano możliwości tak wielkiego ubytku ozonu i komputer nie przyjmował otrzymywanych danych, co było za błędne. Po ponownym przeanalizowaniu pomiarów z kosmosu, potwierdzono złączenia ze stacji polarnych. Dodatkowo ujawniła się druga dziura nad biegunem północnym nad Leningradem. Donald F. NASA, który pierwszy ją zauważył, stwierdził, że na Arktyce zaczął się analogiczny proces, na przeciwnej stronie kuli ziemskiej.

Początkowo naukowcy bagatelizowali błąd. Wstępne kalkulacje dotyczące bilansu w atmosferze wypadły zadowalająco. Później serwowane zjawiska ograniczają się tylko do górnego i ich okolic, tragedii nie ma - ta dziura fizycy atmosfery. Jednak w miarę sytuacji i powiększania się obszaru dziury dy badaczy szybko się zmieniały.

Dlaczego to właśnie zjawisko uczeni kończą na niezwykle groźne dla ludzkości? Wodowało, że społeczności naukowe różnic tak szybko się zmobilizowały do wspólnej działalności? Dlaczego Salvador Alamo, argentyńskiej służby meteorologicznej, przy południowy kraniec jego kraju odczuje skutki oddziaływania dziury?

Otóż bez przesady można stwierdzić, że właśnie ozon pozwala nam żyć na Ziemi. Jako składnik atmosfery występuje dosłownie wręcz w śladowych ilościach, lecz pełni rolę filtra nie przepuszczającego 95% zabójczego dla życia promieniowania nadfioletowego Słońca. Zmniejszenie tej naturalnej osłony tylko o 1% może spowodować na świecie 5-procentowy wzrost zachorowań na raka skóry, zwłaszcza wśród ludności białej. Może także wywołać wiele schorzeń oczu i osłabić reakcje układu odpornościowego. Bardzo niebezpieczne jest to, że nadmiar promieni UV uszkadza strukturę kwasów nukleinowych DNA i RNA - może więc dojść do mutacji i degeneracji wielu roślin, także wymarcia wielu drobnoustrojów i zakłócenia równowagi w świecie. Pierwszymi ofiarami byłyby ryby i plankton morski. Obecnie nie można przewidzieć, czy nie groźniejsze byłoby zmiany klimatyczne. Warstwa ozonu pełni bowiem ważną rolę w utrzymywaniu równowagi termicznej atmosfery, gdyż pochłanianiu promieni nadfioletowych towarzyszy wydzielanie znacznych ilości ciepła. Utrzymywanie się tych dotychczasowych tendencji grozi znacznymi perturbacjami klimatycznymi o konsekwencjach trudnych jeszcze do przewidzenia. Z tymi zaburzeniami wiąże się jeszcze inny problem, również skomplikowany i poważny - mianowicie efekt

wspinanie w CALYCH Tatrach. Bez specjalnego zezwolenia nie wolno było wspiąć się na szczyty graniczne nawet od polskiej strony. Wspinacze musieli przemykać się między posterunkami, poddawali kontrolom i rewizjom, a zdarzyło się, co mogą potwierdzić żyjący bohaterowie wydarzeń, że wypadało się wspiąć pod ogniem broni automatycznej. To było zupełnie nowością: częściowa delegalizacja wspinania. Do ryzyka odpadnięcia w ścianie doszło jeszcze ryzyko postrzelenia, a potem "wpadnięcia" po ukończeniu wspinaczki.

Pomimo takiej sytuacji wykorzystywano każdą niemal szansę i okazję, aby dorwać się do upragnionych, a tak trudnodostępnych gór. Okrzyk na cześć "ukochanego wodza - towarzysza Stalina" nie dla każdego entuzjasty wspinania był ceną zbyt wygórowaną. Taka postawa też była nowością, którą do taternictwa wniosła ze sobą nowa epoka. Gdy bezwzględna uczciwość znaczyła rezygnację z szansy wyjazdu w ukochane góry, powstawał dylemat, czy w imię pasji górskiej jest do przyjęcia moralny kompromis, zdrada ideałów. W powietrzu zawisło pytanie: do jakiej granicy cel uświęca środki, i czy TAKI cel może usprawiedliwiać moralne zeznaczenie? Przez następne 40 lat polscy wspinacze z podziwu godną regularnością będą zadawać sobie te właśnie pytania.



Decyduje nie ma już wątpliwości, że w tym wszystkim winni tej sytuacji. Głównymi oskarżonymi o niszczenie ozonu są freony, czyli związki chloru, fluoru i węgla (CFC). Są to gazowe związki organiczne używane dziś powszechnie w aerozoluach, a także jako wypełniacze w instalacjach chłodniczych, klimatyzacyjnych oraz przy produkcji tworzyw sztucznych. W latach sześćdziesiątych zrobiły one oszałamiającą karierę, ze względu na swe zalety: niepalne, nietoksyczne, obojętne, niewybuchowe oraz praktycznie niezniszczalne. Ich żywotność wynosi od 65 do 120 lat. Ta trwałość okazała się ich największą wadą i jest najprawdopodobniej główną przyczyną powstania obecnych problemów. Freony raz wypuszczone w powietrze nie wchodzi w reakcje z innymi cząsteczkami i nie rozpadają się, lecz unoszą się aż do stratosfery, skąd przedostają się nad bieguny. Tam są akumulowane i, niestety, pod wpływem promieniowania ultrafioletowego tracą już swą stabilność i zostają zniszczone. Uwolniony przy tym chlor atakuje ozon tworząc tlenek chloru. Powstały związek chloru z tlenem reaguje z wolnymi atomami tlenu, których nad biegunami jest bardzo dużo, a więc znowu powstaje chlor atomowy, który rozkładać ozon. Szacuje się, że każdy uwolniony atom chloru może spowodować rozpad ok. 100 tysięcy cząsteczek ozonu. Na podobnej zasadzie uznano też odpowiedzialność za proces destrukcji

nie zawsze i nie dla wszystkich odpowiedzi na nie były łatwe czy oczywiste.

Schyłek tej mrocznej epoki, okres paru lat po śmierci Stalina, przyniósł jeszcze jedną nowość nieznaną przedtem w taternictwie. Stworzono system klasyfikacji wspinaczy według ich osiągnięć sportowych wzorowany - rzecz jasna - na wzorach radzieckich. Mimo, iż ta biurokratyczna inicjatywa nie zdążyła wówczas przeżyć się na stałe w naszym wspinaczkowym życiu, to jednak - po latach - odrodziła się i pięknie rozkwitła w postaci rozbudowanego systemu stopni szkoleniowych, który przetrwał aż do dziś.

Początek kolejnego okresu w historii polskiego alpinizmu wiąże się z dojściem do władzy Chruszczowa, a w Polsce Gomułki. Na fali wielkiej odwilży w systemie komunistycznym przywrócono do życia wiele pogrzebanych przez władze instytucji, a wśród nich Klub Wysokogórski. Szybko powróciło tradycyjne, naturalne rozumienie sensu wspinania i odpowiadające mu formy organizacyjne. Środowisko wspinaczy znowu zaczęło tworzyć właściwą mu feudalną hierarchię, a rząd dusz z powrotem przejęli alpinści o znaczących osiągnięciach sportowych i niekwestionowanej postawie moralnej. W klubach (dokładniej: były to koła jednego, ogólnopolskiego Klubu) po staremu zapanowała specyficzna, rodzinna atmosfera, a każdy wspinacz, nawet świeżo upieczony kursant, czuł się rzeczywistym członkiem tej wielkiej rodziny, mając ściśle określone prawa i obowiązki. A więc - wracaliśmy stare...

Ale nowe władze czuwały. Likwidowano pozostałości "kultu jednostki", ochraniając jednak troskliwie to wszystko, co było potrzebne, aby system mógł nadal sprawnie funkcjonować. Dlatego zapewne do dziś nie udało się przywrócić przedwojennego jeszcze przywileju taterników - możliwości swobodnego poruszania się po obszarze CALYCH Tatr. WACŁAW SONELSKI

4

tyką zasklepiła się, jest efektem procesów naturalnych, wypuszczonych balonów, czy też zwykłą sensacją dziennikarską.

Wydaje się, że sytuacja nad biegunami oraz w całej atmosferze jeszcze wcale nie uległa poprawie i potrzeba będzie wielu lat badań i działalności sanacyjnej, abyśmy mogli powiedzieć, że promieniowanie ultrafioletowe już nam nie zagraża. O powadze problemu świadczą m.in. to, że skrupulatni i z reguły nie marnujący niepotrzebnie pieniędzy Japończycy zapowiedzieli, że z początkiem 1991 r. rozpoczną własny program szeroko zakrojonych badań warstwy ozonowej w atmosferze, którego koszt ocenia się na 4 mld jenów.

Czy więc nastąpi taki okres, że ciemne okulary i kapelusze z szerokim rondem staną się niezbędnym osobistym wyposażeniem każdego człowieka? Miejmy nadzieję, że naukowcy i odpowiedzialni przemysłowcy nie dopuszczą do tego, bo oś by wtedy chroniło rośliny i zwierzęta przed, zdawało się niewiarygodnymi, promieniami UV Słońca, planety, którą przecież utożsamiamy z dawcą nie śmierci, lecz życia.

Adam Popko



Południowa ściana Lhotse zdobyta  
Himalalzm wszedł w wiek XXI

Stywna południowa ściana czwartego co do wysokości szczytu Ziemi, Lhotse (8501 m), która w ostatnich latach włączyła najpotężniejsze siły światowego alpinizmu, została pokonana. Młody Jugosłowianin z Kranj niedaleko Ljubljany, Tomo Cesen, sprawił, iż marzenia naszego pokolenia o idealnym przejściu tego trzykilometrowego urwiska stały się faktem.

Reinhold Messner napisał kiedyś, że południowa ściana Lhotse jest zadaniem "na po roku 2000". Rozwój alpinizmu okazał się jednak szybszy. W latach 1981-89 wyprawy jugosłowiańska i polskie zbliżyły się na 250 i 150 m od szczytu. Urwisko Lhotse ma jednak tę zdradliwą cechę, iż największe trudności znajdują się powyżej 8200 m, gdzie cienkie powietrze, mróz i zmęczenie odbierają alpinistom energię i wolę walki.

Większość dotychczasowych wypraw atakowała ścianę tradycyjnymi metodami, rozpinając kilometry lin poręczowych i zakładając obozy. Tomo Cesen zastosował taktykę wypróbowaną rok wcześniej na Jannu: postanowił przejść ścianę "na blysk", w tzw. stylu alpejskim - samotnie i bez jakiegokolwiek ubezpieczenia. Dotarł do bazy 15 kwietnia w towarzystwie dwóch osób: lekarza (dr Jani Kokalj) i fotografa (Tomasz Ravnihar). Aklimatyzował się na grani pobliskiej Lhotse Shar (na zdjęciu szczyt z prawej). Do wejścia wybrał drogę jugosłowiańską z roku 1981. Wspinaczkę zaczął 22 kwietnia o 5: po południu i wspinał się śnieżnolodowym terenem przez całą noc, by uniknąć lawin i spadających kamieni. Pierwszy biwak na wysokości 7600 m trwał od 8 rano do 13 w południe. Potem kontynuował wejście stronem lodem i o godzinie 23 dotarł pod skalny filar. Drugi biwak bez wygodnego miejsca, w mrozie i wletrze był bardzo ciężki. 24 kwietnia o 5 rano zaczął najtrudniejszy od

ciniek drogi. Na 50-70-metrowym pionowym progu skalnym trudności były ekstremalne (V-VI stopień). Robił ten kawałek 3 godziny, pomagając sobie wbitymi w skałę hakami. Silnie zaśnięzoną granicę z niebezpiecznymi nawisami osiągnął przełączką, a potem stromą granicę szczytu Lhotse. Była godzina 14.30, mróz, wiatr, zadymka. Ściana była pokonana, ale czekało go jeszcze niebezpieczne zejście. Schodził tą samą drogą, w złej pogodzie z jeszcze jednym długim biwakiem na wysokości 7300 m, aby przeczekać lawione inferno.

Wejście, na które poprzednie wyprawy przeznaczały po półtora miesiąca, jemu zajęło 45 godzin, w tym 14 godzin odpoczynków. Zejście trwało 17 godzin. W ścianę zabrał 3 litry picia, 3 kg żywności, 100 m cienkiej liny, śpiwór i okrycie biwakowe. Nie miał nawet kochera.

Czołowy problem himalajski ostatniej dekady został rozwiązany i to w tak niezwykłym stylu. Wejście Cesena stanowi kamień milowy w historii alpinizmu, choć po prawdzie przełom nastąpił nie tutaj, lecz rok wcześniej na ścianie Jannu. Zapytaliśmy go, jak porównuje te dwa wyczyny. "Ściana Jannu była o wiele trudniejsza technicznie - powiedział - ale na Lhotse doszły trudności związane z wysokością. Nie byłem na 100% zaaklimatyzowany i na szczycie odczuwałem silne zmęczenie". Oba te wejścia stawiają Cesena na pozycji zgola wyjątkowej w światowym alpinizmie, przy czym nie ma on właściwie konkurentów zdolnych do podobnych wyczynów. Na czym polega jego tajemnica? Na pewno na fenomenalnych uzdolnieniach, ale nie tylko. Tomo prowadził przez cały rok ostry trening. Co weekend jest w górach na wielkich drogach - zimą i latem - których robił po kilka, z reguły samotnie. Twierdzi on, że ważne są siła, wytrzymałość i wirtuozeria techniczna, ale podstawę stanowi przygotowanie psychiczne: zdolność do skrajnego skoncentrowania się, opanowanie lęku i wiara w siebie. "Kondycja psychiczna - mówi - to 3/4 sukcesu".

Artur Hajzer, partner Wielickiego na tej ścianie, na wiadomość o jej przejściu powiedział: "A więc zaczął się wiek XXI". Józef Nyka P.S. Jesienią tego roku na południową ścianę Lhotse wyruszy silna wyprawa radziecka, której celem będzie centralny filar skalny, technicznie trudniejszy od drogi jugosłowiańskiej.



## ŁASKA

naszą historią i przybliżenie Polakom problemów Odry, a także walorów, jakie z tej rzeki można czerpać. Organizatorzy Przestrzennego Muzeum Odry pragną wytyczyć wzdluz jej biegu historyczno-turystyczny mający spełniać dotychczasową rolę w edukacji pokoleń Polaków. Bez inwekcji, bez całego bałastu struktur organizacyjnych funkcjonuje Przestrzenne Muzeum Odry budując w terenie wielu osób przyzwyczajonych do działalności w hierarchii struktur. Jest to społeczne ciało inicjatorów Muzeum, złożone z przedstawicieli odrzańskich muzeów, archiwów, placówek naukowych, instytucji zainteresowanych w mądrym zaplanowaniu Odry, oraz pojedynczych miłośników Odry. Od 1986 r. powstało w wielu miastach ekspozycji, dalsze są przygotowywane. Ideę Muzeum Odry przez wiele lat propagował tygodnik "Spektrum". Także inne czasopisma wielokrotnie podejmowały ten temat. Poparcie idei udzieliła Komisja Kultury IX kadencji oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przychylnie traktują tę przedsięwzięcie województwa i miast nadodrzańskich. Organizatorzy liczą na poparcie nowych władz, wszak sprawa żeglowności i czystości Odry jest wspólnym ich interesem.

Uzupełnieniem tej idei stał się rejs barką szkoleniową "Westerplatte", należąca do Technikum Żegluga Śródlądowej, na trasie Gliwice-Szczecin. Rejs zorganizowano w ramach studium podyplomowego "Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki" przez Politechnikę Wrocławską. Kiludziesięciu uczestników studium inwentaryzowało zabytki techniki odrzańskiego szlaku. Towarzyszący im studenci Wydziału Architektury dokumentowali piórkami walory zakłete w budowlach przemysłowych, hydrotechnicznych, jak i w nadodrzańskim pejzażu. W wyniku rejsu powstał wspaniały materiał dokumentacyjny. Rejsy także z udziałem zagranicznych uczestników zamierza się kontynuować w przyszłości.



żywoł Unii Miast Morskich. W końcu lat pięćdziesiątych, a później na początku lat siedemdziesiątych, Ziemi Zachodnie i Północne, po deklaracjach europejskich i światowych polityków zczynają odnajdować swoje miejsce w polskim pejzażu gospodarczym i politycznym. Nie na długo jednak. Daleko ze stolicy do brzegów Odry i Bałtyku. Nadodrzańskie miasta musiały liczyć na siebie. Zapomnieliśmy o polskim interesie nad Odrą. Wyznając tezę o rzecze przyjaźni szybko musieliśmy się zreflektować po wydarzeniach "jesieni narodów". I jakkolwiek pragniemy wejść do wspólnej rodziny europejskich państw, odkładając niekiedy historyczne bałasty i uwarunkowania, to jednak musimy mieć śmiałość, że zanim to nastąpi, musimy się do tego przygotować. Popatrzmy więc na Odrę realnie. Przepływa ona przez wiele miast i miasteczek. Pokażcie choć jedno z nich, wykorzy-



nych dotychczas zafascynowani Odrą inni przedstawiciele różnych środowisk, przeświadczeni, że dla tej rzeki warto i trzeba coś uczynić. Stała i czasowe ekspozycje powstawały nie tylko w muzeach, a także w domach kultury i w świetlicach. Wzbogacały się ekspozycje muzeów o coraz to nowe materiały i dokumenty dawnej świetności rzeki. Docelowo od Raciborza aż do Szczecina ma powstać cały ciąg tematycznych ekspozycji stałych uzupełnianych czasowymi o tematyce odrzańskie. Celem tych ekspozycji jest ukazanie związków Od-

Od kilku lat w większości państw na globe panuje swoista "moda" na ochronę i kark. Wskazuje się na obryzmie zanieczy wód, gleb i powietrza. Lecz okazało się, iż dżiwe zagrożenie dla całej planety daje znać wysoko ponad jej powierzchnią. Na zdumienie zauważono, że w stratosferze ozonu, który chroni człowieka i inne żywe przed zabójczymi promieniami ultrafioletu. Od 1979 do 1985 roku ochrona ozonu nad Antarktydą zmniejszyła się. W 1986 r. zauważono po raz pierwszy ubytek nad biegunem północnym.

Pomiary zawartości i rozkładu ozonu z kowano już w latach trzydziestych. Różnych metod i użycie nowoczesnych nośników (ty, samoloty, satelity) pozwalały przypuścić, że przez 40 lat zebrano dostatecznie dużo i że żadnych niespodzianek nie należy oczekiwać. Wielkim zaskoczeniem było więc stwierdzenie powstania zupełnie nowego zjawiska, tj. cyklicznego spadku zawartości ozonu nad Antarktydą na kręgu tamtejszej wiosny. Pierwsi zaalarmowali trzej brytyjscy naukowcy z British Antarctic Survey na stacji Halley Bay nad Morzem Weddella. W 1983 r. zaskoczenie wynikami pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym mieście w 1959 r.

## OZO

kontynuowane przez kolejne dwa lata potęgowało się to zjawisko - dziura ozonowa coraz się powiększała. W maju 1985 r. J. Farman, D. J. Shanklin poinformowali w centrum naukowym "Nature" o wynikach pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym mieście w 1959 r.

Zaskoczenie było zupełne - nikt nie spodziewał się takich rezultatów. Tym bardziej, że amerykańscy naukowcy, którzy realizowali od 1979 r. program TOMS (Total Ozone Mapping Spectrometry) polegający na ciągłej rejestracji zawartości ozonu w atmosferze za pomocą satelity Nimbus-7, podobnego nie sygnalizowali. Wkrótce wiadomości o tym dobiegły do polskiej. Po prostu nie przewidziano możliwości tak wielkiego ubytku ozonu i komputer nie przyjmował otrzymywanych danych, uważając je za błędne. Po ponownym przeanalizowaniu danych z kosmosu, potwierdzono istnienie dziury nad Antarktydą. Dodatkowo ujawniono drugą dziurę nad biegunem północnym, sięgającą aż nad Leningrad. Donald F. Rowland z NASA, który pierwszy ją zauważył, stwierdził, że nad Arktyką zaczął się analogiczny proces, na północnej stronie kuli ziemskiej.

Początkowo naukowcy bagatelizowali to zjawisko. Wstępne kalkulacje dotyczące bilansu w atmosferze wypadły zadowalająco. Podobne zjawiska ograniczają się tylko do gór i ich okolic, tragedii nie ma - tak mówili fizycy atmosfery. Jednak w miarę rozwoju badań i powiększania się obszaru dziury dybacy szybko się zmieniali.

Dlaczego to właśnie zjawisko uczeni zaczęli uważać za niezwykle groźne dla ludzkości? Wodowało, że społeczność naukowa różniła się tak szybko do wspólnego zdania? Dlaczego Salvador Alamo, argentyński naukowiec meteorologiczny, przyjeżdżający do południowej części kraju odczuwał skutki oddziaływania dziury?

Otoż bez przesady można stwierdzić, że właśnie ozon pozwala nam żyć na Ziemi. Jako składnik atmosfery występuje dostownie wręcz w śladowych ilościach, lecz pełni rolę filtra nie przepuszczającego 95% zabójczego dla życia promieniowania nadfioletowego Słońca. Zmniejszenie tej naturalnej osłony tylko o 1% może spowodować na świecie 5-procentowy wzrost zachorowań na raka skóry, zwłaszcza wśród ludności białej. Może także wywołać wiele schorzeń oczu i osłabienie reakcji układu odpornościowego. Bardzo niebezpieczne jest to, że nadmiar promieni UV uszkodza strukturę kwasów nukleinowych DNA i RNA - może więc dojść do mutacji i degeneracji wielu roślin, także wymarcia wielu drobnoustrojów i zakłócenia równowagi w świecie. Pierwszymi ofiarami byłyby rybia i plankton morski. Obecnie nie można przewidzieć, czy nie groźniejsze byłoby zmiany klimatyczne. Warstwa ozonu pełni bowiem ważną rolę w utrzymywaniu równowagi termicznej atmosfery, gdyż pochłanianie promieni nadfioletowych towarzyszy wydzieleniu znacznych ilości ciepła. Utrzymywanie się dotychczasowych tendencji grozi znacznymi perturbacjami klimatycznymi o konsekwencjach trudnych jeszcze do przewidzenia. Z tymi zaburzeniami wiąże się jeszcze inny problem, również skomplikowany i poważny - mianowicie efekt

Kończą się czasy radosnej twórczości w organizacji zawodów wspinaczkowych. Wszelkie improwizacje - jako mało poważne - ustępują miejsca precyzyjnemu programowi dopracowanemu w najdrobniejszych szczegółach. Najistotniejszą sprawą jest wysokość zysków dla poszczególnych organizatorów. Do warunków sukcesu finansowego należy przystojny, energiczny "moderator", niekoniecznie znający temat, ale umiejący rozgrzewać atmosferę. Samych zawodów nie należy przerywać reklamami, ponieważ impreza nie powinna przeciągać się ponad możliwości koncentracji uwagi przez przeciętnego oglądacza. Co się tyczy zawodników, to wpisowe na zawody trzeba by wreszcie ustalić na rozsądnym poziomie. Zawodnicy wyeliminowani, chcąc kibicować w dalszej części swoim kolegom, muszą wykupić bilety. Zawody wspinaczkowe jako ryzykowne finansowo, muszą być organizowane w połączeniu z innymi imprezami trwającymi równolegle, które zapewnią dostateczną liczbę kibiców (gotówki). Należy do nich pokazy mody, akrobacje narciarskie na sztucznych zboczach lub skoczni, itp. Głośna muzyka może rozpraszać wspinających się zawodników, ale skupia dochodzących ludzi. Tańsze bilety charakteryzują się tym, że należy na miejscu dokonać dopłaty, by cokolwiek zobaczyć.

Ściana została zbudowana przez najlepszych specjalistów w tej dziedzinie, francuską firmę Entere Prises. Kształtem przypominała jedną z bram w murze obronnym najstarszej części Norymbergi. Wszystkie drogi zostały opracowane przez duet Wolfgang Göllich/Kurt Albert i mieściły się w 12 metrach wysokości i 15 metrach szerokości.

Zjechało 143 zawodników z 14 krajów. Zawody rozpoczęły się eliminacjami w poniedziałek 30 października, by zakończyć się w sobotę 4 listopada końcowym partym. Suma nagród wyniosła 75 tys. marek. Trudności dróg eliminacyjnych mieściły się w granicach VIII-IX, dróg z finału, super finału i top-super finału, pomiędzy IX-X. W eliminacjach brali udział tylko zawodnicy bez nominacji, tzn. bez znaczących sukcesów w tego typu imprezach.

Bezspornie najlepszy w tej grupie okazał się dobrze nam znany Jindřich Hudeček. Reklamowana gwiazda z Wysp John Dawes, nie był w stanie przetrwać specyfiki zawodów i pozostał poza 37 miejscem dającym przejście do finałów. Rewalacją eliminacji była mała czarna Fumie Mie Oshima (Japonia), a kiedy w pierwszym finale zajęła drugie miejsce po Lynn Hill, wszyscy przestali wierzyć w z góry ustalone scenariusze. Rodak Fuma-

## On side po niemiecku

Za zawody wspinaczkowe biorą się fachowcy od reklamy i marketingu, czyli ogólnie rzecz biorąc - od robienia forsy. Zawodnikom pozostaje wrażenie, że są głównymi aktorami w tym spektaklu. Tym słowem chciałbym poprzedzić krótką relację z Pierwszego Międzynarodowego Pucharu - Frankenjura 89 w Norymberdze.

6

le, sympatyczny Yuji Yirayama, dopiero się rozgrzewał do "wejścia smoka". W tym czasie Francois Legrand (Francja) już pokazywał, że czas najwyższy zmienić warty. Uwaga! Proszę zapamiętać - Francois Legrand. Już nie po raz pierwszy, przed ostateczną rozgrywką Jerry Moffat wydaje się być niedościgniony i nie po-

teśmy sobie winni tej sytuacji. Głównymi oskarżonymi o niszczenie ozonu są freony, czyli związki chloru, fluoru i węgla (CFC). Są to gazowe związki organiczne używane dziś powszechnie w aerozoliach, a także jako wypełniacz w instalacjach chłodniczych, klimatyzacyjnych oraz przy produkcji tworzyw sztucznych. W latach sześćdziesiątych zrobiły one oszałamiającą karierę, ze względu na swe zalety: niepalne, nietoksyczne, obojętne, niewybuchowe oraz praktycznie niezniszczalne. Ich żywotność wynosi od 65 do 120 lat. Ta trwałość okazała się ich największą wadą i jest najprawdopodobniej główną przyczyną powstania obecnych problemów. Freony raz wypuszczone w powietrze nie wchodzą w reakcje z innymi cząsteczkami i nie rozpadają się, lecz unoszą się aż do stratosfery, skąd przedostają się nad bieguny. Tam są akumulowane i, niestety, pod wpływem promieniowania ultrafioletowego tracą już swą stabilność i zostają zniszczone. Uwolniony przy tym chlor atakuje ozon tworząc tlenek chloru. Powstały związek chloru z tlenem reaguje z wolnymi atomami tlenu, których nad biegunami jest bardzo dużo, a więc znowu powstaje chlor atomowy, który mrozozkłada ozon. Szacuje się, że każdy uwolniony atom chloru może spowodować rozpad ok. 100 tysięcy cząsteczek ozonu! Na podobnej zasadzie uznano też odpowiedzialność za proces destrukcji

tyką zasklepiła się, jest efektem procesów naturalnych, wypuszczonych balonów, czy też zwykłą sensacją dziennikarską.

Wydaje się, że sytuacja nad biegunami oraz w całej atmosferze jeszcze wcale nie uległa poprawie i potrzeba będzie wielu lat badań i działalności sanacyjnej, abyśmy mogli powiedzieć, że promieniowanie ultrafioletowe już nam nie zagraża. O powadze problemu świadczy m.in. to, że skrupulatni i z reguły nie marnujący niepotrzebnie pieniędzy Japończycy zapowiedzieli, że z początkiem 1991 r. rozpoczną własny program szeroko zakrojonych badań warstwy ozonowej w atmosferze, którego koszt ocenia się na 4 mld jenów.

Czy więc nastąpi taki okres, że ciemne okulary i kapelusz z szerokim rondem staną się niezbędnym osobistym wyposażeniem każdego człowieka? Mójmy nadzieję, że naukowcy i odpowiedzialni przemysłowcy nie dopuszczą do tego, bo cóż by wtedy chroniło rośliny i zwierzęta przed, zdawało się niewinnymi, promieniami UV Słońca, planety, którą przecież utożsamiamy z dawcą nie śmierci, lecz życia.

Adam Popko

nia) przez starszego z braci Messnerów - Günthera. Notabene, Günther Messner raz z bratem Reinholdem wszedł w roku 1970 na Nanga Parbat (8125 m), lecz podczas zejścia zaginął. Ówczesny redaktor naczelny miesięcznika "Alpinismus", słynny Toni Heibler, uznał naszą drogę do Cima del Burel za największy sukces lata 1967 r. w całym paśmie Alp.

Latem 1967 r. w Chamonix pojawiła się znowu Wanda Błaszkievicz, tym razem w towarzystwie Haliny Kröger, bardziej doświadczonej alpinistki. Odnosią one spory sukces, przechodząc w dobrym stylu północno-wschodnią ścianę Aiguille du Grepon.

W centralnym obozie Klubu Wysokogórskiego w Alpach Francuskich uczestniczy również w tym czasie Bogdan Jankowski, który z Jackiem Porębą z Krakowa przechodził w dniu 7.08.1967 r. bardzo trudną drogę na Aiguille de Blaitiere - Rysę Browna. Droga ta do dzisiaj nie uległa dewaluacji i w dalszym ciągu jest jedną z trudniejszych i piękniejszych w masywie górującym nad Chamonix. Bogdan Jankowski wchodził, również w czasie tego wyjazdu, niezbyt trudną drogą (ostrągą Brenvy) na Mont Blanc.

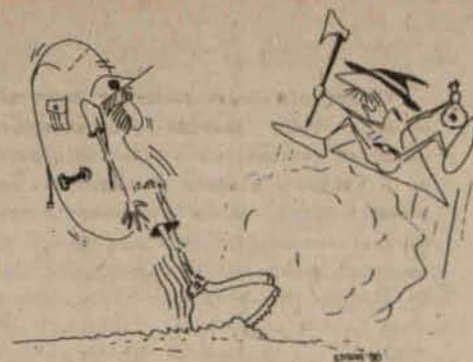
W 1968 r. Polacy debiutują w górach Norwegii. Góry są tu wprawdzie niewysokie, sięgające zaledwie 2000 metrów, ale ściany zaczynają się niewiele ponad poziomem morza i urwiska skalne, nieraz do całkiem pionowe przewyższają ściany alpejskie. Góry są zbudowane z pleknego, litego granitu i wspinaczka w tych ścianach to prawdziwa rozkosz dla skalofazów.

W obozie Klubu Wysokogórskiego w dolinie Romsdal bierze udział zespół kobiety Wanda Błaszkievicz i Halina Kröger. Polskim alpinistom służy pomocą A. R. Heen - przewodnik górski, a w latach późniejszych największy przyjaciel polskich alpinistów w Norwegii. Niejako z marszu, Wanda i Halina w towarzystwie dwóch alpinistów przechodzą drogę "Fiva" na Store Trollind (1700 m, trudność IV), a następnie w dniu 9.08.1968 r. rozpoczynają wspinaczkę na filarze Trollryggen (1742 m, skrajnie trudno z miejscami A2). Jest to jedna z najtrud-

niejszych dróg w rejonie fiordu Romsdal i nasze alpinistki (po zejściu) czekają wywiady dla prasy, bankiety i puchar "Trollindu".  
W piśmie dla mężczyzn, czyli czymś w rodzaju norweskiego "Playboya" ukazuje się duży artykuł ze zdjęciami naszych pań. Po powrocie, Wanda pokazując to pismo w klubie, w pewnym momencie spostrzegła, że koledzy, zamiast oglądać jej fotografię wraz z Haliną w tryumfalnej pozie na szczycie Trollryggen, z ogromnym zainteresowaniem i odpowiednimi uwagami komentują "rozkładówkę" w środku pisma, prezentując kolorowe zdjęcie nagiej Japonki - "Fukuki" - dziewczyny mieszkającej w Japonii.

W tym samym sezonie, w obozie w Dolomitach Włoskich ponownie uczestniczą wrocławianie - Roman Babak i Janusz Fereński. Wspinają się w rejonie masywu Civetta, przechodząc drogę Andrich-Fae na Torre Venezia (V+), a następnie wraz z Ryszardem Kowalewskim z Gdańska dokonują pierwszego przejścia lewej części północnej ściany Punta Civetta wchodząc na szczyt Pan di Zucchero. Ściana ta liczyła około 600 m (trudność VI+, A2). Zajęła im dwa dni wspinania i znowu wielki sukces w Dolomitach - w przewodniku Civetta Molazza z 1968 r. droga nosi nazwę "via dei polacchi".

Janusz Fereński Cdn. 7



#### 40 lat TANAP

Z przeszło rocznym opóźnieniem, w dniach 23 i 24 maja 1990 r., odbyła się w Łomnicy Tatrzańskiej uroczysta konferencja poświęcona jubileuszowi słowackiego Tatrzańskiego Parku Narodowego (w skrócie TANAP), utworzonego z dniem 1 stycznia 1949 r. W kierownictwie Parku nastąpiły ostatnio głębokie zmiany personalne, za którymi idą też przeformowania ideowe. Postanowiono zerwać z dotychczasową uległością wobec czynników politycznych i uczynić ochronę przyrody celem rzeczywistym nadrzędnym. Nie będą już organizowane nieobojętne dla środowiska masowe imprezy w rodzaju Złotów Młodzieży na Rysach, nie będzie narzucanych z góry inwestycji na obrzeżu Parku, a niekiedy i jego obszarze. Park będzie się też przeciwstawiał naciskom sfer sportowych, stopniowo ograniczając "pod względem czasu i przestrzeni" ruch turystyczny, narciarstwo i alpinizm. W imprezie uczestniczyła liczna delegacja polska z udziałem przewodniczącego Rady TPN, prof. Mieczysława Klimaszewskiego i dyrektora Parku, dra Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna.

Po zakończeniu Konferencji Jubileuszowej odbyło się robocze spotkanie Rad Naukowych obydwu parków, w trakcie którego uzgodniono płaszczyznę ściślejszej niż dotąd współpracy oraz tematy wspólnych zamierzeń, takich np. jak wydanie w dwóch językach polsko-słowackiej monografii przyrodniczej Tatr. Za główne zagrożenie dla flory i fauny uznano napływ skażonego powietrza z nadobrodów przemysłowych, szczególnie z nad Śląska.

Józef Nyka



# ŁASKA

naszą historią i przybliżenie Polakom prąw Odry, a także walorów, jakie z tej rzeki da czerpać. Organizatorzy Przemysłowego Muzeum Odry pragną wytyczyć wzdłuż jej biegu historyczno-turystyczny mający spełniać dotychczasową rolę w edukacji pokoleń Polaków. Bez inwestycji, bez całego balastu struktur organizacyjnych powstanie Przemysłowe Muzeum Odry budzące w wielu osobach przyzwyczajonych do działalności w hierarchii struktur. Jest to społeczne ciało nierzadko Muzeum, złożone z przedstawicieli odrzańskich muzeów, archiwów, placówek naukowych, instytucji zainteresowanych w mądrym zarządzaniu Odry, oraz pojedynczych miłośników Odry. Od 1986 r. powstało w wielu miastach i ekspozycji, dalsze są przygotowywane. Idea Muzeum Odry przez wiele lat propagował tygodnik "Spektyw". Także inne czasopisma wielokrotnie podejmowały ten temat. Poparcia idei udzieliła Komisja Kultury IX kadencji oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przychylnie traktują tę przedsięwzięcie województwo i miast nadodrzańskich. Organizatorzy liczą na poparcie nowych władz, wszak sprawa żeglowności i czystości Odry jest wspólnym ich interesem.

Uzupełnieniem tej idei stał się rejs barką szkoleniową "Westerplatte", należąca do Technikum Żegluga Śródlądowej, na trasie Głiwice-Szczecin. Rejs zorganizowano w ramach studium podyplomowego "Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki" przez Politechnikę Wrocławską. Kilkadziesiąt uczestników studium inwentaryzowało zabytki techniki odrzańskiego szlaku. Towarzyszący im studenci Wydziału Architektury dokumentowali plórkami walory zakłębte w budowliach przemysłowych, hydrotechnicznych, jak i w nadodrzańskim pejzażu. W wyniku rejsu powstał wspaniały materiał dokumentacyjny. Rejsy takie z udziałem zagranicznych uczestników zamierza się kontynuować w przyszłości.



życiu Unii Miast Morskich. W końcu lat pięćdziesiątych, a później na początku lat siedemdziesiątych, Ziemia Zachodnie i Północne, po deklaracjach europejskich i światowych polityków zaczyna odnajdować swoje miejsce w polskim pejzażu gospodarczym i politycznym. Nie na długo jednak. Daleko ze stolicy do brzegów Odry i Bałtyku. Nadodrzańskie miasta musiały liczyć na siebie. Zapomnieliśmy o polskim interesie nad Odrą. Wyznając tezę o rzecze przyjaźni szybko musieliśmy się zreflektować po wydarzeniach "jesieni narodów", i jakkolwiek pragniemy wejść do wspólnej rodziny europejskich państw, odkładając niekiedy historyczne balasty i uwarunkowania, to jednak musimy mieć śmiałość, że zanim to nastąpi, musimy się do tego przygotować. Popatrzmy więc na Odrę realnie. Przepływa ona przez wiele miast i miasteczek. Pokażcie choć jedno z nich, wykorzy-



nić dołączyli zafascynowani Odrą inni przedstawiciele różnych środowisk, przeświadczeni, że dla tej rzeki warto i trzeba coś uczynić. Stałe i czasowe ekspozycje powstawały nie tylko w muzeach, a także w domach kultury i w świetlicach. Wzbogacały się ekspozycje muzeów o coraz to nowe materiały i dokumenty dawnej świetności rzeki. Docelowo od Raciborza aż do Szczecina ma powstać cały ciąg tematycznych ekspozycji stałych uzupełnianych czasowymi o tematyce odrzańskiej. Celem tych ekspozycji jest ukazanie związków Od-

Od kilku lat w większości państw na globie panuje swoista "moda" na ochronę środowiska. Wskazuje się na obrzymie zanieczyszczenia wód, gleb i powietrza. Lecz okazało się, że dziś zagrożenie dla całej planety daje znać wysoko ponad jej powierzchnią. Nagłym zdumieniem zauważono, że w stratosferze ozonu, który chroni człowieka i inne żywe przed zabójczymi promieniami ultrafioletu. Od 1979 do 1985 roku ochrona ozonu nad Antarktydą zmniejszyła się w 1986 r. zauważono po raz pierwszy ubytek nad biegunem północnym.

Pomiary zawartości i rozkładu ozonu z kowano już w latach trzydziestych. Różnych metod i użycie nowoczesnych nośników (balony, samoloty, satelity) pozwalały przypisać przez 40 lat zebrano dostatecznie dużo danych i że żadnych niespodzianek nie należy oczekiwać. Wielkim zaskoczeniem było więc stwierdzenie powstania zupełnie nowego zjawiska, tj. gwałtownego spadku zawartości ozonu nad Antarktydą na ku tamtejszej wiosny. Pierwsi zaalarmowali trzej brytyjscy naukowcy z British Antarctic Survey pracujący na stacji Halley Bay nad Morzem Weddella. W 1983 r. zaskoczeniem wyniki pomiarów sferycznej do archiwum i okazało się, że od 1979 r. warstwa ozonowa systematycznie kurczy, a czasami nawet zanika.

## OZO

kontynuowane przez kolejne dwa lata potęgowało się to zjawisko - dziura ozonowa coraz się powiększała. W maju 1985 r. J. Farman, J. Shanklin poinformowali w całym świecie naukowców o wynikach pomiarów sferycznych, prowadzonych w tamtym miesiącu 1985 r.

Zaskoczenie było zupełne - nikt nie spodziewał się takich rezultatów. Tym bardziej, że amerykańscy naukowcy realizowali od 1979 r. program TOMS (Total Ozone Mapping Spectrometry) polegający na ciągłej rejestracji zawartości ozonu w atmosferze za pomocą satelity Nimbus-7, podobnego nie sygnalizowali. Wkrótce wiadomość o dziurze. Po prostu nie przewidziano możliwości tak wielkiego ubytku ozonu i komputer nie przyjmował otrzymywanych danych, uznając je za błędne. Po ponownym przeanalizowaniu danych pomiarów z kosmosu, potwierdzono ścisłą korelację ze stacją polarną. Dodatkowo ujawniono, że dziury nad biegunem północnym sięgające aż nad Leniniadą. Donald F. Rowland z NASA, który pierwszy ją zauważył, stwierdził, że nad Arktyką zaczął się analogiczny proces, lecz na znacznie mniejszą skalę.

Początkowo naukowcy bagatelizowali ten problem. Wstępne kalkulacje dotyczące bilansu w atmosferze wypadły zadowalająco. Podważone zjawiska ograniczają się tylko do obszarów i ich okolic, tragedii nie ma - tak mówili fizycy atmosfery. Jednak w miarę pogłębiania się sytuacji i powiększania się obszaru dziury badacze szybko się zmieniali.

Dlaczego to właśnie zjawisko uczeni zaczęli uważać za niezwykle groźne dla ludzkości? Wskazywano, że społeczeństwo naukowe różni się od innych w tym, że szybko się zmobilizowało do wspólnego działania. Dlaczego Salvador Alamo, argentyński naukowiec meteorologiczny, przyjechał do południowej krainy jego kraju odczuwać skutki oddziaływania dziury?

Otóż bez przesady można stwierdzić, że właśnie ozon pozwala nam żyć na Ziemi. Jako składnik atmosfery występuje dosłownie wręcz w śladowych ilościach, lecz pełni rolę filtra nie przepuszczającego 95% zabójczego dla życia promieniowania nadfioletowego Słońca. Zmniejszenie tej naturalnej osłony tylko o 1% może spowodować na świecie 5-procentowy wzrost zachorowań na raka skóry, zwłaszcza wśród ludności białej. Może także wywołać wiecie schorzeń oczu i osłabić reakcje układu odpornościowego. Bardzo niebezpieczne jest to, że nadmiar promieni UV uszkadza strukturę kwasów nukleinowych DNA i RNA - może więc dojść do mutacji i degeneracji wielu roślin, także wymarcia wielu drobnych zwierząt i zakłócenia równowagi w świecie. Pierwszymi ofiarami byłaby rybia łódka i plankton morski. Obecnie nie można przewidzieć, czy nie groźniejsze byłyby zmiany klimatyczne. Warstwa ozonu pełni bowiem ważną rolę w utrzymaniu równowagi termicznej atmosfery, gdyż pochłanianie promieni nadfioletowych towarzyszy wydzielaniu znacznych ilości ciepła. Utrzymanie się tych dotychczasowych tendencji grozi znacznymi perturbacjami klimatycznymi o konsekwencjach trudnych jeszcze do przewidzenia. Z tymi zaburzeniami wiąże się jeszcze inny problem, również skomplikowany i poważny - mianowicie efekt

## Alpinizm a duch czasów

gatunku homo sapiens. Na rozmaitych zdjęciach widać wyraźnie całe poleceń ścian himalajskich nietkniętych dotychczas działalnością alpinistyczną. Są one dla dzisiejszego alpinisty zbyt trudne lub zbyt niebezpieczne, względnie i trudne, i niebezpieczne. Przypuśćmy, że nowe wynalazki techniczne, jakiegoś samocieplejącego się buty czy proszki na skłamyzację, doprowadzą do tego, że znajdą się ochotnicy i fachowcy zdolni rozwiązać te problemy. Pokonywanie trudności będzie wymagało bardzo długiego przebywania w ścianie. To powiększy statystyczne prawdopodobieństwo wypadku. Himalaje pod względem niebezpieczeństwa można porównać do pola minowego znajdującego się dodatkowo pod obstrzałem artyleryjskim. Szybkie przełacie zaniejsze prawdopodobieństwo trafienia pociskiem artyleryjskim, zwiększa za to możliwość wdepnięcia na minę. Odwrotnie, ostrożne poruszenie się w polu zwiększa szanse trafienia pociskiem. W takim dwuparametrowym układzie, stosując metody matematyczne, można obliczyć prawdopodobieństwo przejścia i optymalną prędkość poruszania się. W Himalajach niczego nie można założyć i wszystkie rachunki przydają się psu na budę. Dodatkowo, jak uczy doświadczenie, nikt nie jest w stanie przewidzieć kiedy skończą się jego osobiste zasoby zdrowia i siły psychicznych oraz fizycznych. Analizy wypadków, którym ulegli najwspanialszy himalaista świadczą, że, jak dotychczas - tragedie nie zdarzały się na skutek niemożności pokonania ekstremalnych trudności. Były one wynikiem już to kresu możliwości człowieka, już to czynników losowych - nieprzewidywalnych - albo po prostu nie przewidzianych ataków przyrody.

W moim najgłębszym przekonaniu alpinizm zrobi jeszcze kilka kroków do przodu w stosunku do dzisiejszych wyników i zatrzyma się na pewnym poziomie. Kolejni kandydaci na największych będą po prostu ginąć. Przypominać to będzie rzekę, która wypływając z obfitych źródeł, ginie potem w piaszkach pustyni, wyczerpując swoje zasoby wody i nie doływając do żądnego celu. (...)

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

## On side po niemiecku

ciąg dalszy ze str. 1

raz pierwszy pogrzebał nasze nadzieje na swoje zwycięstwo. Do super finału przystąpiło 11 zawodników. Żadnemu nie udało się ukończyć drogi. Występujący jako ostatni Stefan Glowacz tuż przed odpadnięciem wykonał rozpaczliwy skok, ale zjechał rozpromieniony do podstawy ściany. Odnosił chyba wrażenie, że tak wysoko nikt nie mógł dojść. Do momentu pomiaru i widzowie nie byli pewni kto wygrał. Niebawem okazało się, że Puchar-Frankenjura '89 przypadnie "Smokowi" Yuji. Stefan skoczył o całe 8 cm za nisko. Dziewczyny nie mają zwyczaju robić takich niespodzianek. Lynn Hill po raz kolejny dowiodła, że jest daleko ponad, wygrywając także ostatnią konkurencję dnia, walkę o samochód. Ta ostatnia rozgrywka była szansą dla Stefana Glowacza i to on właśnie wrócił do domu nowym samochodem.

J. Krzysztof Drożdżański

### KLUB WYSOKOGÓRSKI WE WROCŁAWIU MAGAZYN INFORMACYJNO-PROBLEMOWY

ul. Rosenberga 13, 51-616 WROCŁAW, tel. 48-15-49  
Konto: NBP IV PKO Wrocław, nr 93549-14137-132



### GÓRY I ALPINIZM

redaguje ALEKSANDER LWOW  
54-220 Wrocław, Bobrza 22/11

8

teżmy sobie winni tej sytuacji. Głównymi oskarżonymi o niszczenie ozonu są freony, czyli związki chloru, fluoru i węgla (CFC). Są to gazy węglowodorki organiczne używane dziś powszechnie w aerozoliach, a także jako wypełniacz w instalacjach chłodniczych, klimatyzacyjnych oraz przy produkcji tworzyw sztucznych. W latach sześćdziesiątych zrobiły one oszałamiającą karierę, ze względu na swe zalety: niepalne, nietoksyczne, obojętne, niewybuchowe oraz praktycznie niezniszczalne. Ich żywotność wynosi od 65 do 120 lat. Ta trwałość okazała się ich największą wadą i jest najprawdopodobniej główną przyczyną powstania obecnych problemów. Freony raz wypuszczone w powietrze nie wchodzą w reakcje z innymi cząsteczkami i nie rozpadają się, lecz unoszą się aż do stratosfery, skąd przedostają się nad bieguny. Tam są akumulowane i, niestety, pod wpływem promieniowania ultrafioletowego tracą już swą stabilność i zostają zniszczone. Uwalniają się przy tym chlor atomowy i tlenek chloru. Powstały związek chloru z tlenem reaguje z wolnymi atomami tlenu, których nad biegunami jest bardzo dużo, a więc znowu powstaje chlor atomowy, który mrozokłada ozon. Szacuje się, że każdy uwolniony atom chloru może spowodować rozpad ok. 100 tysięcy cząsteczek ozonu! Na podobnej zasadzie uznano też odpowiedzialność za proces destrukcji

tyką zasklepiła się, jest efektem procesów naturalnych, wypuszczonych balonów, czy też zwykłą sensacją dziennikarską.

Wydaje się, że sytuacja nad biegunami oraz w całej atmosferze jeszcze wcale nie uległa poprawie i potrzeba będzie wielu lat badań i działalności sanacyjnej, abyśmy mogli powiedzieć, że promieniowanie ultrafioletowe już nam nie zagraża. O powadze problemu świadczy m.in. to, że skrupulatnie i z reguły nie marnujący niepotrzebnie pieniądze Japończycy zapowiedzieli, że z początkiem 1991 r. rozpoczną własny program szeroko zakrojonych badań warstwy ozonowej w atmosferze, którego koszt ocenia się na 4 mld jeniów.

Czy więc nastąpi taki okres, że ciemne okulary i kapelusz z szerokim rondem staną się niezbędnym osobistym wyposażeniem każdego człowieka? Mójmy nadzieję, że naukowcy i odpowiedzialni przemysłowcy nie dopuszczą do tego, bo cóż by wtedy chroniło rośliny i zwierzęta przed, zdawało się niewinnymi, promieniami UV Słońca, planety, którą przeleż utożsamiamy z dawcą nie śmierci, lecz życia.

Adam Popko

O Odrze pisano wiele. Pisano przed wiekami, pisano także w ostatnich dziesięcioleciach. Daleko jej do sławy królowej polskich rzek - Wisty. Czy słusznie? Czym zasłużyła sobie na zapomnienie przez poetów, pisarzy i krajoznawczych publicystów?

A przecież od zarania dziejów naszej państwowości o rzekę tę z determinacją walczyli wojowie Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Zapomnieli o niej ich następcy, by dopiero Bolesław III Krzywousty upomniał się zwłaszcza o jej ujście i o dostęp do Bałtyku. W jego imieniu Otto - biskup z Bambergu dokonał chrystianizacji Pomorza Zachodniego, by umocnić zależność lenną tych ziem od polskiego księcia. Zależność ta przetrwała zaledwie kilkadziesiąt lat, gdyż w końcu XII w. upadła. Jedyne w górnym biegu Odry trwali uparcie plastowscy władcy, znajdując oparcie w polskich królach. W XVIII w. niemal nad całym biegiem Odry zapanało prawie na dwa wieki państwo pruskie. Nam, Polakom, Odra mogła się jedynie śnić, czego wyraz niekiedy dawali w swoich utworach nasi twór-

stujące w pełni jej walory gospodarcze, krajoznawcze i rekreacyjne! Pokażcie choć jedno miasto, w obrębie którego podjęto w ostatnich latach kompleksowe zagospodarowanie jej nabrzeży! Czy podejmuje się jej regulację, czy buduje się nad nią oczyszczalnie ścieków, by zadbać o jej czystość? Czy któryś prezydent nadodrzańskiego miasta mógłby spojrzeć bogowi Odry Władusowi w przekonaniu, że dla Odry zrobił wszystko, co mógł uczynić? Trudno się temu dziwić, kiedy Odra poszatkowana granicami miast, gmin, województw nie ma jednego gospodarza. W samym tylko Wrocławiu jest ich kilkudziesięciu. Zapomnieli także o Odrze urbanistów. Jakże przewrotni okazali się nasi ekonomiści, wykazując wyższość komunikacji lądowej nad wodną.

Szła więc Odra w zapomnienie, a jedynym przedsięwzięciem wykazującym troskę o nią była PP "Żegluga na Odrze". Była też grupa pojedynczych zapaleńców przejawiających troskę o tę rzekę. Jednym z nich był redaktor katowickiego radia Jerzy Kultuniak. On to zaproponował, by stworzyć v



# ODRA - RZĘKA ŚLĄSKA

cy. W XIX. pisarze nasi, odwołując się do uczuć patriotycznych narodu, zaczęli tworzyć legendę kresów wschodnich, legendę wojennej świetności minionych wieków. W tym samym czasie, niejako w konspiracji, w Wielkopolsce i na Śląsku toczyła się "najdłuższa wojna współczesnej Europy", wojna z germańskim naporem, wojna o podjęcie "pracy organicznej", "pracy od podstaw", wojny o nasze trwanie nad Odrą i Wartą. Jaki był efekt ścierania się tych dwóch nurtów, nie trudno osądzić, bowiem do dzisiaj odczuwamy zwycięstwo tego pierwszego. Legenda kresów wschodnich na trwałe zajęła miejsce w umysłach Polaków. Nie narodziła się natomiast legenda kresów zachodnich. Odra poszła w zapomnienie. Kiedy po zakończeniu działań II wojny światowej, zdawałoby się mocno osiedliśmy na obu brzegach tej rzeki, przez wiele lat jeszcze czuliśmy się tutaj niepełnie. Szła więc cegła na odbudowę stolicy z Ziemi Zachodnich i Północnych, niewiele też inwestowano na tych terenach. Naszą obecność nad Odrą i Bałtykiem próbowaliśmy dokumentować jedynie manifestacjami. Rosta stolica, zapomniano o Odrze i Bałtyku. Wystarczy przypomnieć krótki żywot Unii Miast Morskich. W końcu lat pięćdziesiątych, a później na początku lat siedemdziesiątych, Ziemię Zachodnią i Północną, po deklaracjach europejskich i światowych polityków zaczynają odnajdować swoje miejsce w polskim pejzażu gospodarczym i politycznym. Nie na długo jednak. Daleko ze stolicy do brzegów Odry i Bałtyku. Nadodrzańskie miasta musiały liczyć na siebie. Zapomnieliśmy o polskim interesie nad Odrą. Wyznając tezę o rzece przyjaźni szybko musieliśmy się zreflektować po wydarzeniach "jesieni narodów". I jakkolwiek pragniemy wejść do wspólnej rodziny europejskich państw, odkładając niekiedy historyczne balasty i uwarunkowania, to jednak musimy mieć śmiałość, że zanim to nastąpi, musimy się do tego przygotować. Popatrzmy więc na Odrę realnie. Przepływa ona przez wiele miast i miasteczek. Pokażcie choć jedno z nich, wykorzy-

stujące w pełni jej walory gospodarcze, krajoznawcze i rekreacyjne! Pokażcie choć jedno miasto, w obrębie którego podjęto w ostatnich latach kompleksowe zagospodarowanie jej nabrzeży! Czy podejmuje się jej regulację, czy buduje się nad nią oczyszczalnie ścieków, by zadbać o jej czystość? Czy któryś prezydent nadodrzańskiego miasta mógłby spojrzeć bogowi Odry Władusowi w przekonaniu, że dla Odry zrobił wszystko, co mógł uczynić? Trudno się temu dziwić, kiedy Odra poszatkowana granicami miast, gmin, województw nie ma jednego gospodarza. W samym tylko Wrocławiu jest ich kilkudziesięciu. Zapomnieli także o Odrze urbanistów. Jakże przewrotni okazali się nasi ekonomiści, wykazując wyższość komunikacji lądowej nad wodną.



nić dołączyli zafascynowani Odrą inni przedstawiciele różnych środowisk, przeświadczeni, że dla tej rzeki warto i trzeba coś uczynić. Stałe i czasowe ekspozycje powstawały nie tylko w muzeach, a także w domach kultury i w świetlicach. Wzbogacały się ekspozycje muzeów o coraz to nowe materiały i dokumenty dawnej świetności rzeki. Docelowo od Raciborza aż do Szczecina ma powstać cały ciąg tematycznych ekspozycji stałych uzupełnianych czasowymi o tematyce odrzańskie. Celem tych ekspozycji jest ukazanie związków Od-

ry z naszą historią i przybliżenie Polakom problemów Odry, a także walorów, jakie z tej rzeki można czerpać. Organizatorzy Przemysłowego Muzeum Odry pragną wytyczyć wzdłuż jej biegu szlak historyczno-turystyczny mający spełniać doniosłą rolę w edukacji pokoleń Polaków. Bez inwestycji, bez całego balastu struktur organizacyjnych funkcjonuje Przemysłowe Muzeum Odry budząc zdziwienie wielu osób przyzwyczajonych do działania w hierarchii struktur. Jest to społeczne ciało organizatorów Muzeum, złożone z przedstawicieli nadodrzańskich muzeów, archiwów, placówek naukowych, instytucji zainteresowanych w mądrym zagospodarowaniu Odry, oraz pojedynczych miłośników Odry. Od 1985 r. powstało w wielu miastach kilka ekspozycji, dalsze są przygotowywane. Ideę Muzeum Odry przez wiele lat propagował tygodnik "Perspektywy". Także inne czasopiśma wielokrotnie podejmowały ten temat. Poparcia idei udzieliła Sejmowa Komisja Kultury IX kadencji oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przychylnie traktują sprawę przedstawiciele województw i miast nadodrzańskich. Organizatorzy liczą na poparcie nowych samorządów, wszak sprawa żeglowności i czystości Odry jest wspólnym ich interesem.

Uzupełnieniem tej idei stał się rejs barką szkoleniową "Westerplatte", należąca do Technikum Żeglugi Śródlądowej, na trasie Gliwice-Szczecin. Rejs zorganizowano w ramach studium podyplomowego "Muzealnictwo i ochrona zabytków techniki" przez Politechnikę Wrocławską. Kilkudziesięciu uczestników studium inwentaryzowało zabytki techniki odrzańskie szlaki. Towarzyszący im studenci Wydziału Architektury dokumentowali piórkami walory zakieję w budowach przemysłowych, hydrotechnicznych, jak i w nadodrzańskim pejzażu. W wyniku rejsu powstał wspaniały materiał dokumentacyjny. Rejsy także z udziałem zagranicznych uczestników zamierza się kontynuować w przyszłości.



# Odra - rzeka Śląska

Propagowaniem Przerzennego Muzeum Odry w środowisku działaczy i członków PTTK zajął się Zarząd Wojewódzki PTTK w Szczecinie i niżej podpisany. Pragniemy wnieść swoją cegiełkę do tej cennej idei. W szczególności chcielibyśmy zachęcić

publicystów krajoznawczych, aby zajęli się odkrywaniem dziejów Odry, jej walorów rekreacyjnych i krajoznawczych. Pragniemy ożywić nadodrzańskie szlaki piesze i marzy nam się, żeby Odra zaroiła się jachtami z polskimi banderkami.

Mamy nadzieję, że okazją do przybliżenia spraw Odry i kresów zachodnich stanie się IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego PTTK, którego miejsce odbywania powinno stać się inspiracją dla publicystów. Do zobaczenia na odrzańskim szlaku i na nadodrzańskich ścieżkach!

Ryszard Kotla

Berlin to duże miasto. W całości obejmuje ponad 800 km<sup>2</sup>, zaś jego zachodnią część - nieco ponad 400. Choć jest to jedna z europejskich metropolii, może tu przeżyć interesujące chwile w mało zmienionej przyrodzie, która zachowała się na jej obrzeżach. Ale zieleni jest dużo także w centrum, gdzie każde drzewo zostało policzone i ponumerowane. Nie daj Boże, by je uszkodzić, a wyciąć - nie ma szans! Lasy zajmują w Berlinie Zachodnim 16 proc., parki i tereny sportowe - nieco ponad 10 proc., zaś wody - jeziora (i to duże), Hawela i Sprewa z kanałami, po których krążą liczne statki spacerowe - blisko 7 proc. powierzchni. Pewną odmiennością w stosunku do naszych zasad ochronnych, także i śródmiejskie zieleńce z egzotycznymi na ogół drzewami podlegają niekiedy ochronie na podstawie przepisów dotyczących przyrody, a nie

pułdła, stopy śmieci. Czyż dziwić się można, że niesympatycznie o nas myśli wielu mieszkańców tego miasta? W rejonie Kolumny Zwycięstwa (darmowe parkingi) stoją polskie autokary, głównie z rejestracją z woj. katowickiego, biedne, prymitywne sany - jakże staroświecko wyglądające przy zachodnich autokarach! Ale nie tylko Polacy handlują. Oto na początku maja na przejściu z amerykańskiego sektora powstał straszliwy zator, który odbił się głośnym echem w berlińskiej prasie. Spowodowali go otóż obywatele CSFR - blisko 80 autokarów, ponad 100 samochodów osobowych. Wszystko do kontroli celnej, tyle dóbr wywożono.

A czyż choć jeden z nich zawiózł uczestników do jakiegoś muzeum, z których Berlin słynie? Szczególnie znana jest z tego dzielnica Dahlem. Tu zapoznać się można ze sztuką prekolumbijską

Góry). Nawiasem mówiąc, usypano ją z 20 mln m<sup>3</sup> gruzów powojennych, stąd powstała najwyższa w tej części miasta kulminacja o wysokości 115 m. Stąd startują lotnie, zimą, niekiedy na sztucznym śniegu, jeżdżą narciarze i saneczkarze. Natomiast ośrodek został utworzony kilka lat temu w stacji pomp z 1870 r. Popularyzuje się w niej czyste techniki energetyczne (solarne, wietrzne itp.), ekologiczne ogródki, a równocześnie chroni Teufelssee i fragment torfowiska. Równie interesujące zakątki, chronione jako rezerwat przyrody, znajdują się w północnej części miasta, w Lössbars.

Życie berlińczyków, i tak nietławe w specyficznej atmosferze miasta "frontowego", uległo ostatnio dodatkowemu wzburzeniu. Bo choć w centrum, na Ku-Damm czy w muzeach spotkać można ludzi z całego świata, przeżywających mniej lub bardziej wznosłe chwile w zetknięciu ze sztuką czy obficie zaopatrzonymi magazynami, to w domowych zaciszach, przy piwie w lokalach, zasadniczym tematem od końca zeszłego roku jest jedno: zjednoczenie Niemiec. Oni na ogół wcale do tego się nie palą. Owszem, jedno miasto, jedno państwo, ale nie już, nie na takich warunkach. Dłaczego? Dobrze wiedzą, że przyjęcie do ogólnoniemieckiego domu biednego brata ze Wschodu oznacza obniżenie ich warunków życia. Bo przecież planowana i nie przewidywana nawet jeszcze pomoc dla (byłej) NRD pójdzie z kiesy państwowej, czyli z kieszeni podat-

## BERLIŃSKIE SPOTKANIA

zieleni miejskiej. Dotyczy to szczególnie obiektów starszych, z ciekawszymi gatunkami, choćby zajmowały one niewielką powierzchnię. Przyjemnie jest w nich przysiąść w skwarną chwilę, uciec od duchoty między nagrzanymi murami, wśród których sunie bez ustanku niekorczący się potok samochodowy.

Choć Berlin (cały czas mowa o zachodniej części, która w 1961 r. została szczerze odgradzona od wschodniej - stolicy NRD) jest w zasadzie miastem policentrycznym, to dla turystów główne miejsce spotkań znajduje się na Breitscheidplatz, a więc przed Europa-Center, koło kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. To pierwsze to rozległy dom towarowy z kawaleriami itp. obiektami, w którym uwagę przyciąga oryginalny zegar wodny. Ten drugi to charakterystyczna wieża - resztką pompacyjnej, neoromańskiej świątyni z pocz. XX w., przy której wybudowano nowoczesny i nastrojowy kościół ewangelicki. Ruch tu bezustanny, tym bardziej że w pobliżu znajdują się dwie stacje kolei podziemnej (ścieżki rewelacyjnie funkcjonujące): Zoologischen Garten i Kurfürsten Damm, bardzo popularne wśród berlińczyków. Tłoczno zaczyna być w tym rejonie już dość wcześnie przed południem. Tu słychać grajków, dzieci uczą się jeździć na deskorolkach, tu gromadzą się wreszcie dla złapania oddechu turyści. Nie brakuje i miejscowych (a może przyjezdnych) szmondów w brudnych, obdartych strojach, często bosych, ucinających sobie popołudniową dzemkę na ławkach. Niekiedy przemijają zziębnięci, obładowani kurierzy handlu indywidualnego lub uczestnicy wycieczek - wiadomo, nasi rodacy. W rejonie Tiergarten, gdzie w biały dzień można dostrzec całe stada dzikich królików, pozostawiają wózek sklepowe (wiadomo - nie moje, niech się oni martwią).

czy zbiorami etnograficznymi Dalekiego Wschodu i Oceanii. W pobliżu jest Döppel, którego początek ekspozycji związał się z... wojną. Angielski nalot bombowy tak silnie zorał powierzchnię tej części miasta, iż odsonił pozostałości słowiańskiej osady. Po kilkunastu latach częściowo ją zrekonstruowano i tak urządzono muzeum, iż wiele czynności można osobiście wykonywać na odtworzonych urządzeniach. Jakież to poważne znaczenie dydaktyczne! Stąd i duża popularność tego miejsca. Dla mnie jednakże niepowtarzalnym przeżyciem była wizyta w muzeum staroegipskim. Jak zaczarowany stałem przed słynną rzeźbą Nefretete, strzeżoną przez osobnika z koltem przy boku. Tyle lat, a stale tak piękna, tak żywa, że wprost oczu od niej nie można oderwać. Ale czy ktoś goniący za hi-fi i Woolworthem jest w stanie to zrozumieć?!

Zmęczony długimi spacerami wśród bloków i kipiących ruchem ulic uciekam w berlińskie lasy, dobrze utrzymane, posiadające gęstą sieć drózek i ścieżek spacerowych. Pomyślano, jak w całym mieście, i o rowerzystach. Specjalnie dla nich na bieżąco (i) drukowana jest mapa turystyczna. Mój przyjaciel Falk zaprasza mnie na łódź, którą trzyma w dolnej części rozlewisk Hawell. Tysiące mieszkańców oddaje się żeglarsztwu, choć granice nie pozwalają wypuszczać się dalej. Ale i tak na wodzie jest dużo miejsca, stąd przystań w Wannsee gromadzi setki łodzi i żaglówek. Można nimi, ale też i stateczkiem, osiągnąć Wyspę Pawłą ze stylizowanym zameczkiem, poddychać czystym i świeżym powietrzem. W pobliżu znajduje się największe kąpielisko z rozległą plażą. Ostatnio prasa berlińska podniosła alarm w związku z rosnącym zanieczyszczeniem wód, napływających z Berlina wschodniego, a Sprewą - z jeszcze dalszych części NRD.

Zapuszczam się do Okowerk - stacji dydaktyczno-popularyzatorskiej koło Teufelsberg (Diabelskiej

niów. Stąd i coraz silniejsze protesty, które w połowie maja przybrały formę dużej i burzliwej demonstracji we Frankfurcie nad Menem.

Ale nie po to byłem w Berlinie, mam dosyć naszych własnych kłopotów i problemów w "nareszcie naszym własnym domu". Dopadły mnie one już na dworcu Berlin-Lichtenberg. Co prawda, niewielu rodaków, ale jakże charakterystyczne grupki. Oto kilku karciarzy z nielicznymi, jednakże szczerze wypakowanymi torbami. Beznamiętnie rozgrywają kolejne rozdania, niewiele mówią. Oblicza typowe dla bazarów, wiek 30-45 lat, wąs, dłuższy. To zawodowcy. Zrealizowali konkretne zamówienie czy dostawę, na pewniaka, inne sprawy (zabytki, muzea?) ich nie interesują. Czekają więc na pociąg na peronie, jak najmniej wydać, pojutrze znów tu będą. Obok inna grupka: spocona, rozgadana: za ile, gdzie, u kogo, liczne torby i pudła. To amatorzy lub początkujący. Wyjechali pierwszy raz, jeszcze w clemno, jeszcze na własną rękę. Ile przebitka, jak wrylować (i tak łagodnych celników, mimo wszystko), gdzie upchnąć. Ot, polska rzeczywistość. Długo musiałem jeszcze w pociągu wysłuchiwać takich i podobnych im rozmów. Mierzi mnie to, odpycha, ale cóż zrobić, trudno w takiej podróży wybierać towarzystwo. Póki nasza gospodarka nie unormuje się, długo jeszcze tak będzie. Ale Falk mnie zaprasza: możesz zawsze przyjechać, jeszcze tyle miejsc mam Ci do pokazania! A więc, a rivederci, Berlin!

Krzysztof R. Mazurski

### ORWO

Wrocław, ul. S. Żeromskiego 36

POLECA USŁUGI W ZAKRESIE

- wywołanie filmów ORWO, Kodak, Fuji, Agfa w procesie C-41 (w zestawach oryginalnych)
- wykonywane są zdjęcia kolorowe
- prowadzona jest wysyłka pocztowa materiałów

Brzeg, jeden z piękniejszych grodów nadodrzańskich, zwany jest często najbardziej piastowskim ze wszystkich miast polskich. Rzeczywiście jest on z Piastami związany jak żadne inne miasto. Stanowił przede wszystkim siedzibę odrębnej linii brzesko-legnickiej. Tutaj znajduje się jedna z nielicznych rezydencji piastowskich o nieprzemijającej wartości. Nie gdzie indziej, tylko na dworze ksiąg brzeskich, kilkakrotnych pretendentów do elekcyjnej Korony Polskiej u schyłku XVI w., narodził się używany do dziś termin "Piastowie" ("familia Piastae", "domus Piastae") na określenie pierwszej dynastii królewskiej, wywodzącej się od legendarnego Piasta. Przylegające do zamku prezbiterium dawnej kolegiaty Św. Jadwigi jest największą nekropolią piastowską w Polsce, równą sławie krypt królewskich na Wawelu, pochowano tam bowiem ponad 30 Piastów i Piastówn. Co warto wiedzieć o Brzegu?

Współczesne miasto leży na Równinie Grodkowskiej, która w tym miejscu nabiera cech wysoczyzny. Jej zbocze wznosi się kilka metrów nad lustrem wody w Odrze i sprawia wrażenie jakby wyższego brzegu, będące w rzeczywistości krawędzią morfologiczną. Nie przedstawia się ona dzisiaj zbyt imponująco, natomiast w średniowieczu musiała być znacznie wyższa i bardziej stroma. Późniejsze procesy doprowadziły do obniżenia i złagodzenia stromizny. Obecnie najwyraźniej prezentuje się ona w okolicy kościoła Św. Krzyża oraz ul. Pańskiej.

Miejsce to wybrał pradawny człowiek dla założenia osady. Początki jej są trudne do ustalenia. Opisane położenie zdecydowało z czasem o pierwotnej nazwie "Wissoke brzegh" (Wysoki Brzeg). Przerwała ona do dzisiaj w formie Brzeg, którą stosował już w swych kronikach Jan Długosz przy opisach ważniejszych miast Polski "Brzeg nad brzegiem Odry leżący i stąd tak po polsku nazywany".

Wysoki Brzeg w tej okolicy zaczął rozwijać się najwcześniej. Przebiegał tędy prastary nadodrzański szlak handlowy, który stanowił część wielkiego traktu wiodącego z Europy Zachodniej do Polski i dalej na wschód do Rusi lub na południe na Węgry. Drogę tę przecinał szlak prowadzący do Czech przez Nysę i Gniezno ku Bałtykowi. W miejscu tym ponadto dokonywano wymiany płodów rolnych lewobrzeżnej krainy pól na produkty pochodzące z lasów po prawej stronie Odry. Wysoki Brzeg stał się później ośrodkiem administracji książęcej i stopniowo powiększał teren zabudowy.

Szczególne zasługi dla rozwoju miasta położył książę Ludwik I (panował 1359-1398), reprezentant wysokiej kultury i patriotyzmu polskiego. Dziedzicząc połowę księstwa brzeskiego i Chojnow, stopniowo swe władze powiększał, stając się z czasem jednym z najpotężniejszych na Śląsku. Ambicje jego sięgały znacznie dalej. Myślał nie tylko o zjednoczeniu Śląska, ale i o koronie polskiej. Prawdopodobnie ukrytym zamiarem księcia było też utworzenie biskupstwa w Brzegu, który miał stać się centrum zjednoczonego Śląska. Zarządził stąd w 1390 r. dokonanie wykopalisk archeologicznych w celu znalezienia ciał biskupów wrocławskich, którzy po najeździe czeskim mieli rezydować w pobliskim grodzie rycyńskim, gdyż kasztelan ta w XII w. była silniejsza niż Wrocław. Po ich przeprowadzeniu stał się Ludwik pierwszym w naszym kraju archeologiem szukającym świadomości w ziemi świadectw przeszłości. Najtrwalsze ślady pozostawił po sobie jako budowniczy i mecenas kultury. Wybudował nowy dwór gotycki na miejscu dzisiejszego południowego skrzydła zamku renesansowego. Był też fundatorem ko-

legiaty Św. Jadwigi. Rada miejska, idąc za przykładem księcia, zdobyła się wówczas na częściową przebudowę i rozbudowę starego kościoła Św. Mikołaja, który do dziś stanowi jeden z najpiękniejszych zabytków gotyku.

Największą fundacją artystyczną księcia Ludwika była wykonana na jego polecenie w 1353 r. przez Mikołaja z Lubina słynna na cały świat "Legenda Śląska", której treścią jest życie Św. Jadwigi. Dzie-

# MIASTO NA WYSOKIM BRZEGU

ło to pozwala nam poznać kulturę Śląska w XIII w. Książę był również inicjatorem powstałej w 2. połowie XIV w. "Kroniki Książąt Polskich", jednego z najwspanialszych dzieł historycznych śląskiego piśmiennictwa.

Nowy okres w dziejach miasta zapoczątkował przelom wywołany przyjęciem w 1523 r. przez księcia Fryderyka II i jego poddanych protestantyzmu. Życie gospodarcze i kulturalne Brzegu owego czasu osiągnęło poziom dotąd nie notowany. Duże zasługi położył zwłaszcza książę Jerzy II, zwany Czarnym, względnie Wspaniałym, ozdabiając miasto licznymi budowlami renesansowymi, zachowanymi do dziś. Zamek to najpiękniejszy obiekt renesansowy tego typu na Śląsku o nie spotykanej w Europie dekoracji rzeźbiarskiej, dziedzicząc wzorowanym na Wawelu, z dwoma rzędami portretowych popiersi przodków księcia wzorowanych na drzeworytach z "Kroniki" Macieja z Miechowa oraz posągami Jerzego II i jego żony Barbary umieszczonymi nad bramą wjazdową, a także z herbem króla Zygmunta Augusta na bramie. Do fundacji tego księcia należy również budynek gimnazjum brzeskiego, mauzoleum Piastów brzeskich, ratusz, którego Jerzy II był współfundatorem, jedyny na Śląsku tego rodzaju obiekt renesansowy, przebudowany kościół zamkowy Św. Jadwigi i wiele drobniejszych obiektów. W ślady księcia szli jego poddani. Mieszczanie brzescy wspólnie ze swoim władcąłożyli na budowę ratusza i wznosili w renesansowym stylu własne domy. Za sprawą Jerzego II w 1569 r. powstało w Brzegu protestanckie gimnazjum humanistyczne, reprezentujące wysoki poziom nauczania. Promieniowało ono wiedzą nie tylko na cały Śląsk. W rejestrach studiujących znaleźć można nazwiska słynnych magnackich i szlacheckich rodów polskich i węgierskich. W Brzegu rozwijało się po myślnie drukarstwo i księgarstwo. Stawały się zwłaszcza drukarnia ewangelików przybyłych z Polski.

Wojna trzydziestoletnia w latach 1618-1648 stała się początkiem powolnego upadku. Przemarsze wojsk, rabunki, pożary, epidemie wpłynęły na poważne osłabienie życia gospodarczego miasta. W 1675 r. umiera młodością książę Jerzy Wilhelm, skończywszy zaledwie piętnaście lat. W ten sposób zszedł ze świata ostatni przedstawiciel dynastii piastowskiej, która wydała 24 znakomitych królów i władców oraz

123 książąt. Brzeg wraz z całym księstwem dostał się w bezpośrednie władanie austriackich Habsburgów. Nowe władze mniej interesowały się trudną sytuacją miasta.

W pierwszej wojnie o Śląsk między Austrią i Prusami ważnym momentem była bitwa pod Małujowcami w 1741 r., wsi odległej o około 7 km na południe od Brzegu. Miasto przeszło w ręce Prusaków niedługo po zwycięskim dla nich starciu. Mimo iż było ono słabo bronione, a wynik oblężenia z góry był przesądzony, król pruski Fryderyk II nakazał Brzeg silnie ostrzelać. Po wojnach napoleońskich przed miastem zarysowała się perspektywa rozwoju przemysłu i komunikacji. W 1843 r. pierwsza linia kolejowa na Śląsku i najstarsza obecnie w Polsce, połączyła Brzeg z Wrocławiem i Opolem, w następnych latach zbudowano linie do Nysy oraz Strzelina. Rozwój przemysłu i komunikacji spowodował stały wzrost ludności i rozwój przemysłu o znaczeniu lokalnym.

Rok 1945 otworzył następny rozdział dziejów miasta, kiedy 6. lutego wojska radzieckie po kilkudniowych walkach opanowały Brzeg. Zniszczone w 54 % miasto po kilku wiekach powróciło do Macierzy.

Jan Majewski

## Listy

Złotoryja - pięknie położony gród nad Kaczawą otrzymał prawa miejskie przeszło 775 lat temu. Już po raz trzydziesty odbyły się uroczystości z okazji 775-lecia miasta. W 1990 r. "DNI ZŁOTORYI" były szczególnie uroczyste - w tym roku jeden z najstarszych zakładów pracy obchodził 40-lecie. Był nim ZIS "LENA" w Wilkowie (przed dziesięciu laty była tu kopalnia węgla).

Odbyło się wiele imprez kulturalnych, turystycznych i sportowych, którym towarzyszyły kiermasze handlowe. Pasaż Wollny wraz z Zarządem Spółdzielni Mieszkaniowej, Oddziałem PTTK i Towarzystwem Krzewienia Kultury Fizycznej w Złotoryi zorganizował rajd pieszy "Szlakiem wygasłych wulkanów" na trasie Nowy Kościół-Szadziszów-Gorzno-Wilcza Góra-Złotoryja (około 29 km). W imprezie wzięli udział uczeni z Wilkowa i Złotoryi. Zakończenie rajdu odbyło się na Centralnym Placu Gier i Zabaw. Uczestnicy imprezy otrzymali dyplomy i nagrody ufundowane przez Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej i Oddział PTTK w Złotoryi.

Tego samego dnia odbył się też rajd rowerowy na trasie Złotoryja-Olszanica-Grodzisz-Nowa Wieś Grodziska-Złotoryja (36 km) pod kierownictwem znanego i cenionego działacza sportu i turystyki kolarskiej Henryka Stachowskiego.

W ramach majowych "Dni Złotoryi" odbyły się pokazy spadochronowe, w których uczestniczyli zawodnicy z Jeleniej Góry i Herońskiego Klubu "Orszaku" w Złotoryi.

Z imprez kulturalnych: bardzo ładnie był zorganizowany "Dzień Matki" oraz Święto książki.

Zorganizowano loterię na renowację złotoryjskiego kościoła NMP, która przyniosła

ciąg dalszy na str. 25

Przełaz turystyczny donosiła o otwarciu nowego schroniska PITK nad wapińczą się na zbocze Bereźnika przysiółkiem Języki w Szczawnicy. Schronisko w tym miejscu było bardzo potrzebne, co przypomniało mi turystyczną przygodę, którą kilka lat temu przeżyłam niedaleko stąd.

Było wczesne sobotnie popołudnie. Z sanatorium na Połoninach wyszłam ścieżką biegnącą wprost na północ. Miałam zamiar, trawersując wschodnie zbocze Bereźnika i Kotelnicy, skręcić sobie drogę na Dzwonkówkę i dalej, już szlakiem przejść na Przysióp do pomnika poświęconego żywcem spalonym przez Niemców w tym miejscu partyzantom. Szłam sama. Moja współlokatorka z pokoju, która dość chętnie dawała się namówić na górskie wypadki, wyjechała na dwa dni do rodziny. Sasiadka zza ściany, której zaproponowałam spacer, odrzekła z oburzeniem, że przyjechała tu wypocząć, a nie biegać po górach, a ja napytałam się jeszcze biedy błądząc po bezdrożach; nastraszy mnie jaki zbroczeniec, albo skrocę nogę gdzieś na wykotach. Zgodziłam się z przekonaniem odparłam, że chuligani i zbroczeni

najwścieźszej w leszczyniaku ścieżki, aby zbytnio nie klucząc dojść do szlaku. Jakież więc było moje przerażenie, kiedy za kolejnym zakolem kapryśnej drożki, wychodzącej tu na szeroką plażę, dojrzałam wprawdzie drogowskaz szlaku, ale też i siedzącego pod nim pana, który wyraźnie czekał na mnie. Zawracać nie było sensu. Ostatnie domy osiedla zostały daleko za nami. Z duszą na ramieniu, nadrabiając miną, wkroczyłam na szlak zbliżając się, chcąc nie chcąc, do siedzącego i mając zamiar minąć go, jak gdyby nigdy nic. Starszy pan, z bliska, nie wydał mi się jednak groźny i nie wyglądał na podrywacza. Z uśmiechem posunął się na kiodzie, zapraszając gestem do siadania. - Pani na Dzwonkówkę? - Na Dzwonkówkę. Po chwili wahania usiadłam i przyjąłam z wyłączeniem ku mnie dion polówkę jabłką. Przedstawił się. Jest Niemcem z Katowic. Pracuje w szkole średniej, jako nauczyciel zawodu. Do Niemiec nie ma zamiaru wyjeżdżać, choć większość jego rodziny już wyemigrowała, a pozostała szykuje się do wyjazdu. Znaczną część swego życia spędził w Katowicach. Nie słyszał o żadnych prześladowaniach ze

## SPOTKANIE POD DZWONKÓWKĄ

trzymają się pobliza osiedli; wysoko w górach są już tylko rasowi turyści, a najczęściej ludzi umiera w łóżku. Niemniej jednak miałam się jakoś niewojo. Dzień był parny, byłam po męczących, sanatoryjnych zabiegach i sutym obiedzie. Szłam więc wolniutko oglądając się często do tyłu, żeby nic nie stracić z coraz rozleglejszego widoku na pasmo Małych Pienin, Pieninek i Pienin i nie przegapić momentu wyłonienia się zza nich Koronki Tatr. W pewnym momencie na tej samej drodze, którą szłam, tylko znacznie niżej, pojawił się mężczyzna. Ubrany z mięjską w półbuty i marynarkę, jak to wkrótce mogłam skonstatować, szedł jednak dość szybko, krokiem nawykłym do pokonywania pochyłości. Przypomniałam sobie, że poprzedniego dnia rozmawiałam z kąpiącą ziemniaki górką. Opowiadała ona, że jej mąż pracuje w pogotowiu, jako sanitariusz. Uspokojona szłam więc dalej, rzadziej się tylko oglądając za siebie i, na wszelki wypadek, jeszcze bardziej zwolniłam, aby mógł mnie wyprzedzić na wysokości mijanych właśnie chat. Rzeczywiście wkrótce mnie minął obrzucając, jak mi się zdawało, baczny spojrzeniem moje wibramy i cały wędrowski ekwipunek. Turystycznym, coraz niestety rzadszym, obyczajem powiedział "Dzień dobry" i zniknął za zakrętem, wbiegającej właśnie w niewielki zagajnik, drogi. Wkrótce o nim zapomniałam, całkowicie pochłonięta straszniejszym podejściem i wyszukiwaniem

strony Polaków wobec Niemców, ani w okresie przedwojennym, ani teraz. Na dobrą sprawę, jest lubiany przez młodzież i doceniany przez zwierchników. Otrzymał właśnie państwowe odznaczenie, a Śląsk jest dla niego krajem rodzinnym. Mówił dobrze po polsku, z lekką tylko twardością akcentu, właściwą zresztą także i wielu, pochodzącym stamtąd, Polakom. Do Szczawnicy przyjechał siłobowo i skorzystał z wolnego popołudnia, aby odnowić dawne wspomnienia ze szlaków. Rozmawialiśmy już jak starzy znajomi. Razem podziwialiśmy odsianiający się na nowo, coraz szerzej krajobraz i otaczającą nas roślinność. Śmiałam się w duchu z mojego poprzedniego niepokoju i obaw. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do pierwszych chat na Przysiole, uświadomiłam sobie całą niezręczność sytuacji. Nie miałam zamiaru rezygnować z odwiedzenia pomnika partyzantów, ale iac tam, z najsympatyczniejszym choćby, Niemcem? Po namyśle powiedziałam, chyba dość aroganckim, wbrew moim intencjom, tonem, że idę na mogiłę partyzantów i jeżeli chce może na mnie poczekać poniżej. Poszedł jednak ze mną. Złożyłam pod krzyżem bukiet polnych kwiatów, a kiedy uklękałam do modlitwy przykłąknął także. Przeczytał potem tabliczkę objaśniającą zaistniałe tu zdarzenia i po chwili zadumy, która ogarnęła nas oboje powiedział: Ile ta wojna narobiła złego, ile złego narobiła ta wojna...

Janina Serefin

## PRZEWODNICY U PREZYDENTA

18 lipca br. Prezydent Wrocławia, Bogdan Zdrojewski przyjął 3-osobową delegację ZW PITK: prezesa ZW - kol. B. Zatyęya, przewodniczącego WKP - kol. A. Konarskiego i niżej podpisaną. Wizyta ta nawiązywała do poprzednich spotkań przewodników i działaczy turystyki: z byłym Prezydentem S. Skąpskim (maj br.) oraz przed kilkunastu laty z ówczesnym Przewodniczącym MRN we Wrocławiu, B. Iwaszkiewiczem, który pod koniec swojej kadencji na spotkaniu z przewodnikami wygłosił wykład nt. struktury społecznej mieszkańców naszego miasta.

Obecnemu spotkaniu przyświecały dwa cele: 1) zapoznanie Prezydenta z działalnością Towarzystwa i jego problemami, w tym służbą wrocławskich przewodników na rzecz miasta i związanymi z nią sukcesami i kłopotami; 2) ofiarowanie naszej pomocy władzom miasta uważając, że jako przewodnicy znamy na co dzień problemy, które nas czasem denerwują, gdyż widzą je również turyści odwiedzający Wrocław.

Mówiliśmy o:

- zagospodarowaniu turystycznym i usługach na obszarze Starego Miasta (podał nam się pomysł Prezydenta włączenia najstarszej części Wrocławia: Ostrowa Tumskiego i Piaskowego do dzielnicy Stare Miasto),
- porządkach i czystości w mieście (zaniedbane skwery, ulice, brak szaleatów itp.),
- dniach i godzinach otwarcia muzeów, które nie liczą się w ogóle z ruchem turystycznym,
- natręctwie młodocianych gangów zebranych lub oferujących różnego rodzaju usługi turystom zagranicznymi,
- problemie parkowania i przejeźności ulic Starego Miasta,
- konieczności zamknięcie Ostrowa Tumskiego dla ruchu wszelkich pojazdów,
- ochronie zabytków,
- braku Domu Turysty i działaniach środowiska wrocławskiego na rzecz jego powstania,
- braku sali na spotkania szkoleniowe przewodników miejskich (Prezydent obiecał daleko Idącą pomoc w tym względzie),
- "dzikim" oprowadzaniu wycieczek przez osoby do tego nie upoważnione (taksówkarze, piloci itp.), przy czym wszelkie negatywne tego konsekwencje "zaliczane" są na konto naszych przewodników.

Prezydent obiecał również objęcie patronatu nad przewodnikami miejskimi od 1 stycznia 1991 roku (szczegóły zostaną omówione w terminie późniejszym). Wydaje się, że stanowczość, z jaką wypowiedział swoje kwestie, daje dużą nadzieję na pomyślne załatwienie wielu wyżej wymienionych spraw. Tym bardziej że jak sam przyznał, był przewodnikiem po Ziemi Kłodzkiej i doskonale zna problemy turystyki, na którą chce "postawić" we Wrocławiu.

My natomiast pragniemy zaofiarować oprowadzanie grupy radnych wrocławskich, aby mogli spojrzeć na nasz gród z okien autokaru i troliu ulic, tak jak patrzy turyści zwiedzający Wrocław. Może wówczas spełnią się wszystkie nasze postulaty?

Barbara Kopydłowska

### Rozrywka

Z toki JERZEGO FUSAKA



Mogłoby być jeszcze raz rozpiąć ten suwak...



O popularyzowaniu wiedzy naukowej wśród krajoznawców wypowiadałem się już parokrotnie, we własnym imieniu i w imieniu Ducha Gór. Ostatnio bodaj na przedkongresowym sejmiku w Zielonej Górze w 1988 r. Pamiętam, referat wygłosiłem 23 września. Mimo popołudniowej pory chyba spotkał się on z uznaniem. (Sądzę tak po hucznych, zbiorowych oklaskach i licznych indywidualnych gratulacjach, jakie otrzymałem po zejściu z mównicy). Ale na kolacji siedziałem przy stołkówym stoliku już samotnie. Na drugi dzień na śniadaniu - również. Cóż miałem robić w takiej sytuacji? Opuściłem obrady cichaczem przed ich zakończeniem.

# KILKA NIEPOKOJĄCYCH PYTAŃ

Prawda, tekst tamtego wystąpienia został wydrukowany (Nauka i krajoznawstwo, Zielona Góra 1989), choć - o dziwo - nie wszystkie wypowiedziane przeze mnie myśli ujrzały światło dzienne. (A ponoć nie ma już cenzury?). Skoro jednak zostały uznane za niegodne popularyzowania, nie będą ich powtarzał.

Mimo wszystko, doprawdy nie mogę zrozumieć, co złego w twierdzeniu, że:

"Nie ma wojen pięknych, wszystkie są bezgranicznie okrutne, chociaż bywają niekiedy sprawiedliwe. Czy nie, czas wreszcie głośno powiedzieć, że lepiej jest przeżyć dla dobra sprawy niż zginąć. Zwłaszcza jeśli poważnie mamy myśleć o tak zwanym wychowaniu dla pokoju. Powie ktoś:

- Mamy przecież wspaniałe początki rozbrowienia.

Tak, mamy. Są to piękne sukcesy na drodze do trwałego pokoju. Jednak prawdą jest i to, że: Tylko goły żołnierz jest niegroźny dla pokoju! Tak samo, jak i to, że: Generałowie stają się stawni tylko przez wojny, nawet jeśli je przegrali. A o tym jasno nikt jeszcze nie odważył się jakoś powiedzieć, przynajmniej u nas".

Aha, miałem przecież nie powtarzać tego, co zostało usunięte. Dobrze, nie będę.

Mam zresztą szereg innych, zupełnie nowych niejasności w związku z problemem: co i jak popularyzować wśród krajoznawców (i nie tylko wśród nich). Ale nie wiem, czy warto o tym pisać. Bo gdy w niecałe dwa miesiące po pamiętnym sejmiku zielonogórskim zostałem zaproszony do Krakowa na trzeci ogólnopolski zlot instruktorów krajoznawstwa ("Na Szlaku", 1988, nr 6), na którym w drugim dniu obrad nieśmiało zgłosiłem przewodniczącemu... (mniejsza o jego nazwisko) chęć zabrania głosu, ten w niezbyt rycerski sposób powlekał mi wprost:

- Stary, nie warto.

Więc cóż, znowu cichaczem opuściłem obrady, tym razem jeszcze przed południem, żeby nie przeszkadzać.

Wątpliwości jednak pozostały. Oto kilka przykładów.

Dziś, gdy każde słowo prawdy o tak zwanym "minionym okresie" épater le nouveau bourgeois (tak, tak, gorszy go i przeraża, zwłaszcza w oba-

wie by przypadkiem - co nie daj Boże - jego samego za coś takiego nie pochwałić), trudna, a - prawdy bardzo trudna jest autentyczna (nie zaś politykierska) popularyzacja rzetelnej wiedzy naukowej. Zdarza się, że niekiedy nawet trudniejsza niż poprzednio. Tak, to niewątpliwie paradoks, ale to - niestety - prawda.

Bo przecież totalne gloryfikowanie Drugiej Rzeczypospolitej, jakie zaczęli uprawiać poniekąd zawodowi historycy i większość polityków (i profesjonalistów, i amatorów), jest po prostu szerzeniem w społeczeństwie nieprawdy. Tak samo jak i uprzednie totalne potępienie przedwojennej Polski.

Jakie są wobec tego obecnie szanse popularyzowania prawdziwej wiedzy historycznej? Kto odważy się to drukować? (choć ponoć nie ma już cenzury). Ciągłe mówimy o różnorodności, o tak modnym dziś pluralizmie, a to co robimy, co głosimy, co-

raz bardziej jest sztapowe, "na jedno kopyto". A życie (mam na myśli prawdziwe życie) nigdy przecież szablonem nie było, nie jest i nie będzie.

Jak więc popularyzować prawdziwą wiedzę o życiu? Czy w takich warunkach człowiek rozsądny w ogóle może coś popularyzować?

"A kiedy lud na nogi stanie,  
Niechaj podniesie pięść żyłastą  
Daj pracującym we władanie  
Płon pracy ich we wsi i miastach,  
Bankierstwo rozpędź - i spraw, Panie  
by pieniądź w pieniądź nie porastał".

dalej:

"Lecz nade wszystko - słowem naszym,  
Zmienionym chytrze przez kretaczy,  
Jedyną przywróć i prawdziwość  
Niech prawo zawsze prawo znaczy,  
A sprawiedliwość - sprawiedliwość.  
Niech więcej Twego brzmli imienia,  
W uczynkach ludzi niż w ich pieśni,  
Głupcom odejmij dar marzenia,  
A sny szlachetnych ucieleśnij".

Tak modlił się Julian Tuwim w "Kwiatkach polskich". A tak stawiał Polskę Ludową w "Pieśni o ojczyźnie" Konstanty Ildefons Gałczyński.

"Tyś mosty Wrocławia i włosna w Szczecinie,  
I srebrne warszawskie gołębie.

My ciebie, ojczyzno, w swych pieśniach stawimy

I w walce, i w pracy codziennej.

Nam dzień się jak okno otwiera

nad Wisłą i Odrą, i Nysą.

Ojczyzno Szopena, Ojczyzno Waltera,  
waleczna, ludowa ojczyzno".

Ale jak popularyzować dziś tę piękną poezję, tę przepiękną polszczyznę? Oto pytanie, które staje przed polskim krajoznawstwem (i nie tylko przed nim), w nowej Polsce, już nie "ludowej"! Czy może mamy wykreślić Tuwima i Gałczyńskiego z naszej kultury, i to tylko dlatego, że nie pasuje do tak silnie lansowanej dziś "kultury" kowbojskiej, że nie potwierdza jakiejś tam nie przemyślanej do końca teorii pana... Mniejsza o jego nazwisko. Wielkość Tuwima ani Gałczyńskiego raczej mu nie grozi, choć niewątpliwie przejdzie do historii, ale to już z zupełnie innego powodu.

A co zrobić na przykład z Bolesławem Prusem, który pisał otwarcie: "...patriotyzm polski składa się z wybuchów namiętnych gwałtownego uczucia, którego, niestety! nie oświecał rozum...", bo nasz naród "...jak dziecko, które z rozpaczą wyciąga ręce ku odsuwającej się przeszłości". (Nasze obecne położenie, "Tygodnik Ilustrowany", 1910). Dodajmy, jakże często przeszłości bardzo odległej, dawno już spleśniałej.

To tylko kilka przykładów, więcej nie będę przytaczał, żeby nie nudzić. (I żeby Szanowna Redakcja nie zrezygnowała z druku tych paru niepokojących pytań, mimo że nie ma już cenzury).

Wnikliwsi czytelnicy zapewne zauważą, że niczego nie usiłuję propagować, niczego podważać. Podzieliłem się jedynie paroma prywatnymi wątpliwościami. Prawdopodobnie nie było warto. Sądzę, że po prostu czegoś tu nie rozumiem. Specjaliści od krajoznawstwa i popularyzacji wiedzy z pewno-

ścią jasno mi to wytłumaczą. Tak. Tylko... nie wiem, dlaczego akurat w tym momencie przypominała mi się głośna swego czasu praca Józefa Stalina "O językoznawstwie". Dziwne. Nieprawda?

Julian Janczak



Marek Śnieciński

Ziemia paruje  
w powietrzu unosi się  
oczekiwanie zapachów  
ziemia czeka  
na bosa stopy  
na ciała gniotące trawę  
na dłonie zaciśnięte w pięści  
kalendarze wypełniamy  
nazwiskami i godzinami  
lato kojarzymy ze zmianą czasu  
wyciągamy pokryte kurzem milczenie  
które zachowało godną pozę  
sprawdzamy w zębach  
czy rzeczywiście pozostało złotem  
ziemia paruje  
czeka z przyzwyczajenia

marzec 1980



# GLOBTROTER

- POD REDAKCJĄ LESZKA SAWICKIEGO

## 1. Jak to się robi?

Gdy po jednej z moich egzotycznych podróży kończyłem ubarwioną przeżyciami prelekcję, jedna ze słuchaczek zadała pytanie: „Proszę pana, a jak pan to właściwie robi, że pan tak wyjeżdża i zwiedza?”. Pytanie zbiło mnie z pantofelów, spodziewałem się bardziej szczegółowych lub dociekliwych pytań. „Proszę pani - odrzekłem - sprawa jest niesłychanie prosta. Otóż trzeba wsiąść w „zerówkę”, dojechać do Dworca Głównego, tam wsiąść w pociąg do Warszawy, na Centralnym wysiąść i autobusem „175” dojechać do międzynarodowego partu lotniczego na Okęcie. A potem już sprawa jasna - zważyć bagaż, przejść przez bramkę paszportową i celną oraz odszukać swoje miejsce w samolocie...”. W oczach mojej Interlokutorki dostrzegłem zdziwienie: „Jak to, to tak można?”

Później zastanawiałem się nad pytaniem i moja nieco zbyt kpiarską odpowiedź. Jak to się robi? Dla kogoś, kto po raz pierwszy czy drugi wsiada do samolotu i leci za kolejny horyzont, sprawa jest prosta; ale ktoś, kto pragnie po raz pierwszy zorganizować taką wyprawę, ten staje przed murem problemów. Trasa? Paszport? Pieniądże? Pora roku? Sprzęt? Przepisy?

Oczywiście, najłatwiej dotrzeć się do jakiegokolwiek grupy trampingowej i pojechać „na przyczepkę” - na bardziej lub mniej udaną wyprawę. Ale, po pierwsze, trampingowcy raczej niechętnie biorą ze sobą - nieodpłatnie - nowicjuszy, a po wtóre - to szkoda naszego urlopu na imprezę niepewną czy nie odpowiadającą naszym zamierzeniom i ambicjom.

Organizujmy więc nasze wyprawy sami. Ale, jak to się robi?

## 2. Pan Globtroter

Według słownika wyrazów obcych (W. Kopaliński, 1972) GLOBTROTER - to „człowiek odbywający częste i rozległe podróże, zwłaszcza z zamiłowaniem do wódczki. Określenia: obieżyświat, wagał, wędrownik”.

W starszej literaturze przedwojennej utrwalił się obraz globtrotera jako majątnego na ogół pana, ze skórzaną walizką, w kracastym kaszkiecie z pomponem na głowie i w takichże kracastych pampach. Jakże inaczej rysuje się sylwetka globtrotera dzisiaj!

Po pierwsze - majątność globtrotera to mit. Zasób pieniędzy, w postaci odpowiedniej (ale nie za dużej!) ilości waluty „zielonej” lub czeków podróżnych, spoczywa w woreczku na piersiach lub w innej skrytce ubranowej (o tym później, na razie szal). Dalej: strój - to najczęściej dżinsowo-bawelniana odzież i adidas; bagaż - to dobrze dopasowany i zapinany plecak na stelażu oraz podręczna torba. Oczywiście - także aparat fotograficzny, rzadziej (bądź ciężka) kamera wideo.

Ale to, co w bagażu globtrotera najważniejsze (zarówno w bagażu pamięciowym, jak tym wydrukowanym czy spisany przewodnikami, notatkami, kserokopiami) - to informacje, informacje, informacje. One doprowadzą go do taniego hotelu, pozwolą trafić do ciekawych miejsc, pomogą w uniknięciu zbędnego ekwipunku czy niepotrzebnych ciężarów. I od tego należy zacząć nasze rozważania o podróżach za dziesiąty horyzont.

## 3. Planujemy podróż

Rozstrzygniemy wstępnie zasadnicze problemy, takie jak: charakter podróży; cel podróży - dokąd i po co?; towarzyszy: z kim jechać?; finansowe podstawy: za ile? (względnie, powtarzając za Kobuszewskim i Dzięwońskimi: „ile można na tym stracić?”); kiedy? (jaka tam jest wtedy pogoda?) - itd.

Problem pierwszy: charakter podróży. Charakter ten zależy będzie oczywiście od tego, czy jedziemy indywidualnie czy zbiorowo? Nasze uwagi będą dotyczyły wycieczek grupowych, choć i samotne, odbywane w pojedynkę wyprawy mają swój specyficzny posmak.

Zakładamy, że wyprawa nasza będzie należała do imprez tanich, do tego, co w terminologii zachodniej jest nazywane „budget travelling”. Jak wykazuje praktyka, najbardziej ekonomiczne są wycieczki odbywane w grupach kilkuosobowych, najlepiej składających się z 4-8 osób. Taka liczba zapewni zarazem najlepsze bezpieczeństwo dla jej uczestników (należy bowiem brać pod uwagę możliwość kradzieży, zachorowań, utraty dokumentów i innych wydarzeń losowych). Czasem jednak, tam gdzie w grę wchodzi możliwość uzyskania grupowych zniżek lotniczych, trzeba brać pod uwagę konieczność zespolenia się w grupy 12- lub 16-osobowe. Nie jest to wygodne ze względu na małą operatywność tak licznej grupy.

Włęcz - wycieczka w małej lecz dobranej grupie.

## 4. Nieco terminologii

Najczęściej przyjętym obecnie rodzajem wycieczki są wyprawy trampingowe. Co ten termin oznacza? Według definicji, zaproponowanej przez „Vademecum Globtrotera” (IMT Światowid) wyjazd trampingowy - to „zagraniczny wyjazd zbiorowy w celu turystyczno-poznawczym, bez udziału kontrahenta zagranicznego i bez własnego środka lokomocji, z wykorzystaniem różnorodnych środków komunikacji lokalnej”, przy czym przygotowanie i realizacja wyprawy trampingowej winny odbywać się wspólnie przez wszystkich jej uczestników.

Jeżeli podróż nasza będzie obejmować zwiedzanie miast, osiedli, zabytków, terenów przyrodniczych, grup górskich itp., dostępnych bez specjalistycznego przygotowania i specjalistycznych uprawnień, to nazwiemy ją wycieczką krajoznawczą. Gdy udajemy się w grupową podróż przewidującą poruszanie się po wyznaczonych trasach górskich lub nizinnych z biwakowaniem - to jest to wyprawa trekkingowa. Wreszcie wyprawy rekonesansowe i eksploracyjne - to wyprawy przewidujące przebywa-

nie w obszarach górskich, wodnych lub nizinnych, z daleka od osiedli ludzkich, połączone z zakładaniem obozów lub baz i użyciem specjalistycznego sprzętu.

Mnie osobiście przypadają do gustu wyprawy trampingowe pod względem organizacyjnym, a łączące w sobie elementy krajoznawcze i trekkingowe. A więc zwiedzanie i oglądanie, ale też i przeżywanie jakiegoś odcinka górskiego szlaku, nawet z biwakami, jeśli to niezbędne. Ktoś inny swoją wyprawę trampingową ograniczy do plaż wysepek koralowych, do zwiedzania piramid czy wędrowania autobusami po „Jedwabnym Szlaku”. Quod libet. Możliwości są tu nieograniczone.

## Sam sobie staraj...

Jeżeli wyprawa ma być trampingowa, to zgodnie z definicją - powinna być przygotowana przez jej uczestników, a więc bez udziału oficjalnych biur podróży czy agencji turystycznych (zresztą - coraz starszą się czyniących) pobranych od organizatorów odpowiednich marż). Sami planujemy trasę, zbieramy informacje, załatwiamy formalności wizowe, rezerwujemy i kupujemy bilety, ubezpieczamy się, wymierzamy dawizy itd.

Jeśli na jakimś odcinku tych naszych starań ktoś z oficjalnych organizatorów podróży zagranicznych chce nam pomóc, to nie zapominajmy słowa „kosz” (a zawsze na końcu każdej sprawy stoi konkretny człowiek) - podziękować i wysłać z podróży kartkę z palmami i zachodnim słońcem... Zasadniczo jednak sami będziemy w naszej wyprawie „starani”, zaplanujemy, określimy

Tym większą więc odpowiedzialność spoczywa na organizatorze wyprawy i jego pomocnikach. Dlatego każdą wyprawę należy przygotować starannie, z dużym wyprzedzeniem czasowym. Moje osobiste doświadczenia podpowiadają, że dzień czy dwa przed wyprawą - to właściwy czas dla spokojnego przygotowania trampingowej wyprawy, dopóki nie pojawi się ona sama przed naszymi oczami.

Jest jeszcze jedno „ale”. Otóż organizator wyprawy, jeśli jest człowiekiem przedziwnym, powinien równolegle przygotowywać również „wariant zapasowy” wyprawy. Często bowiem zdarza się w naszym niespokojnym i niestabilizowanym świecie, że cel wyprawy zmieniać staje się nielegalny, z przyczyn, które nie były do przewidzenia gdy wyprawa planowana była. Rewolucja, wybuch epidemii, klęska żywiołowa czy zamknięcie granic - to wszystko może nam popsuć najpiękniejszą wymarzoną trasę i. Miałby więc w zapasie przygotowany drugi, zastępczy plan podróży, któryby pozwolił nam na równie piękną wyprawę bez naruszenia naszego czasu i niszczenia marzeń.

Dcn.

Leszek Sawicki

W dalszych odcinkach:  
Cel podróży - dokąd i po co? Przewodniki, mapy, wywiady. Sposoby zbierania informacji.  
Towarzystwo - dobór „bractwa”. Obowiązki w grupie. Zagadnienia odpowiedzialności indywidualnej i zbiorowej.  
Finanse - kosztorys wycieczki, kursy walutowe, czeki podróżne, przepisy celno-walutowe. Jak nie dać się okraść czy oszukać?  
Klimat i zdrowie  
Ekwipunek  
Polak za granicą i in.

**SZYCIE KURTEK  
I ŚPIWORÓW PUCHOWYCH**

DANUTA PIOTROWSKA  
WROCŁAW UL. OSOBNICKA 16 m 17  
Zamówienia: w wtorki w godz. 17 do 20

Na tratwach

Siedziałam na progu baraku przeznaczanego na mieszkanie. Słońce mocno już przypiekało. Nad rzeką Ngoi-Nion, która płynęła nieopodal, wrzała praca. Coraz to słychać było trzask ścinanych bambusów, stukanie młotków, ożywione głosy. Co chwilę któryś z Wietnamczyków biegł z bazy nad rzekę, znosząc przygotowany bagaż - bagaż na wyprawę tratwami bambusowymi daleko i w głąb nieznanych dotąd górskich terenów.

Byłam ogromnie przejęta tym, że mam wziąć udział w tej wyprawie.

Znad rzeki przyszedł mąż.

- Chcesz zobaczyć, jak oni to robią?

- Jeszcze się pytasz! - I już biegłam za nim na dół.



A tam aż kłapało od roboty. Tratwy były prawie na ukończeniu. Długie, pięciometrowe, sklecone z osmłu do dziesięciu grubych bambusów, stały przywiązane do nadbrzeżnych drzew. Jeszcze przy mocowano z krótko przyciętych i mocno związanych pnii wyższe stopnie na środku.

- Po co to? - pytam.

- Żeby rzeczy nie zmokły.

- A my?

- No, my, to znaczy nasze nogi, na pewno będą w wodzie. To nawet przyjemne.

Tymczasem Wietnamczycy szybko i zreźnie, za pomocą tyka bambusowego, umocowali ostatecznie wszystkie elementy tej egzotycznej floty i dali znać gestami, że już wszystko gotowe i że można spróbować. Włęcz skaczę na najbliższą tratwę i od razu z przerażeniem stwierdzam, że czuję się jak cyrkowiec na linie. Buty nie trzymają się okrągłych bambusów, tratwa pod wpływem ciężaru od razu się zanurzyła, woda sięga powyżej kostek, wszystko się chwileje - jednym słowem woda huśtawka. Przytrzymuję się niezdarne rękoma. Wszyscy się śmieją ze mnie.

- Co do licha! - wotam - myślicie, że sobie nie poradzę?

No i jakoś przybrałam płonową postawę, a wyczuwszy stopami dużą wyporność bambusów, szybko chwyciłam równowagę.

- Dobra - chwalił mąż - to leć po swój plecak! Po chwili byliśmy wszyscy z powrotem nad rze-

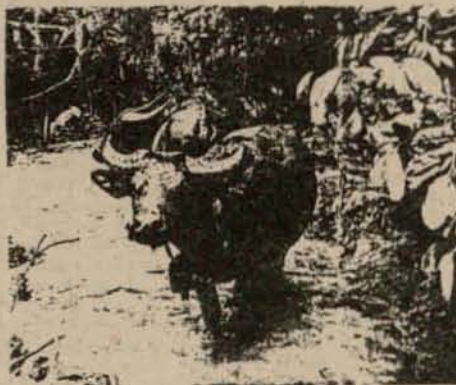
# ZAPACH MONSUNU

MARIA SAWICKA

ką. Ależ to cały korwół! Stały tam całkowicie gotowe i załadowane trzy tratwy. Skoczyłam na jedną, gdzie stało już dwóch Wietnamczyków, mąż na drugą, na trzeciej przykucnęła reszta załogi. Było nas razem dziesięcioro. Moja osoba od początku budziła sporo kontrowersji i zastrzeżeń. Jednym słowem, nie chcieli brać baby na taką wyprawę. Myślałam, że szybko pozbyli się obaw, bo już wkrótce okazali mi wiele sympatii i podziwu, wyrażając to słowami: "Madame Sawiki toś lami", co miało oznaczać, że jestem odważna i silna, po naszymu morowa.

czuć, że jestem odważna i silna, po naszymu morowa.

Ale tymczasem na znak dany przez Ciana, przydzielonego nam osobistego strażnika, odepchnęliśmy się od brzegu i z wesołymi okrzykami daliśmy się ponieść wartkiej rzece. Jeszcze zobaczyłam, jak grupka, która pozostała na brzegu, macha nam rękami, mignął mi nad głową most i baza Bao-Ha zniknęła z oczu. Nasze płótkowe tratwy mknęły po rzece. Jej brunatno-czekoladowa woda przelewała się między bambusami polewając nam nogi. Wietnamczycy stali na przodzie i tyle każdej tratwy i



długimi bambusowymi drągami kierowali nią podobnie jak nasi filisacy na Dunaju. Po minięciu ostatnich chalupek wypłynęliśmy na szeroką i dziką rzekę.

Rzeka Ngoi-Niou, prawoboczny dopływ Rzeki Czerwonej, była właściwie jedyną arterią komunikacyjną tej części kraju. Jej niespokojny nurt ostro podcinał muliste brzegi. Zbocza doliny pokrywał różnorodny las, tu i ówdzie przerzedzony śladami ludzkiej gospodarki.

Stoję na tratwie i radość mnie rozpiesza. Włęcz to już? Wreszcie? I naprawdę?

Jeszcze tydzień temu deptałam chodniki Warszawy, a dziś gdzie oto jestem? Płynę w całkowicie nieznanym mi świat. I to jest cudowne.

Oglądam się do tyłu pokazując gestami mężowi, jak jestem szczęśliwa.

Płyniemy wszyscy blisko siebie i bawimy się w wymijanki. W pewnym momencie wyprzedza mnie tratwa z naszym kucharzem Da, który stojąc skubie na obiad żywą kurę, głośno przeciw temu protestującą. Jej białe pierze płynie po rzece, a Da

podpiewuje sobie.

Po upływie mniej więcej godziny krajobraz zaczął się zmieniać. Dolina zwięzła się. Teren stał się wyraźnie górzysty, zwarcie pokryty pierwotną roślinnością. Poskręcane liany zwisały z drzew do wody. Zobaczyłam z przerażeniem, jak mąż z aparatem fotograficznym przy twarzy nie widzi jednej takiej zwisającej pętlki i zamierza wsadzić w nią głowę. W ostatniej chwili Wietnamczyk stojący na przodzie tratwy odtrącił to zielsko drągiem.

Zaczęliśmy uważać. Koryto stawało się niebezpiecznie. Coraz częściej wystawały ponad wodę progi skalne, które trzeba było zreźnie omijać.

- Trzymaj się - woła mąż. - Tutaj raz rozleciała się tratwa!

Dobre sobie, pomyślałam. Czego się tu trzymać? W końcu ze strachu usiadłam.

Teraz nasza droga przypominała ślalom między skalami. Nikomu nie było już wesoło. Po jakimś czasie zdecydowaliśmy, że rozsądniej będzie opuścić tratwy i dalej iść pieszo.

cdn.

Maria Sawicka

Foto: Leszek Sawicki



Trzebnica - kościół św. Bartłomieja

Turysta, wędrujący jednym z kilku widokowych szlaków znakowanych, poprowadzonych szczytami wzgórz okalających Kotlinę Wałbrzyżską (np. przez Wzgórze Gedymina, Ptasią Kopę, Niedźwiadki czy Wołowic i Kozioł) i bacznie obserwujący panoramę Wałbrzycha, zauważy interesujące zjawisko: w kilku punktach miasta stoją obok siebie parami charakterystyczne sylwetki starych kościołów. Tak jest w centrum miasta oraz w osiedlach: Stary Zdrój, Podgórze, Piaskowa Góra; a przed piętnastu jeszcze laty po dwie budowle sakralne sąsiadowały ze sobą także na Szczawienku, Sobiecinie i Białym Kamieniu, ale wskutek zaniechania nieużywane kościoły uległy dekapitalizacji i zostały rozebrane lub też przebudowane na inne cele, tracąc swój charakterystyczny wygląd.

Co było przyczyną takiej lokalizacji kościołów? Otóż, wbrew pozorom, nie było nią rozdrobnienie parafii, jak to np. dzieje się obecnie w niektórych rejonach kraju, lecz funkcjonowanie tu w przeszłości równoległe dwóch masowych wyznań: katolickiego i ewangelickiego (luteranckiego).

Niemal od początku istnienia miasta ludność jego należała do wyznania rzymsko-katolickiego. Prawdopodobnie z pocz. XIV w. pochodzi też katolicki kościół NPM przy pl. Marchlewskiego, w obecnym kształcie barokowy w wyniku przebudowy w latach 1714 i 1900. Współcześnie także większość mieszkańców

przejdą na katolicyzm. Prześladowany i maltretowany pastor ks. Jeremiasz Ullman zmarł w 1629 r. na skutek odniesionych ran.

W wyniku zawartego w 1648 r. pokoju westfalskiego ewangelicy uzyskali zgodę na wybudowanie na Dolnym Śląsku trzech tzw. kościołów pokoju (w Głogowie, Jaworze i Świdnicy), ale jednocześnie stracili możliwość korzystania z innych dotychczasowych swoich świątyn. W Wałbrzychu specjalna komisja cesarska w składzie: płk. Krzysztof von Churschwand, ks. prałat Sebastian von Roattek i ks. Jerzy Steiner z Wrocławia przejęła protokolarnie w 1654 r. kościół ewangelików i z całym urządzeniem przekazała go katolikom. W tej sytuacji pastor ks. Raussendorf odprawił nabożeństwa i udzielał posług religijnych potajemnie w okolicznych górach. W wiele lat później jeden z giazów, obok którego odbywały się owe nabożeństwa, został wmurowany w oitarz kościoła centralnego przy ul. Pankiewiczza (lub jak kto woli - przy pl. Marchlewskiego). Po 1707 r. ewangelicy wałbrzyżscy korzystali z Kościoła Łaski w Kamiennej Górze, zbudowanego za zgodą cesarza po interwencji króla szwedzkiego Karola XII. A wyznawców ewangelickich było już wtedy sporo, bo statystyka (wg ks. W. Lucera) z 1741 r. podaje ich liczbę na 1629, podczas gdy katolików było tylko 34; w 1654 r. były tylko trzy chrysty katolickie i ilość wiernych stale spa-

diaconisy, które pracowały w żłobkach, przedszkolach i domu starców. Dzięki temu można było pod koniec XIX w. obok domu parafialnego z piękną kaplicą przy ul. Kunickiego (obecnie kaplica Adwentystów Dnia Siódmego) zbudować przedszkole dla dzieci z Nowego Miasta (obecnie siedziba komisariatu MO).

Wraz ze wzrostem liczby wiernych musiało dojść do podziału parafii i budowy nowych kościołów. Jako pierwsza usamodzielniała się w 1653 r. parafia Stary Zdrój, korzystając początkowo z celów religijnych z dużej sali w domu von Mutiusa, a w 1675 r. wybudowała własny kościół przy zbiegu ul. 22 Lipca z ul. Marconiego. W 1678 r. powstaje parafia w Białym Kamieniu z kościołem przy ul. Piastów, a w 1690 r. - parafia Podgórze z kościołem przy ul. Internatowej. Istniejący w sąsiedztwie przy ul. Reymonta kościół katolicki powstał rok wcześniej w wyniku przebudowy gospody "Pod Zamkiem". W 1911 r. zbudowano kościół na Piaskowej Górze przy ul. Odlewniczej, a w 1914 r. - w Sobiecinie przy ul. 1 Maja (który w latach siedemdziesiątych XX w. przebudowano na magazyny i siedzibę dyrekcji wojewódzkiej przedsiębiorstwa RSW "Prasa-Książka-Ruch").

Szczawienko stanowiło oddzielną parafię od lat dziewięćdziesiątych XIX w., kiedy to w pobliżu gotyckiego kościoła Św. Anny z 1315 r. zbudowano kościół ewangelicki, zburzony w 1972 r.

## ŚWIĄTYNIE EWANGELICKIE W WAŁBRZYCHU

Wałbrzycha jest wyznania katolickiego, choć są tu również wierni innych religii, wyznań i sekt. Ewangelicy dysponują jednym dużym kościołem przy pl. Marchlewskiego, a właściwie to na rogu ul. Kościelnej i ul. Pankiewiczza, w sąsiedztwie wspomnianego kościółka maryjnego.

Był jednak w dziejach Wałbrzycha długi okres, kiedy bardzo duża liczba mieszkańców wyznawała luteranizm - i z tego to okresu pochodzą kościoły ewangelickie stojące w sąsiedztwie świątyn katolickich. Tu warto sobie uświadomić, że dawniej, w przeciwieństwie do obecnych czasów, kościoły nie zawsze stawiano w centrum osady, ale koniecznie w jej najwyższym punkcie i zwykle poza obszarem zwartej zabudowy mieszkaniowej. Współczesny Wałbrzych to zlepek kilkunastu dawniej samodzielnych osad - wsi i miast - stąd te liczne zdubiowane świątynie.

Historyczną datą powstania ruchu ewangelickiego w Wałbrzychu jest rok 1546, będący jednocześnie rokiem śmierci wielkiego reformatora, Marcina Lutera. Wtedy to ewangelicy przejmują na swoje potrzeby kościół parafialny św. Michała, zbudowany w 1467 r. (rozebrany wskutek groźby zawalenia w 1699 r.). Pierwszym stałym pastorem był od 1589 r. ks. Baltazar Tilesius.

Okres wojny 30-letniej (1618-1648) to nie tylko czasy wojennych kontrybucji, grabieży i okrucieństw żołnierzy armii księcia cesarskiego Albrechta von Wallensteina, a zwłaszcza dragonów Lichtensteina łupiących Wałbrzych, zawleczonych przez obce wojska zakatnych chorób, które dziesiątkowały ludność, ale także czasy ostrych prześladowań i terroru wyznawców ewangelizmu, w wyniku których liczba wiernych wybitnie się zmniejszyła, tak że w 1546 r. liczba komunikantów wynosiła tylko 648 osób. Ewangelicy nie mieli prawa korzystania ze swoich świątyn i odprawiania nabożeństw, a niektórych zmuszano do

dała, zaś prześladowany ewangelicyzmem rozwijał się systematycznie.

Delegalizacja kościoła ewangelickiego i prześladowanie jego wyznawców trwały prawie do połowy XVIII w. Dopiero z chwilą przejścia Śląska pod panowanie Prus w 1742 r. sytuacja uległa zmianie. Na prośbę ówczesnego właściciela Wałbrzycha i pana na Książu, Konrada von Hochberga, król Fryderyk II wyraził zgodę na wybudowanie kościoła ewangelickiego w Wałbrzychu. Początkowo nabożeństwa odbywały się w sali ratusza miejskiego, która jednak była zbyt ciasna dla dużej parafii, liczącej ok. 4800 wiernych z kilku miejscowości: Wałbrzycha, Białego Kamienia, Kamińska, Szczawna, Starego Zdroju, Dzieńmorowic, Podgórze i Starego Gaju.

Dlatego na placu (obecnie pl. Marchlewskiego), zakupionym od G. Lenharta i K. Puscha za 150 talarów, zbudowano w ciągu dwu miesięcy obszerną kaplicę w 1642 r., a w l. 1752-1754 - plebanię. Wraz z 8.08.1785 r. na wzniesieniu w sąsiedztwie kaplicy położono kamień węgielny pod budowę kościoła wg projektu znanego wrocławskiego architekta, twórcy Bramy Brandenburskiej, Karola G. Langhansa. Budowę ukończono szybko, bo już w listopadzie 1786 r., kosztem 35070 talarów. Warto zwrócić uwagę na ówczesne tempo budowy, ale i na istniejącą wówczas inflację, bo pierwotny kosztorys opiewał na 18266 talarów. W 1818 r. zamontowano trzy dzwony o imionach: Anna, Jadwiga i Concordia, w 1864 przebudowano wieżę z powodu rys i pęknięć murów [wpływ podziemnej eksploatacji węgla], w latach dziewięćdziesiątych XIX w. zamontowano centralne ogrzewanie, a w 1913 r. parafia odnowiła wnętrza i ufundowała nowe organy.

W XIX w. i na początku XX w. liczba ewangelików w Wałbrzychu i okolicy szybko rosła. I tak: w 1789 r. było ich 4581, w 1843 r. - 8465, w 1862 r. - 16152, w 1878 r. - 17500, a w 1888 - 18670. W tej sytuacji przybywało też pastarów - w 1847 r. było ich dwóch, a w 1905 r. - już czterech. W 1878 r. przybyły do miasta pierwsze siostry

W latach międzywojennych po przyłączeniu do Wałbrzycha okolicznych miasteczek i wsi, jak Sobiecin, Podgórze, Białe Kamień, Szczawienko i in., było na terenie miasta 7 parafii i 9 kościołów ewangelickich, a np. w 1925 r. spośród 44000 mieszkańców 2/3 wyznawało luteranizm. Po II wojnie światowej w latach pięćdziesiątych było jeszcze 8 parafii i 9 kościołów ewangelickich (a także 7 parafii i 8 kościołów katolickich), ale ewangelików zarejestrowano w 1956 r. już tylko 12640 na 110000 mieszkańców.

Po 1956 r. nastąpił dalszy, bardzo gwałtowny spadek liczby ewangelików w Wałbrzychu (masowe wyjazdy Niemców), co spowodowało opustoszenie kościołów i ich popadanie w ruinę z braku opieki konserwatorskiej lub też przeznaczanie budowli na inne cele. Spośród wymienionych dziewięciu kościołów obecnie funkcjonuje tylko jeden (przy ul. Pankiewiczza), kościół rzymsko-katolicki użytkuje dwa obiekty (przy ul. Marconiego i ul. Odlewniczej), kościół narodowy wykorzystuje jeden obiekt: klasycystyczny kościół św. Ducha z 1648 r. przy ul. Garbarskiej, dwa uległy wyburzeniu, a trzy kościoły przeznaczono na inne cele - niereligijne.

Edmund Jonca



Olawa - Rynek

Nie wiem, czy ktoś przeprowadzał kiedykolwiek badania, skąd przyjeżdżają turyści wędrujący po Sudetach. W czasie rozmowy z napotkanym w Karłowicach wopłstą dowiedziałem się, że, jak wynika z jego obserwacji (jeden pożytek z nieszczęsnych kontroli dokumentów), dominują przyjeźdźcy z Wrocławia, Poznania i w nieco mniejszym stopniu Warszawy. Goście z innych większych miast zjawiają się raczej sporadycznie. Wynikałoby z tego, że po Sudetach chodzą przede wszystkim ci, którzy mają tu łatwiejszy dojazd niż w Tatry i Beskidy. Ci, którzy mają jednakowo daleko we wszystkie strony, wybierają te ostatnie pasma. Można

znać pismo gotyckie? Zakorzenili się ponadto szkodliwy sposób myślenia, że co niemieckie, to niegodne uwagi, więc wszystkie pozostałości po Niemcach można dewastować. W tej sytuacji dorobek wielu pokoleń dawnych mieszkańców zaczął niszczyć i niszczeje, niestety, w dalszym ciągu.

Wiele ujemnych skutków przyniosła też polityka państwa, które przy każdej okazji kazalo podkreślać polskość Śląska, by uzasadniać nasze do niego prawo. Doszukiwano się więc przejawów polskości niemal wszędzie, nieraz nawet tam, gdzie były one dość wątpliwe (w końcu ponad 600 lat przynależności do innych państw zrobiło swoje). Towarzy-

wiaśnie jego przewodniki cieszą się dobrą opinią i ciągle, mimo upływu lat, są poszukiwane przez turystów.

Nie dla wszystkich jednak owa konieczność sięgania do niemieckich ksiąg i czasopism jest oczywista. Są tacy, co fakt opierania się na nich wciąż poczytują jako zarzut. Trzeba więc podkreślić, że zabieranie się za krajoznawstwo na Dolnym Śląsku, przy ignorowaniu przedwojennych źródeł może przynieść więcej szkody niż pożytku. Przynależność bowiem może do powstania i utrwalenia błędów, których, niestety, w powojennych publikacjach nie brakuje.

## CO Z WIEDZA O ŚLASKU ?

zastanawiać się, jaka jest tego przyczyna. Na pierwszy rzut oka odpowiedź jest prosta: Sudety są mniej atrakcyjne. Gdyby spytać kogoś, co odciąga go od tych gór, z pewnością wymieni zniszczenie środowiska, silne ucywilizowanie (przemysł, gęsta sieć asfaltowych dróg, znaczne wylesienie), może jeszcze parę innych powodów. Jest to, niestety, prawda: Spustoszenia w przyrodzie są tu ogromne i wiele lat trzeba będzie pracować nad rehabilitacją środowiska. Przekształcenia krajobrazowe spowodowane działalnością człowieka zaszyły tu znacznie dalej niż w Beskidach. Trzeba też przyznać, że pod względem ilości tras, jakie turysta ma do wyboru, Sudety wyraźnie Beskidom ustępują (po prostu mają znacznie mniejszy obszar). A jak jest z walorami krajoznawczymi?

Przekonany jestem, że większość turystów (nawet niekoniecznie z głębi kraju) także przyzna pierwszeństwo Beskidom. Wszak tam właśnie można obejrzeć opiewane w wielu piosenkach cerkwieki, drewniane chaty i kościoły, górską kulturę. Coraz większe też zainteresowanie wzbudza zapomniane cmentarze z I wojny światowej w Beskidzie Niskim.

Co natomiast ujrzy przybysz w czasie wędrowki po Sudetach? Resztki opuszczonych domostw straszące wyszczerbionymi murami, syplący się z elewacji budynków tynk, zaniedbane miasteczka z nielicznymi śladami dawnej świetności. Dopiero sięgnąwszy do przewodnika dowie się, że te walące się budynki to cenne zabytki, brudna i obskurna miedzińca ze srującymi się plikami liczy sobie siedem wieków, a jej historia obfituje w tyle interesujących wydarzeń, że mało które z miast małopolskich może się poszczycić podobnie zajmującymi dziejami.

Gdyby rozważyć powody słabej znajomości naszego regionu, nieuchronnie dojdzie się do wniosku, że przede wszystkim decyduje tu zerwanie ciągłości kulturowej. Po 1945 r. praktycznie wszyscy mieszkańcy Dolnego Śląska opuścili tereny, na których ich rodziny żyły od kilku stuleci. Na ich miejsce przyjechała ludność o całkowicie innej kulturze, także zresztą niejednorodnej (wszak przybywały rodziny z wielu zakątków Polski), dla której zastany region i jego specyfika były zupełnie obce. Jego dzieje świeżo przybyli mieszkańcy nie znali (a wielu nie zna do dzisiaj), bo i skąd. Jeśli widzieli nawet na kościołach, kapliczkach czy postumentach pod figurkami świętych napisy, to kto z nich znał niemiecki lub łacinę, by cokolwiek z nich zrozumieć? Skąd przybyli z kresów chłopcy miałiby

zwyli temu niesprawiedliwe pomniejszanie lub nawet ignorowanie dokonanych przez poprzedników. W ten sposób zakorzenili się poglądy, że złote czasy dla Dolnego Śląska to średniowiecze pod rządami Piastów, natomiast po oderwaniu od Polski nastąpił upadek regionu, zakończony dopiero przyłączeniem do PRL-u (nawiasem mówiąc, podobnie rodzimie przewodniki przedstawiają historię naszych dawnych kresów wschodnich). W efekcie każdy wie, kim byli Piastowie, potrafi wymienić kilku znanych przedstawicieli tego rodu czy zbudowane przez nich zamki. Znacznie mniej przeciętny turysta wie o Hochbergach, choć zwiedzający Książ może coś o nich zapamiętać. Gdyby jednak sprawdzić wiedzę o Schaffgotschach lub Zedlitzach, to obawiam się, że sprawdzian wypadłby mizernie. A przecież to także rody wielce dla Śląska zasłużone.

To wymazywanie wielowiekowego dorobku Niemców (często pochodzących ze zniemczonych rodów o polskich korzeniach) na Śląsku ze świadomości obecnych jego mieszkańców trwało dostatecznie długo, by przynieść negatywne skutki. Teraz dopiero odkrywa się, że zaniedbywane lub dewastowane przez dziesięciolecia budowle są duże klasy zabytkami, czego najlepszym chyba przykładem jest zamek w Kamieńcu Żabkowickim, albo cenniejszymi pamiątkami przeszłości (jak np. pałac w Krzyżowej). Dopiero obecnie zaczyna się doceniać, jak szkodliwe były próby budowania kultury wyłącznie na tradycjach wczesnoplastowskich z pominięciem jakiego bogatego dorobku późniejszych epok.

Wielką rolę w szerzeniu wiedzy o regionie odgrywają przewodniki i inne publikacje krajoznawcze. Powinny one przedstawiać obiektywny jego obraz, tak by zachęcić bardziej dociekliwych turystów do dalszych poszukiwań. Poziom przewodnik w dużej mierze zależy od tego, z jakich źródeł korzystał autor przy jego opracowywaniu. Dolny Śląsk jest o tyle specyficznym regionem, że przy studiowaniu jego historii, zwłaszcza ostatnich wieków, nieodzowne jest przejrzanie przedwojennych publikacji niemieckich. Ma to szczególnie duże znaczenie przy poszukiwaniu informacji dotyczących mniejszych miejscowości (zwłaszcza powstałych już w czasach austriackich), zabytków, czy wreszcie historii sudeckiej turystyki i zagospodarowania tych gór. Ilość polskich publikacji jest bowiem ciągle niedostateczna, w związku z czym wiedza oparta wyłącznie na nich słą rzecz będzie zbyt fragmentaryczna. Pierwszym bodaj krajoznawcą, który w pełni to docenił, jest Tadeusz Steć. Dlatego

Na koniec pragnąłbym podkreślić, że nie zamierzam podważać ani pomniejszać polskiego dorobku na Dolnym Śląsku. Jest on niewątpliwy. Musimy jednak w pełni zrozumieć, że nie można odciąć się od wielowiekowych tradycji tylko dlatego, że tworzył je inny naród. Spowoduje to spustoszenie zubażające niepomniernie kulturę naszego regionu, za co my będziemy odpowiedzialni. Trzeba uświadomić wszystkim, że historia Dolnego Śląska nie kończy się na XIV w. i Piastach Świdnickich, by odżyć po 1945 roku. Po latach zaniedbań jest to zadanie trudne, ale trzeba się go podjąć, a wiele mogą tu zdziałać krajoznawcy i przewodnicy.

Jacek Potocki



Weź udział w ogólnopolskiej Akcji  
„PTTK dla Krakowa”  
Konto PKO I O. Kraków nr 35510-19855-132  
(nazwa konta: „PTTK dla Krakowa”)

Liczące już sobie stokilkanaście lat przewodnictwo polskie, a przez ostatnich lat kilkanaście zdalnie sterowane przez byłego GKKFIT, po rezygnacji tego Komitetu z pełnienia roli "sądnego opiekuna", a czasami "dobrego wujka" - niektórzy "działacze" przewodnictwa, popadli w panikę, a niektórzy nawet w skrajną rozpacz, izami oblewając utratę "państwowych uprawnień" z orzekaniem na okładce legitymacji. Mimo że spadkobierca b. GKKFIT - Komitet do

stawki wynagrodzenia niż spółki czy "prywatni" przewodnicy, a klientom korzystającym z tej usługi wystawiają rachunki kilkakrotnie wyższe niż spółki czy "prywatniarze". Stąd też klient woli zaangażować cicerone w spółce lub "prywatnego" przewodnika.

Jedyną możliwością udrowienia tej sytuacji jest powrót do stanu organizacyjnego przewodnictwa sprzed 1973 r. i działania wyjątkowo w ramach organizacyjnego PTTK, którego Zarząd

## Problemy i dylematy przewodnictwa polskiego

spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej przekazał prawo organizowania, szkolenia, nadawania i odbierania uprawnień przewodnickich Zarządowi Głównemu PTTK - organizacja następczo zaczęła wyraźnie kuleć i rozpadać się. Istniejące przy Oddziałach PTTK koła i kluby przewodnickie zaczęły gwałtownie chudnąć, a niektórzy ich członkowie, zwani "profesjonalistami", tworzyli jakieś cudaczne spółki, zaś indywidualności o wygórowanych ambicjach i wierze we własną genialność wykupywać w miejskich lub gminnych urzędach administracji państwowej zezwolenia na prywatną sprzedaż usług przewodnickich. Wobec braku jakichkolwiek oficjalnych przepisów regulujących uprawianie "zawodu" przewodnickiego - urzędy te wydają takie zezwolenia każdemu zgłaszającemu się bez sprawdzania jego umiejętności fachowych. Wędrują to też po miastach i szlakach naszego kraju grupy turystów prowadzone przez takich domorosłych przewodników, bardzo często zwyczajnych hochsztaplerów. Z drugiej strony, istniejące przy Oddziałach PTTK niektóre BORT-y, dysponujące jeszcze przewodnikami, stosują o wiele niższe

Główny podjął w ostatnich miesiącach szereg uchwał i instrukcji regulujących wszelkie sprawy związane z przewodnictwem turystycznym, a mając wyjątkowy "monopol" na nadawanie i odbieranie uprawnień przewodnickich, może przecież łatwo nadać przewodnictwu właściwą wagę. W różnych gremiach przewodników działaczy PTTK rodzą się również pomysły właściwego uregulowania organizacji przewodnictwa w ramach naszego Towarzystwa. Ostatnio dyskutowane są w tych gremiach tezy zawarte w "koncepcji organizacji przewodnictwa w PTTK" opracowanej przez zespół pod kierunkiem Andrzeja Wojdyły z Krakowa, członka Prezydium ZG PTTK. "Koncepcja" przewidyuje usamodzielnienie kół i klubów przewodnickich w organizacyjnych ramach PTTK. Koła i kluby mogłyby wyłączać się ze struktur oddziałów i zarządów wojewódzkich PTTK, podlegając bezpośrednio Radzie Przewodników podległej wyjątkowo Zarządowi Głównemu, realizacja biurowa zadań Rady zająłaby się centralny ośrodek przewodnictwa podległy sekretarzowi Generalnemu PTTK. Jednym z podstawowych zadań Rady byłoby nadawanie i odbieranie uprawnień przewodnickich na wniosek kół lub klubów. Zadanie to mogłoby być przekazywane ponadklubowym (kołowym), regionalnym strukturom organizacji przewodnickiej. Takim organem naszego towarzystwa jest na Dolnym Śląsku Międzywojewódzka (dolnośląska) Komisja Kwalifikacyjno-Egzaminacyjna do spraw przewodnictwa terenowego i sudeckiego, powołana w dniu 11.08.1980 r., na mocy porozumienia pomiędzy Wojewódzkimi Komisjami Przewodników województw: jeleniogórskiego, legnickiego, wrocławskiego i wrocławskiego oraz dyrektorami ówczesnych wydziałów kultury fizycznej, sportu i turystyki właściwych urzędów wojewódzkich. Dziesięcioletnia działalność tej komisji ocenili jej członkowie na zebraniu w dniu 24.02.1990 r. w Domu Turysty PTTK w Szczawnie-Zdroju. Uczestnicy zebrania, a także uczestniczący w nim przewodniczący Komisji Przewodników ZG PTTK Tadeusz Stefański, wysoko ocenili społeczną działalność Komisji i stwierdzili konieczność jej dalszego działania w obecnym trudnym okresie. Jednocześnie też poparli wszystkie tezy zawarte w "koncepcji" zespołu Andrzeja Wojdyły deklarując ich upowszechnienie w lokalnych środowiskach przewodnickich na Dolnym Śląsku.

Czesław CETWIŃSKI

## LISTY

ciąg dalszy ze str. 11

dochód w wysokości ponad 5,5 mln zł. Oprócz tego wiele zakładów pracy ze Złotoryi i okolicznych miejscowości przekazało ostatnio kilkanaście milionów złotych na remont zabytkowej świątyni.

W dwóch ostatnich dniach odbył się IV Ogólnopolski Wyścig Kolarski w kategorii "Cykloport" o "Złoty Sztafetę Kaszuby".

W pierwszym dniu miał miejsce wyścig szosowy na dystansie 83 km dla uczestników w wieku od 20 - 70 lat życia. Startowało 89 zawodników, w tym zawodnicy z Berlina Zachodniego i Moskwy. W kategorii naj młodszych do 35 lat życia zwyciężył K. Zdrobowski (Węgrzeczko), a wśród najstarszych powyżej 60 lat, będący w bardzo dobrej formie, pierwszy linię mety przejechał Jan Mirowski (Makko), drugi był reprezentant Złotoryi - członek Zarządu Oddziału PTTK i Ludowego Zespołu Turystycznego "HELIOS" - Henryk Stachowski.

W drugim dniu odbyło się kryterium uliczne o puchar Naczelnika Miasta i Gminy Złotoryja. Najstarszymi były wyścigi dla najstarszych i w tej kategorii zwyciężył Henryk Stachowski (Złotoryja), a wśród "pięćdziesięcioletników" najlepszy był M. Chojnacki z Warszawy.

We wszystkich imprezach kulturalnych, turystycznych i sportowych brał liczny udział przedstawiciel różnych organizacji społecznych: PTTK, TKOF, Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, "Solidarność", Ludowe Zespoły Sportowe, Szkoła Zdzisław Sportowy, PCK i inne. Słowe uznania i podziękowania należą się wszystkim zakładom pracy i organizacjom społecznym działającym w naszym mieście za wsparcie i wzorowe zorganizowanie "XXX DNI ZŁOTORYI".

Ryszard Jabirski



## ZNAKARZE PRZY PRACY

Wczesna wiosenna pogoda oraz brak śniegu w wyższych partiach gór sprawiło, że w tym roku o miesiąc wcześniej rozpoczęli sezon znakarzki znakarze Oddziału PTTK Międzygórze, już 25 marca siedem osób pracowało na szlaku Międzygórze-Sarekowiec wymieniając 10 uszkodzonych drogowisk i stawiając dwa nowe rogacze pod drogowiskami. Podczas prac dały się znać przeciwności losu, zaczął padać najpierw deszcz, a potem śnieg. (Czyżby to był koniec początku rozpoczęcia prac i na jak długo?) A szkoda czasu, bo roboty jest dużo. Pseudoturystyczni-wandale coraz więcej niszcza na szlaku; zdarza się, że niektórzy zabierają drogowiskami na pamiątkę z gór. Przeszło połowę z 169 drogowisków trzeba wymienić lub uzupełnić. Dziesięć osobowa Grupa Znakarska w Międzygórzu ma na swym terenie 261 km szlaków, w tym 221 górskich i 40 km narciarskich oraz 43 stanowiska drogowisk. W tym sezonie przypada do odnowienia tylko 58 km oraz dodatkowo wytyczenie nowego przebiegu szlaku zielonego, tzw. granicznego na odcinku Trójmiejski Wierch-Puchacz-Biały Kamień. Międzygórska Grupa Znakarska będzie w przyszłym roku obchodzić XV-lecie swego istnienia, więc w tym roku musi przygotować szlaki na "medal", aby tym właśnie uczcić swój jubileusz.

Józef Czernicki

## Sudety czy Ryfeje: która nazwa starsza?

"Ripaja (po grecku: Rhipaja ów, po łacinie: Rhipaei montes) Góry Ryfejskie: starożytni lokalizowali je w różnych miejscach: u źródeł Strymonu, Danubiusa, niektórzy utożsamiali je z Alpami, z Pirenejami. Od I w. tak zwano łańcuch górski w Sarmacji". Tyle według "Małej encyklopedii kultury antycznej". A oto urywek mado znanego źródła wiedzy o dawny Śląsk:

- Miedziani zaś kuźnicy między Ryfejskimi Budowali też kuźnice Gorami Które tak od Ryfeów Sarmatów nazwali... - Jest to fragment "Officina ferraria albo Huta i warsztat szlacheznego dzieła żelaznego" - wierszowanego opracowania opisującego Śląsk, napisanego przez Walentego Różdzieńskiego pod koniec XVI w., wydanego w Krakowie w 1612 r. i odmalowanego w Bibliotece Kapitulnej w Gnieźnie w 1933 r.

Już ten skromny przekaz pozwala na wyciągnięcie bardzo istotnych wniosków. Otóż nie ulega wątpliwości, że starożytna nazwa "Góry Ryfejskie", nieznacznie zniekształcona na "Ryfejskie", w czasie kształtowania polskiej państwowości i świadomości narodowej obejmowała pasmo śląskich gór dziś zwanych

Sudetami. Jest to niewątpliwie najstarsza nazwa, jaka użyto do nazwania polskich gór.

Zniekształcone "Rhipaei (montes)" zostało odczytane przez Niemców jako "Riesei" tworząc formę: "Riesengebirge". Tłumaczona z języka niemieckiego nazwa ta brzmiała: "Góry Olbrzymie" i dotyczyła zarówno Karkonoszy, jak też całego pasma śląskich gór. Taka nazwa wydaje się w dużej mierze pozbawiona sensu, gdyż inne góry Europy, np. Alpy - to naprawdę potężne masywy, w porównaniu z którymi nawet Karkonosze nie wydają się "Olbrzymie". Nazwę "Riesengebirge" starano się też tłumaczyć jako pochodzącą od ryz, po których staczano z tych gór drewno. Wszelkie podobne tłumaczenia niemieckiej nazwy są jednak mało przekonujące.

W środowisku związanym z Klubem Sudeckim PTTK w Poznaniu używa się często nazwy "Góry Ryfejskie" lub krótko: "Ryfeje", mającej swój początek w starożytnym nazewnictwie europejskim. Czy warto przypominać o stosowaniu niegdys przez Polaków antycznych nazewnictwa najbliższych nam gór? Co na ten temat sądzą koledzy z Dolnego Śląska? Zapraszamy do dyskusji.

Lech Rugała

Roman Pollak (1886-1972), profesor UAM w Poznaniu, już w 1948 r. zwrócił uwagę, że nazwa "Riphaeos Montes" została użyta przez śląskiego lekarza i botanika - Kaspara Schwenckfeldta (1563-1609), w którego dziele "Stirpium et fossilium Silesiae catalogus" (Śląski katalog przyrodniczy) wydanym w 1600 r. na str. 359 czytamy: "Aeris mons, vulgo Cupferbergum intra Riphaeos montes ab Boberum fl., oppidulum metallicum vetustum, olim aeris venis ditissimis celeberrimum..." (Spizowa góra słynąca Cupferbergiem [dziś Miedzianka], położonym wśród gór Riphaeos [starożytny Sudety] nad brzegiem rzeki Boberum [Bóbr] sądziwym miasteczkiem kuźników dawno temu za spizem przybyłych, długie lata wspomnianych...). Kaspar Schwenckfeldt, jak można przypuszczać, opierał się tu na źródle pochodzącym z 1311 r., wymienającym Miedziankę jako miasteczko górnicze. Autor "Śląskiego katalogu przyrodniczego" wymienia również nazwy Śnieżki: "Giganteus mons - Riesenberg" (Góra Ołbrzymia) oraz Karkonoszy - "Horkonoss".

(używanego obecnie w Polsce) całego pasma Sudetów. Wówczas jednak od dawna używano nazw: Góry Rzyfajskie (Riphaeos Montes) lub Góry Czeskie (Montes Bohemias).

Jak nazwa Sudety jest rozumiana przez naszych sąsiadów, czyli przez Czechów i Słowaków? Ilustrowany encyklopedyczny słownik (Academia 1982), tom III, str. 443 podaje (tłumaczenie): "Sudety - termin używany zwłaszcza w niemieckiej nacjonalistycznej propagandzie dla określenia przygranicznych obszarów czeskiego terytorium zamieszkiwanych do 1945 r. przez mniejszość niemiecką, ewentualnie dla ich części (półn. Czechy, półn. Morawy i Śląsk). Nazwę Sudety (brzmienie oryginalne), po niemiecku Sudetenland, nosiła od października do grudnia 1918 r. jedna z prowincji tzw. Deutch-Böhmen, zajmująca przygraniczne terytorium półn. Czech, Śląska i półn. Moraw. Jako teren rozumiany politycznie Sudety objawiły się w latach trzydziestych w szowinizmie i ekspansywnych planach nazistów niemieckich oraz separatystycznymi i

# Przygoda ŁAGIER W ESTONII

Zawsze chciałem poznać Estonię. I wreszcie nadarzyła się szansa. Sławek Solka zabrał mnie ze sobą na Międzynarodowe Zawody w Biegach na Orientację. Nigdy nie uprawiałem tej dyscypliny. Pojechałem więc jako obserwator. Dla Estończyków byłem oficjalnym przedstawicielem naszego dwumiesięcznika. Mając więc dużo wolnego czasu i korzystając z pięknej pogody, razem z Waldkiem Broslem postanowiliśmy odwiedzić rejonowe miasteczko - Võry (Wyr). Rankiem nasz estoński przyjaciel - Jaak odwiózł nas do autobusu. Nasz namiot był rozbity nieopodal starego drewnianego domu. Cała wieś składała się z kilku rozrzuconych zabudowań. Naokoło las, jeziora i polne drogi. Nie zapisaliśmy nazwy wsi i nie zapytaliśmy o to Jaaka.

Võry - uroczysko miasteczko, pełne było słońca. Odwiedziliśmy sklepy, kafejki. Waldkowi zachciało się do bani. Uczynny mieszkaniec Võry, którego poznaliśmy na pocztce, odprowadził nas do bani. Po drodze pan Sikk opowiedział nam historię swojego kraju. Pożyczamy ręcznik i mydło. W kłębach pary liczni starsi panowie wzajemnie okładają się brzoźowymi różgami. Nikt się nie śpieszy, trwa sielankowa atmosfera. Odświeżeni, w znakomitych nastrojach wracamy autobusem do naszego miasteczka. Ale tu kłops. Estończycy nie mogą nam pomóc, bo my nie wiemy, jak nazwać się nasza wieś. Ruszamy więc przed siebie. Nasz kierunek to las. Idąc leśną drogą, zauważamy śpiącą listonoszkę. Nie możemy się dogadać - nie zna rosyjskiego. My zaś po estońsku znamy jeden wyraz - Poola (Polska), to bardzo dużo i też bardzo mało. Listonoszka zabiera swoją torbę z listami i gazetami i szybko się oddalając wraca do pracy. Co robić? Zrezygnowani i źli na siebie nie wiemy, co dalej. Do naszego namiotu ok. 20 km. Czyż przyjdzie nocować w lesie? Z opresji wybawia nas szum terenowego samochodu. Pan leśniczy na rosyjskie słowo "łagier" kiwa głową i już mknijemy po leśnej drodze. Niesamowity kurz w niczym nam nie przeszkadza. Nie będziemy więc nocować w lesie i czeka nas estońska ciepła kolacja. Po drodze zabieramy młodego biegacza z Komsomolska nad Amurem. Ależ to daleko! Udało się. Od tej pory nabrałem dużego szacunku do słowa "łagier", choć wielu milionom ludzi źle się kojarzą te słowa. Od tego czasu postanowiłem pisać nazwę miejscowości, choćby było to po chińsku.



STN

- Przygoda to nasz nowy cykl. Zapraszamy do współredagowania. Za najlepsze wypowiedzi redakcja przyzna nagrody.

## Rozważania na temat nazewnictwa w Sudetach

Czeski humanista Baltinus w swych miscellaneach z 1679 r. podaje, że różni pisarze zwą Sudety Karkonoszami (Circonossios) albo Górą Rzyfajskimi (Riphaeos Montes) lub Górą Obrowskimi, zaś Niemcy używają nazwy Riesen Geburge lub Góry Śnieżne (Nirosos).

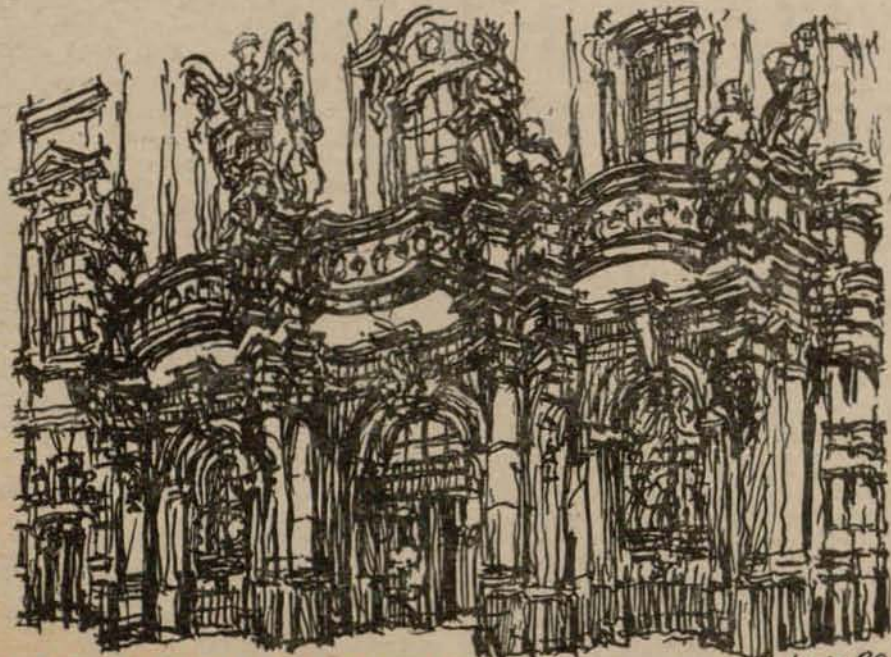
Pojęcie Rzyfaj - termin używany w geologii, wprowadzony w latach czterdziestych XX w. w ZSRR na oznaczenie skał najmłodszego prekambriu, stanowi część górnego proterozoiku. W Polsce utwory rzyfaju występują w Sudetach (wg Encyklopedii PWN). Etymologicznie termin ten pochodzi z pewnością od antycznych Gór Rzyfajskich.

Sudety - nazwa ta pojawia się w II w. n.e. na mapie Germanii Wielkiej i Sarmacji sporządzonej przez greckiego geografę i astronoma Klaudiusza Ptolemeusza, który jako "Sudeti Montes" zaznaczył łańcuch górski nawet w przybliżeniu nie pokrywający się z rzeczywistym położeniem gór nazwanych później Sudetami. Nazwę tę dopiero w 1558 r. niemiecki humanista Filip Melanchton zastosował dla określenia

irredentystycznymi kampaniami henleinowców (Henlein - założyciel Sudeten-deutsche Partei). Od października 1938 r. do kwietnia 1939 r. jako Sudetenland oznaczono wszystkie czeskie tereny odatowane na podstawie monachijskich rozstrzeżeń Niemców; od kwietnia 1939 r. do maja 1945 r. nosiło tę nazwę (odpowiednik - Sudetengau) terytorium pod zarządem jedności Rzeszy Niemieckiej (z centrum w Libercu) zarządzającym zajęty czeskim terytorium od Morawskiej Ostrawy po Domażlice. Pojęcie Sudety (w swoim geograficzno-politycznym rozumieniu) jest do dziś częścią terminologii niemieckich rewizjonistycznych organizacji w RFN.

Encyklopedia co prawda nie wspomina o tym, że Czesi mają żal do Polaków o posługiwanie się terminem "Sudety", jednak pewna, niewielka niestety, część społeczeństwa polskiego zdaje sobie z tego doskonale sprawę. Szkoda, że o tym się nie mówi, bo to też "białe plamy".

Lech Rugała



Dr Aleksander Ostrowicz, znakomity lekarz, w latach 1880-1903 dyrektor zakładu leczniczego w Łądku-Zdroju, do tej pory nie doczekał się żadnej biografii. Wiadomości o tym zasłużonym (nie tylko w dziedzinie medycyny) XIX-wiecznym lekarzu wbrew pozorom są bardzo skąpe. Autor pierwszego polskiego przewodnika po kłodzkich górach bez wątpienia jest postacią niesłusznie niedocenianą. "Polski słownik biograficzny" całkowicie pomija dra Aleksandra Ostrowicza, zaś "Słownik lekarzów polskich" Stanisława Koźmińskiego (Warszawa 1888) i "Polska biografia lekarska dziewiętnastego wieku" Stanisława Konopki (Warszawa 1979), przekazują wiadomości wyjątkowo krótkie i lakoniczne. A jakie one są?

Otóż Aleksander Ostrowicz urodził się 11.07.1838 r. w Gostyniu. Był synem nauczyciela szkoły elementarnej Walentego i Teodory z Moralińskich. Uczęszczał do szkoły w Gostyniu, do Gimnazjum w Lesznie i Gimnazjum Św. Marii Magdaleny w Poznaniu. W 1860 r., za przykładem swego brata Leonarda, udał się na studia teologii do Wrocławia, lecz pod wpływem rodziców się zainteresował medycyną w 1862 r. przeniósł się na wydział lekarski. W czasie studiów działał w Towarzystwie Literacko-Słowiańskim zawiązanym przy tamtejszym uniwersytecie. Towarzystwo to skupiało w swych szeregach Polaków pochodzących ze wszystkich zaborów, a studiujących na

mikrofilm w Gabinetie Śląsko-Łużyckim Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu czy też w Krakowie.

Ostrowicz brał czynny udział w życiu towarzyskim łądeckich mieszczan. Z jego inicjatywy i dra Karola Wehse powstał Towarzystwo Upiększania Miasta. Działał też w sekcji Kłodzkiego Towarzystwa Górskiego (Glatzer Gebirgsverein), która zorganizowała zabezpieczone punkty widokowe, np. na skale Trojan, współdziałała przy budowie wieży widokowej na Śnieżniku czy wyznaczała szlaki wycieczkowe.

Jak głosi tradycja, na wiadomość o krwawo stłumionym wielkopolskim powstaniu narodowym i rewolucji w 1846 r. w Łądku zawiązało się grono osób holdujące hasiom przyjaźni z Polakami, które głosili postępowi Niemcy. Pamiętkę tej działalności stanowią np. ufundowany jeden ze stopni na Kaiwarię Radochowaką (Góra Cierniak) koło Łądka z napisem "Polnische Freundschaft" ("Polska przyjaźń"). Podwaliny pod propagowanie polskiej kultury na terenach uzdrowiska położyła jeszcze córka Antoniego Henryka Radziwiła, namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Eliza Radziwiłłówna, która w 1824 r. w "Hotel de Pologne", stanowiącym własność tej książęcej rodziny, założyła polską bibliotekę. Dr Ostrowicz bez wątpienia był godnym uznania kontynuatorem takiej działalności i w dużej mierze przyczynił się do rozwijania przez pracę organiczną

Dzisiaj grób dra Aleksandra Ostrowicza na cmentarzu przy ul. Śnieżnej w Łądku odwiedzają tylko nieliczni turyści. Warto jednak nieco zboczyć ze szlaku, by w zadumie pochylić głowę nad tym, który na długo przed nami umiłował piękno kłodzkich gór.

Lech Rugała

Od Redakcji: Przypomnijmy, że "Informator krajoznawczy" zamieścił dwa artykuły K.R. Mazurskiego na powyższy temat: "Ostrowiczkowskie wątki w Łądku-Zdroju" (1987, 47, 5-8) i "Przewodnik Ostrowicza po Łądku-Zdroju" (1987, 49, 3-10).



Sobótka - fragment Rynku.

# ALEKSANDER OSTROWICZ - ŁĄDECKI LEKARZ

wrocławskiej uczelni, głównie jednak z terenu Poznańskiego, na celu zaś miało ono wspólne studiowanie słowiańskiej literatury. Związki Wielkopolski z Wrocławiem były wtedy zresztą bardzo silne. Na Śląsku zaczęły w tym czasie rosnąć zainteresowania polskim językiem i kulturą. W 1866 r. po obronie pracy doktorskiej u prof. Ottona Spielberga (napisał "De trichina spirali et trichinosis. Dissertatio inauguralis Vratislaviae", w tłumaczeniu: "O włośniu krętym i włośnicy. Rozprawa dla otwarcia stopnia naukowego we Wrocławiu") podjął działalność lekarską w szpitalu miejskim w Poznaniu, który mieścił się wówczas w dawnym klasztorze franciszkańskim i już w 1867 r. uzyskał tytuł królewskiego rady sanitarnego. W 1875 r. przeniósł się do Łądka-Zdroju (wówczas Landek). W 1878 r. został lekarzem w założonym przez nadwornego fotografa Paula Wolkeła z Nysy zakładzie leczniczym "Talheim" (Dom w dolinie), usytuowanym na lewym brzegu rzeki Białej Łądeckiej. Dyrektorem tego zakładu, prowadzącego pełen zestaw hydroterapii, kąpeli borowinowych i innych kuracji, miał zostać dr Neisser z Wrocławia, lecz zapadł on na obłąkną chorobę i dlatego w 1880 r. Wolkeł funkcję dyrektora ośrodka powierzył dr. Ostrowiczowi, który pełnił ją aż do śmierci. W 1881 r. wydał on własnym nakładem przewodnik zatytułowany "Lanek w Hrabstwie Kłodkim w Śląsku. Podręcznik informacyjny dla gości kąpielowych". Napisana w języku polskim obszerna praca przedstawiająca zalety uzdrowiska Łądek, sposoby kuracji oraz propozycje tras wycieczkowych w bliższe i dalsze okolice wydrukowana została na 201 stronach w drukarni J.I. Kraszewskiego sprowadzonej z Drezna do Poznania w 1870 r. przez dra Władysława Ebińskiego (1840-1907), przyjaciela Ostrowicza, byłego prezesa Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, publicystę, który w 1863 r. zakończył doktoratem studia filologiczne i filozoficzne we Wrocławiu. Do dnia zachowały się tylko nieliczne egzemplarze tego wydania, np.

szacunku miejscowych Niemców do Polaków, głównie Wielkopolan przyjeżdżających do Łądka na wypoczynek i kuracje zdrowotne.

Pod koniec lat osiemdziesiątych sprowadził on do Łądka swoją krewną z Leszna, Marię Sierpińską, urodzoną 14.10.1856 r., która w Wielkopolsce prowadziła zabronione przez władze pruskie polskie nauczanie i dając jej pracę w swoim zakładzie uratował ją w ten sposób przed prześladowaniami. Ostrowicz utrzymywał też stałe kontakty ze środowiskiem poznańskich lekarzy. Przykładowo, w latach 1892-1899 w sezonach letnich praktykował w Łądku ceniący wówczas lekarz medycyny Józef Pomoraki (1861-1932), chirurg i ginekolog z Poznania.

Z początkiem 1902 r. Ostrowicz zaczął chorować. Do Łądka przyjechał wówczas dr Antoni Chłapowski z Poznania. Choroba jednak nie ustąpiła i 1.02.1903 r. dr Aleksander Ostrowicz zmarł. Pozostawił żonę Klarę, urodzoną 19.10.1847 r. Siedem lat później i Klara umarła. Oboje Ostrowiczowie pochowani zostali we wspólnym grobie na tzw. nowym cmentarzu w Łądku. Niewiele dziś można powiedzieć o tonie dra Ostrowicza. Nie jest znana zarówno data, jak i miejsce zawarcia związku małżeńskiego. Wystawiona na grobie Ostrowiczów w Łądku tablica nagrobna z niemieckim napisem nie wymienia jej nazwiska panińskiego.

Wśród skąpych danych o rodzinie dra Aleksandra Ostrowicza wyróżnia się jednak większe opracowanie biografii jego brata, Leonard Jan Ostrowicz (1831-1900), urodzony w Gostyniu, w 1852 r. ukończył Gimnazjum Św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Należał do Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Był też jednym z wielu księży opornych wobec władz pruskich w okresie pruskim w okresie tzw. Kulturkampf. W 1864 r. za obrazę landrata (starosty), prześladowcy powstańców, został aresztowany i ukarany grzywną. Często przenoszono go na różne parafie. W 1869 r. za patriotyczne kazania i procesję w Niegolewie został ukarany więzieniem. Szczegółową biografiją zamieszcza "Polski Słownik Biograficzny", tom XXIV, str. 533.



Rzeźbiona w piaskowcu tablica nagrobna dr. Aleksandra Ostrowicza z niemiecką inskrypcją na cmentarzu w Łądku Zdroju.

/rys. Lech Rugała/

W końcu lutego, na okolicznościowej wleczornicy w gościnny dla PTTK progach Klubu Nauczyciela, spotkali się działacze i pracownicy oddziału, aby fetować swoje dwudziestolecie. Święto to odbyło się w bardzo skromny sposób. Odstąpiono od ceremoniału, składania sprawozdań i bicia brawa za wszystko, co dokonano. Myślano raczej o przyszłości krzyckiego oddziału, okrzepłego i robiącego codzienną żmudną robotę, aby każdy młody człowiek i jego rodzina mogła aktywnie wycisnąć. Poznawać swoje miasto i swój region.

Stanisława Gołaszewską, wyróżniona została złotą honorową odznaką "Zasłużony dla Woj. Wrocławskiego i m. Wrocławia". Były także puchary dla aktywnych klubów SKKT-PTTK i kół zakładowych.

Dzisiaj oddział krzycki skupia ponad trzy tysiące członków: w 17 kołach zakładowych, 33 SKKT-PTTK, 3 klubach pleszym, górskim i kolarskim. Działają też 4 komisje. Bardzo aktywnie działa Klub Kolarski "Rewor" zapraszając dzieci, młodzież i dorosłych na liczne spacerunki i wycieczki rowerowe. Pod wodzą Bolesława Mateckiego, oddział or-

## Dwudziestolecie krzyckich turystów

Co wytrwali i bardziej zasobni mogą poznać świat, wyruszając na liczne wyprawy z klubem górskim. Najważniejsze dla oddziału, na dzisiaj, to dokończenie budowy przy ul. Energetycznej siedziby oddziału, bo do tej pory takiej nie posiadają. A wiadomo, ile środków trzeba na taki cel posiadać. Liczą na pomoc ZW, bo jak do tej pory jedynie dzielnica w tym zdecydowanie partycypuje. A własnych pieniędzy jest stanowczo za mało.

W trakcie tego bardzo sympatycznego spotkania wręczono po raz pierwszy ustanowione honorowe odznaki oddziału. Tę pierwszą otrzymał - pierwszy prezes oddziału Jerzy Doroszkiewicz. Długoletni opiekun SKK PTTK z Zespołu Szkół Chemicznych,

organizuje obozy przyrodnicze w ramach Młodzieżowej Szkoły Turystyki. Cieszą się one dużym uznaniem młodych. Do sztanowanych imprez oddziału należy rajd "Szlakiem Pamięci Narodowej", którego duszą jest Stanisław Dąbrowski. Od wielu lat setki młodzieży, wędrując po Wrocławiu uczą się najnowszej historii naszego miasta.

Koleżde Romanowi Borsukowi (trzeci prezes w historii oddziału) życzymy jednego! Abyśmy jak najszybciej spotkali się na podobnej uroczystości w nowej siedzibie oddziału.

STM

## WOŁYŃ I JEGO ŻOŁNIERZE

Przed południem 23.06.1990 r. w Klubie Turysty Oddziału Wrocławskiego PTTK odbyło się spotkanie byłych żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Dopelnieniem spotkania stała się ekspozycja bogatej dokumentacji fotograficznej, pamiątek żołnierskich, medali, odznaczeń, szkiców, map, literatury wspomnieniowej i naukowej. Wystawa pt. "Wołyń i jego żołnierze" zorganizowana została za sprawą samych Wołyniaków, jak też Komisji Krajoznawczej Oddziału Wrocławskiego PTTK. Czynna ona była do końca lipca br. Ponadto organizatorzy wydali szkic historyczny dywizji, autorstwa Eugeniusza Rachwałskiego, byłego żołnierza dywizji (pseudonim "Kotwica"), 27 WDP AK była największą jednostką polskiej armii podziemnej w okresie drugiej wojny światowej i działała od 16.01.1944 r. na terenie Wołynia, Polesia i Lubelszczyzny. W szczytowym okresie swego zorganizowania liczyła około 7300 żołnierzy i przeprowadziła dziesiątki akcji zbrojnych. Została ona rozbrojona 26.07.1944 r. przez oddziały radzieckie.

(rs)

## MIGAWKI OBYCZAJOWE

Nasze wzniosłe ideały, krajoznawcze cele, uszlachetniająca turystyka. Tego chcemy, to popularyzujemy. Wszelako rzeczywistość aż skręca, żeby przywołać poetę. Początek kwietnia tego roku, Wrocław, Dolny Śląsk. Przez trzy dni prowadzę wycieczkę starszej młodzieży gimnazjalnej z Metzingen koło Reutlingen (RFN). Oto kilka obrazków, które niejako ponadprogramowo obejrzel nas goście.

Stoimy przed Liceum we Wrocławiu. Pojawia się grupa chłopców 12-14 lat. - Bitte Ajnmark, bitte piwo! Na migi pokazują, że chcą pieniędzy, butelki piwa, niby że zbierają puszki. Mimo mojego coraz ostrzejszego tonu nie rezygnują. Inna rzecz, że Niemcy się załamują i dają. Jeden dostał pół marki. Stanowczo jednak domaga się, by dołożyć do całej, bo przecież inni tak dostali. Inny otrzymał garść czekoladek i zamierza czmytnąć. Kierownik grupy powstrzymuje go i każe podzielić się z innymi. Puste puszki wybierają z kosza na śmieci w autokarze. Wreszcie jedziemy. A w środku aż huczy od komentarzy, wiadomo, młodzież zawsze prościej wszystko sobie tłumaczy i uogólnia. Inna rzecz, że to zjawisko we Wrocławiu jakby przysało. Już się nasycili, łatwiejszy dostęp do zachodnich towarów?

Teraz z kolei postój koło świątecznego Kościoła Pokoju. Ledwie wróciliśmy zeń, dokoła chmara dzieciaków, od 4 do 12 lat. Oblepiają wręcz autokar (taka osobliwość w tym mieście?) i natrączywie domagają się pieniędzy: Ajnmark! Ajnmark! żebzą (jednak poznali języki, czyli to nie pierwszy raz). To wyciągają ręce po monety, to domagają się bu-

telek po napojach. Kierownik rozdał torbę jabłek kupionych na pobliskim straganie. Żebyście widzieli miny dzieci, jakie szczęśliwi! Jak on rozdawał, to musiały być niemieckie, skoro tak, to jak smacznie! Gdzież tu nasze pretensje do odszkodowań, partnerskiego traktowania, jak my sami zachowujemy się jak dziady! Niemcy później mówili: Wy tak samo stale żebiecie u nas o pieniądze jak te dzieci. Oczywiście, to nie to samo, ale tak nas widzą. Prymitywne to nasze społeczeństwo.

Kierownik bardzo zapragnął pokazać Niemcę. Włec jedziemy. Ja nawijam o historii, o dziełnej obronie, polskości, etymologii nazwy wcale nie od Niemców i tym podobne patriotyczne "kawalki", ale nagle czuję się zmęczony. Oto rynek, a w nim sceny jakby z najgłówniejszego westernu. Na chodnikach, trawnikach i ławkach leżą pokoty... nie, nie zastrzelonych dzielnych kowbojów, ale naszych rodzimych pijacków. Jest wtorek wieczór, skąd się oni wzięli? Nasza rzeczywistość. Dwóch pijanych podnosi trzeciego, zalanego w "trupa". Nic z tego nie wychodzi, za to moja wycieczka ma ubaw nie z tej ziemi, tym bardziej że ze względów technicznych musimy okrążyć rynek. Wszystko przewija się jak w koszmarnym filmie. Młodzież ryczy ze śmiechu, ja nie wiem, co ze sobą zrobić, nikt mnie oczywiście nie słucha. Cóż później mówić o Horbowym, Dejmu, Tomaszewskim, Pendereckim... Ręce opadają. Taki obraz Polski przywiezie młodzież do siebie pośród nielicznych zapewne wspomnień o zabytkach czy pięknych krajobrazach. To też jest turystyka, takich też wrażeń turystycznych dostarczamy naszym gościom.

KRM

## KUP!

Polecamy pierwszą monograficzną pracę o Gminie Długoleka - województwo wrocławskie.

Autorzy: Irena Soział  
Jerzy Załęski

Recenzanci: Krzysztof R. Mazurski  
Jarosław Stajka  
Zdzisław Szkolnicki

Cena "zwyku" 4.000,-  
Zamówienia przyjmuje Oddział Wrocławski PTTK, Rynek-Ratusz 11/12 tel. 303-44.  
Sprzedaż pojedynczych egzemplarzy - w biurze Oddziału lub Klubie Turysty.

POLSKIE TOWARZYSTWO  
TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE  
Stowarzyszenie Wyższej Ubezpieczalności

## GMINA DŁUGOLEKA

MONOGRAFIA KRAJOZNAWCZA



Wrocław 1989.

Nasze Spiewnik



A U NAS LATEM  
 Odnie stare miłujy domnie sioła,  
 Nad rybkę, której nie ma wioła,  
 I słońce do domu słońce niedaleko,  
 Przeglądajmy brzozi futala.

Ref.  
 A u nas latem jest najładniej,  
 Opłoniem w słońcu słońce słońce  
 I w słońcu słońce jest najładniej,  
 Chud u nas nie ma powierzenia.

Tam dzieciaki — wstępek następnym  
 W słońcu wstępek słońce na łonie,  
 Tu słońce kamień na rondzie  
 Pomógł przesłać z naszym czasem.

Ref.  
 A u nas latem jest najładniej...

Wdrużem dobrze jest wśród słońca,  
 Gdy słońce miłujy nam słońce,  
 I słońce słońce do słońca,  
 I słońce słońce do słońca.

Ref.  
 A u nas latem jest najładniej...

Az przysiężę słońcu, gdy słońce słońca  
 Słońce pokryje aż do słońca,  
 W słońcu słońca nam słońca słońca  
 Polska słońca słońca słońca.

Ref.  
 A u nas latem jest najładniej...

**\*Zabytki Masywu Ślęzańskiego\***

**Organizatorzy**

- Komisja Opieki nad Zabytkami Oddziału Wrocławskiego PTTK
- Wojewódzki Konserwator Zabytków we Wrocławiu
- Wojewódzki Ośrodek Archeologiczno-Konserwatorski we Wrocławiu
- Muzeum Archeologiczne we Wrocławiu
- Urząd Miasta i Gminy Sobótka

zapraszają wszystkich fotografujących do udziału w konkursie "Zabytki Masywu Ślęzańskiego".

Celem konkursu jest:

- przedstawienie w artystycznej formie zabytków Masywu Ślęży (w tym również okolicznych miejscowości) począwszy od detalu aż do pejzażu z zabytkiem,
- ukazanie walorów kulturowych i artystycznych obiektów zabytkowych, efektów pracy służb konserwatorskich, społecznych opiekunów zabytków w krajobrazie ślęzańskim,
- popularyzacja idei ochrony zabytków.

**Regulamin:**

1. Konkurs obejmuje dwie kategorie: zdjęcia czarno-białe i malobrazkowe diapozytywy barwne.
2. Każdy autor może zgłosić do konkursu dowolną ilość prac w obu kategoriach.
3. Technika wykonania zdjęć dowolna. Format zdjęć od 13x18 cm do 40x50 cm. Diapozytywy 24x36 mm.
4. Na odwrocie zdjęcia należy podać godło autora, tytuł i numer pracy zgodnie z kartą zgłoszenia, nazwę Klubu lub sekcji, do której autor należy. Na ramce diapozytywu umieszcza się godło autora.
5. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę, opróżnioną gołdem, a zawierającą kartę zgłoszenia oryginalną lub odręczną.
6. Prace należy nadsyłać w terminie do dnia września 1990 roku na adres podany w punkcie 15.
7. Oceny prac, kwalifikacji na wystawę oraz podziału nagród dokona jury powołane przez organizatorów.
8. Dla autorów prac przewiduje się nagrody pieniężne, rzeczowe i wyróżnienia.
9. Organizatorzy przewidują ponadto możliwość zakupu wybranych negatywów lub przeźroczy.
10. Prace nagrodzone i wyróżnione (z wyjątkiem diapozytywów) przechodzą na własność organizatorów.
11. Organizatorzy zapewniają sobie prawo do bezpłatnego prezentowania prac w katalogu, prasie i telewizji dla celów propagandy wystawy.
12. Organizatorzy nie biorą odpowiedzialności za uszkodzenie prac w transporcie.
13. Najlepsze prace ekspozowane będą na wystawach pokonkursowych i innych.
14. Informację o zabytkach Masywu Ślęży można uzyskać w Muzeum Ślęzańskim w Sobótce w każdą środę, czwartek i piątek oraz niedzielę.
15. Sekretariat konkursu prowadzi Oddział Wrocławski PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 303-44.



**REGIONALNA PRACOWNIA KRAJOZNAWCZA**

Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, I p

- prowadzi bibliotekę książek i czasopism krajoznawczo-turystycznych
  - organizuje wystawy na terenie miasta Wrocławia
  - prowadzi poradnię turystyczno-krajoznawczą
  - gromadzi, opracowuje i rozpowszechnia materiały krajoznawcze
  - dysponuje materiałami poinwentaryzacyjnymi gmin woj. wrocławskiego
  - prowadzi działalność wydawniczą.
- Pracownia ogólnie dostępna jest czynna w:  
 - poniedziałki i środy od 10.00—18.00  
 - wtorki, czwartki, piątki od 8.00—16.00

ZAPRASZAMY

**TANIO!**

W Klubie Turysty Oddziału Wrocławskiego (Rynek-Ratusz 11/12, 4 p.) można nabyć następujące pozycje książkowe:

- "Zakony" - dr Krystyna Wisłowska
- "Atrybuty świętych" - dr Krystyna Wisłowska, Zygmunt Tadeusz Wisłowski
- "Wołyń i jego żołnierze" - Eugeniusz Rachwałski
- "Gmina Młękina" - Jerzy Maciejewski, Jerzy Załęski
- "Gmina Malczyce" - Jerzy Maciejewski, Jerzy Załęski
- "Gmina Łagiewniki" - Jerzy Załęski
- "Miasto i gmina Wązów" - Irena Kozioł, Henryk Matuszewski, Jerzy Załęski
- "Gmina Kondratowice" - Jerzy Załęski
- "Gmina Jordanów" - Jerzy Załęski
- "Miasto i gmina Kąty Wrocławskie" - Henryk Matuszewski, Jerzy Załęski

**Ubezpieczenia**

- DO WARTOŚCI NIEBESZCZELNYCH WYPADKÓW
- DO ODPOWIEDZIALNOŚCI CYWILNEJ
- DO UTRATY I ZNISZCZENIA WAKACJI
- NA CZAS WYKONANIA



SPÓŁDZIELNICTWO ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ

**WESTA**

WROCLAW, ul. S. Jaracza 24/3,

NA SZLAKU - dwumiesięcznik turystyczno-krajoznawczy Dolnego Śląska - wydaje ZW PTTK we Wrocławiu przy współdziałaniu Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu.  
 Adres redakcji: 50-107 Wrocław, Rynek Ratusz 11/12 tel. 44-26-95.  
 Zespół redakcyjny: Aleksander Lwow, Krzysztof R. Mazurski (redaktor naczelny), Stanisław Nosol (sekretarz redakcji), Jacek Rajski, Roman Rubin, Ryszard Stawczyński, Ryszard Szlagor.  
 Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Zastępowamy sobie prawo adiacji tekstów.  
 Druki: Z.Graf.AE - Wrocław. Nakład 1500-70. Cena 3000 zł. Zam. 200/90

Konrad Pawicki

**Miejsca urodzenia**

Wychodziłem to miasto z miejsca gdzie go nie ma wąwozy ulic wykulem butami wzrokiem wyśliliem tramwajowe szyny

Wychodziłem to miasto ściany jego domów to tylko splecione echa moich kroków a bruk — kamienie zdjęte z serca jeszcze drgają pamięcią o swoim pulsującym gnieździe

Urodziłem to miasto z boku wyjęte jeszcze boli zebro

Wrocław 1990